



# SIEDEM DNI Z ŻYCIA PSA

**PRAWDZIWE ZBRODNIĘ, PRAWDZIWE ŚLEDZTWA**

**DARIUSZ LORANTY**

Książkę dedykuję wszystkim, którzy musieli i muszą znosić moją osobę, bo są moją rodziną. A rodziny nie wybieramy, ją mamy.

Rodzicom, Zofii i Fryderykowi, dwóm braciom – Pawłowi i Piotrowi, jednej chrześnicy Karolinie oraz pięciu synom - Robertowi, Michałowi, Krzysiu, Radkowi i Krystianowi.

A przede wszystkim żonie Agnieszce, bo ona nie musiała mnie znosić, ale świadomie wybrała życie z facetem i jego życiowym bagażem.

# WSTĘP

**P**erypetie głównego bohatera, komisarza Grzegorza Bernarda, są wariacją moich osobistych doświadczeń zawodowych ze służby w policji. Napisałem możliwie realistycznie, oddając realia i fakty. Zawsze jednak w narracji odciska się piętno osobowości autora oraz jego doświadczeń życiowych.

Decyzję o wstąpieniu w szeregi policji podjąłem z przyczyn praktycznych: służba mundurowa to była wówczas stabilna praca, która pozwalała spokojnie przetrwać w zmieniających się realiach ekonomicznych kraju. Przyjechałem do stolicy za pracą, byłem przyjezdny (tak się nas wtedy nazywało, dziś takich określa się mianem słoików). Nie czułem niczego specjalnego do formacji, w której zamierzałem pracować. Szybko jednak zrozumiałem, że to nie jest zwykła praca. Że wciąga, podnosi adrenalinę, ale uzależnia i niszczy wszystko dookoła, każdego, kto w nią wejdzie całym sobą. A ja wszedłem w ten świat, który mnie porwał i zmienił. Parę razy zdemolował moje życie osobiste i moralność. To nie jest bajka o supermenie, który czynił dobro, ratując ludzi przed złem. „Super Express” nie napisałby o mnie: „To on uratował miasto”. Bo, niestety, nie uratowałem żadnego miasta, a w sprawach osobistych raczej dokonywałem zniszczeń. To jest moja historia człowieka, który może być wzorcem do naśladowania. To przeżycia faceta, który często czuł się jak supermen, zapominając, że granice etyczne są bardzo cienkie i rozmyte. Stres gasił w sposób pospolity: alkoholem, nie bardzo przejmując się jego złymi skutkami.

\* \* \*

Początek lat dziewięćdziesiątych to okres przemian dziejowych RP - brzmi slogan z podręczników historii najnowszej. To czas największych zmian społecznych w policji i służbach, będących konsekwencją przemian politycznych. Najbardziej dynamiczny okres w polskiej policji, gdy reforma goniła reformę, ale mentalność pozostawała w peerelowskiej stagnacji.

Czas zmian najlepiej wykorzystała przestępczość wtedy zwana jeszcze marginesem społecznym. Bardzo szybko przekształciła się w przestępczość zorganizowaną, stosującą metody znane terrorystom. To czas dzikiego Zachodu na Wschodzie - jak w filmie, z tą tylko różnicą, że to naprawdę się działo. Przestępczość kryminalna wyszła z marginesu i wchodziła w społeczeństwo, narzucając swoje standardy. Policja nie była w stanie temu przeciwdziałać w ówczesnej sytuacji politycznej i prawnej, w jakich przyszło jej funkcjonować. Zamachy bombowe i strzelaniny były codziennością, a nie wydarzeniami nadzwyczajnymi. Kryminaliści przestali się bać funkcjonariuszy i zaczęli dyktować warunki gry. Policja niejako z rozpędu po minionej epoce jeszcze stanowiła realną siłę, natomiast prokuratura i sądownictwo były już tylko sitem, przez które przepływały najgorsze szumowiny społeczne. Lata dziewięćdziesiąte to powstanie nowych form przestępczości, to przenikanie zorganizowanej przestępczości do nowego systemu gospodarczego. To czas mediów, które zaczynają transmitować największe przestępstwa niczym *reality show*.

W tym świecie zmian i zagrożeń znalazłem się w oku cyklonu. Nie stałem biernie. Podjąłem wyzwanie, starałem się realizować i współtworzyć policyjną rzeczywistość. Czy mi się udało? Raczej nie, to ta rzeczywistość zmieliła mnie po wielokroć. W książce wszelkie podobieństwa do osób i zdarzeń są

świadome i celowe. To opowieść oparta na realiach tamtych niezbyt odległych czasów oraz na moich przeżyciach osobistych. Spojrzenie przez własny pryzmat doświadczeń, umiejętności i wrażliwości. Pozwoliłem sobie na przedstawienie opowieści o życiu w służbie i poza nią postaci fikcyjnej. To Grzegorz Bernard, cywil, sierżant i nadkomisarz stołecznej policji. Dlaczego jest to postać fikcyjna, a nie ja sam? Zdecydowały trzy przesłanki.

Po pierwsze, kiedyś, kiedyś, ale już jako dorosły, oglądałem kolejne odcinki *07 zgłoś się*. Byłem wtedy kierownikiem w spółdzielni kółek rolniczych. (Któż dziś wie, co to takiego? Chyba że jest specjalistą historii rolnictwa lub historykiem w IPN-ie). Widziałem porucznika Borewicza wyjeżdżającego z bramy pałacu Mostowskich, siedziby komendy stołecznej. Przeżywałem jego superacje - no i podrywanie kobiet. Marzyłem, żeby tym polonezem tak jak porucznik wyjechać z tej bramy. Chciałem choćby tę bramę z bliska zobaczyć. Moje późniejsze życie potoczyło się tak, że z tej bramy wyjeżdżałem dziesiątki razy. Jako policjant kryminalny niczym bohater filmów akcji, w różnych wcieleniach: jako kierowca taksówki, jej pasażer, aplikant adwokacki czy ekspert w produkcji piwa albo rzecznik prasowy sieci sklepów. Nawet jako prezes największego holdingu spożywczego. Z dumą mogę stwierdzić, że moja przygoda policyjna była jak z serialu kryminalnego. Z tą różnicą, że wszystko działa się naprawdę.

Prawdę mówiąc, nie udało mi się nigdy zniszczyć żadnej mafii czy terrorysty. Ale wspólnie z kolegami z policji pracowałem przy ustalaniu sprawców zdarzeń przestępczych, które nie schodziły z pierwszych stron gazet. W bardzo wielu sprawach o sukcesie policji decydowały moje zaangażowanie i ryzyko, które ponosiłem. Kobiety, które poznałem tak bardzo blisko, były chyba ładniejsze niż te z telewizji, a na dodatek były moje.

Mam wrażenie, że to nie ja przeżyłem policyjną historię, a ktoś, kogo znam, i nawet jest mi bliski. To nie ja, to fikcyjny bohater kryminalnego serialu, komisarz Bernard.

Po drugie, gdy moja debiutancka książka *Spowiedź Psa* (współautor Aleksander Majewski) ukazała się na rynku, natychmiast zawiozłem ją do rodzinnego domu. Przekazałem rodzicom: „Czytajcie i bądźcie dumni z syna”. Ba, zostawiłem parę egzemplarzy dla dalszej rodziny. Jakież było moje zdziwienie, gdy spotkałem się z niechętną reakcją matki, która podjęła wiekopomną decyzję, niczym dzieciak, co postanowił wypić całą wodę z kranu. Wymyśliła sobie, że wykupi cały nakład książki (wydawca dopiero by się ucieszył!). Ledwie przeczytała parę kartek, a już uznała, że nikt ze znajomych czy rodziny nie może poznać tego dzieła! „Matka kocha syna takiego, jaki jest, ale czy wszyscy muszą wiedzieć, że on taki jest?” - oznajmiła. Jak to w życiu bywa, niewiele planów jesteśmy w stanie zrealizować. Renta mamy nie wpłynęła w sposób znaczący na sytuację polskiego rynku księgarskiego. Jednak wydanie przeze mnie książki spowodowało poważne perturbacje w naszych relacjach. Matka płakała i miała do mnie pretensje, ojciec się nie odzywał. Nastąpiło znaczące i długotrwałe ochłodzenie stosunków na linii syn-rodzice.

Nie chciałem ponownego rodzinnego konfliktu, a być może dramatu, więc mogę rodzicom teraz powiedzieć: „To tylko opowieść. To nie ja, to fikcyjny bohater książki, komisarz Bernard”.

Po trzecie, policjanci często narzekają na brak osłony prawnej, na to, że sami muszą sobie radzić z problemami prawnymi. Utyskują, że po prokuraturach, po sądach muszą się włóczyć. Wszystko się zmienia po przejściu na emeryturę. Człowiek zostaje wypluty niczym produkt po cyklu użytkowym. Gdy wcześniej stawałem przed sądem, byłem policjantem wyjętym tylko na chwilę z systemu. Zeznawałem to, co widziałem, i to, co zrobiłem, zamiast podawać swoje dane mówiłem: „Komenda Stołeczna Policji”. Widziałem na twarzach zbójów bezradność i zażenowanie. Gdy stawałem przed sądem już po zakończeniu służby, byłem tylko Dariuszem Lorantym. Zwykłym świadkiem, który dokładnie i precyzyjnie podawał wszystkie dane osobowe. Z tropiącego łowcy stałem się kimś łatwym do odstrzału.

Po odejściu na emeryturę regularnie stawałem przed obliczem sądów. Odpowiadałem na pytania, czy

znam Annę Marszałek, Roberta Zielińskiego, Rafała Paszteleńskiego bądź Piotra Krysiaka i co im o tej czy innej sprawie naopowiadałem. Z żadną z tych osób, będąc policjantem, nie rozmawiałem, ba, nawet ich nie znałem. Co najwyżej czytałem ich artykuły. Musiałem tłumaczyć się z treści, które zamieściłem w książce *Spowiedź psa*. Czy nie ujawniłem tajemnicy służbowej, w jak dużym stopniu podałem do wiadomości publicznej arkana pracy operacyjnej czy informacje z postępowania przygotowawczego.

Nie chciałem ponownie przechodzić nieprzyjemnej procedury sądowej. Gdyby oskarżyciel publiczny postawił mnie w roli osoby dopuszczającej się ujawnienia tajemnicy służbowej, to wyjaśnię, co następuje: „To nie ja, to fikcyjny bohater książki, komisarz Bernard”.

Po czwarte, mam nadzieję, że opowieść jest na tyle dobra, aby barwnymi przygodami obdarować postać fikcyjną.

\* \* \*

W opowieści występują znane publicznie osoby, z którymi spotkałem się przy realizacji policyjnych zadań. Nie zawsze były to miłe dla nich kontakty. To znani dziennikarze Ryszard Cebula, Małgorzata Janczewska, Krzysztof Mich, Artur Szczepanik oraz wybitny reprezentant w piłce nożnej Roman Kosecki. Nazwiska występujących funkcjonariuszy zostały zmieniona zgodnie z kluczem obowiązującym w policyjnej instrukcji nadawania kryptonimów, a nazwy niektórych instytucji są fikcyjne, choć zawsze odnoszą się do rzeczywistych.

\* \* \*

Pisanie książek to porażające zajęcie dla osoby, która nie ma krzty talentu pisarskiego ani zacięcia grafomańskiego. Wtedy przyszy autor staje się ofiarą męki umysłu, bo analizuje przerażający dylemat: o czym pisać? Kogo to zainteresuje? Czy kogokolwiek obchodzi jakiś los tak podobny do tysięcy innych? Czy znajdzie się „to coś”, co czyni książkę magnesem, co przyciąga i zmusza do czytania? Do poznania czyichś losów? I najważniejsze pytanie: jak to napisać? Jak złożyć litery w wyrazy, a wyrazy w zdania, które będą zrozumiałe dla każdej innej osoby niż autor?

Czy będzie to grafomański epos dla nikogo, oceni czytelnik. Który najpierw dokona zawarcia umowy poprzez nabycie produktu u sprzedawcy, a następnie, mam nadzieję, przeczyta. Kolejna moja nadzieja tkwi w tym, że to wywoła w nim emocje. Ma to dla mnie ogromne znaczenie, większe niż samo przedsięwzięcie gospodarcze, czyli fakt kupienia produktu. Bo wybór czytelnika wymaga podjęcia decyzji nie tylko tej ekonomicznej, lecz także intelektualnej: czy warto posiadać tę książkę?

Na podjęcie decyzji o pisaniu znaczący wpływ miał Igor Z. (nazwisko znane wydawnictwu The Facto), który zachęcał mnie, ba, naciskał. Wielokrotnie roztaczał przede mną perspektywy, że znajdzie się czytelnik, że będzie chciał to czytać. Rozwiewał moje obawy. Był miły niczym diabeł przed podpisaniem cyrografu. Ja zaś, świadom odpowiedzialności i skutków z tym związanych, zgodziłem się Czytelnikowi pokazać kawałek swojej duszy.

Dariusz Loranty

## Poniedziałek

# GWALT NIECH SIĘ JĘZYKIEM ODCISKA

**P**oniedziałek jest najcięższym dniem. Adaptacja do reżimu nowego tygodnia. Wdrożenie się do funkcjonowania w kolejne dni. Bez względu na zajmowaną pozycję w tak zwanej drabinie społecznej są z tym problemy. Bez znaczenia jest parytet polityczny czy płciowy, do pracy należy się udać. Zdaje się, że każdy w pierwszy dzień tygodnia krzyczy wymownie: jak żyć, jak żyć w poniedziałek?!

Poniedziałek polskiego społeczeństwa skutkuje bardzo poważnymi stratami w całej gospodarce. Nim się robotnik rozkręci i uruchomi urządzenie, mija cenny czas. Czas przeznaczony na dogonienie przodujących technologicznie gospodarek świata. Liczne urzędy wypełnione niepoliczalnymi masami urzędniczymi w każdy poniedziałek z opóźnieniem obsługują petenta. Skutkuje to tym, że rodzima administracja nie dorównuje tej międzynarodowej. (Choć z dumą podkreślamy, że w kategorii „ilość” jesteśmy w światowej czołówce. Chyba każdy ma w rodzinie kogoś zatrudnionego w administracji). Suma traconego czasu jest porażająca i galopuje niczym zadłużenie polskiego budżetu.

Ten dzień jest znacznie bardziej tragiczny dla każdego normalnego faceta. Pod tym należy rozumieć mężczyznę żyjącego pełnią życia. Czyli takiego korzystającego ze wszelkich dostępnych uciech. Grzegorz Bernard to typowy facet w wielkim mieście, używający prostych radości życia weekendowego. Zwyczajowo w poniedziałek cierpi na syndrom dnia poprzedniego, kiedy to szukał dnia, który mu znikł... we wcześniejszy weekend. Z całą pewnością nie jest najlepszym ciachem w mieście, ale czy o to chodzi? Jego świętej pamięci babcia Regina wielokrotnie powtarzała, że facet „ciut ładniejszy od diabła jest już przystojny”, więc przyjmując takie kryteria, można stwierdzić, że Grzegorz Bernard jest.

Właściwie to nie jest zwykły facet, tylko przyjezdny, a w dodatku gliniarz. (Za kilka lat w Warszawie zaczną takich nazywać słoikami). Sierżant Bernard jest od trzech lat dzielnym funkcjonariuszem VII Komendy Rejonowej Policji, mieszczącej się przy ulicy Grenadierów, zwanej przez tamtejszych gliniarzy pieszczotliwie Grenadą, że niby taka kolorowa i urocza kraina. W rzeczywistości to wyjątkowo siermiężna jednostka policji położona w mało ekskluzywnej części miasta.

Jako typowy słoik Bernard każdy wolny weekend spędza na dwóch intensywnych zajęciach. Pierwsze z nich to konsumpcja produktów monopolowych w gronie jemu podobnych. Czyli znajomych policjantów w miejscu pracy lub stałej dyslokacji. Drugą czynnością, której poświęca się z równym zapałem, jest polowanie. To zajęcie dla samców. Nie jest to polowanie klasyczne, mające na celu zdobycie mięsa. Choć czasami relacjonując kolegom wydarzenia, mówi, że trafiła mu się padlina. To polowanie na wdzięki pięknych kobiet, a nawet coś więcej niż tylko wdzięki. Hormony buzuja i pchają młodego samca w różne rejony miasta, gdzie atrakcyjnych kobiet nie brakuje. Niestety, wymaga to posiadania licznych atrybutów... ekonomicznych, w postaci waluty i dobrej fury. Nasz bohater takowych nie posiada, co skutkuje bardzo niskim efektem polowań. W wyniku wielu prób, zazwyczaj nieskutecznych, Grzegorz wyrobił w sobie pewien ideał kobiecego piękna. To niewiasta w wieku trochę przed czterdziestką, czyli „rycząca czterdziestka”, rycząca niczym fala sztormowa. Koniecznie wysoka, o ciemnej karnacji i brązowych włosach. Postawna i pełnokształtna, o wybujałych piersiach i szerokich, krągłych udach. Bez przesady z tymi krągłościami, ale jak Bernard mawia: „Cała pierś nie może wchodzić za jednym zamachem do ust”. Cokolwiek to znaczy, sierżant ma swoje upodobania co do wielkości i głębokości miseczki. Ma również wymagania w kwestiach mody. Jego wybranka powinna nosić się na poły

skromnie. Na poły: nie tak, by spod miniówki widoczna była bielizna, ale ubranie musi podkreślać walory kobiecego intelektu. Wielokrotnie miał już wytypowaną ofiarę, ale niestety. Odpowiednimi walorami nie dysponował, brutalna ekonomia wygrywała z jego niewątpliwym urokiem osobistym i walorem męskości. (Wtedy nie posiadał jeszcze umiejętności podrywu na gliniarza).

\* \* \*

Miejsce akcji: Wyższa Szkoła Policji w Szczytnie, w skrócie WSPol, zwana pieszczotliwie „Westpointem” na cześć elitarnej amerykańskiej uczelni wojskowej. W końcu akcja rozgrywa się na początku lat dziewięćdziesiątych: „zachłyst” Zachodem, a w szczególności jego amerykańską odmianą praktycznie nie ma granic w polskiej administracji. „Westpoint” nie jest nazwą funkcjonującą wyłącznie w wąskiej grupie kadry czy tylko nieco szerszym gronie słuchaczy. Słychać ją i na salonach władzy.

WSPol jest nie tylko kuźnią gliniarskiej kadry, lecz także placówką naukową, zajmującą się nowymi zagrożeniami w mrocznym świecie przestępczości pospolitej i zorganizowanej. Kadra dydaktyczna jeździ po świecie, wymienia doświadczenia i przywozi wiedzę z Zachodu. Nadrabia zaległości po latach minionych, gdy kierunki wyjazdu były bardzo precyzyjne i zgodne z sojuszami Układu Warszawskiego. (Któż dziś pamięta, w dobie miłości do NATO, że był kiedyś taki sojusz militarny, którego uczestnicy najbardziej bali się siebie nawzajem?). Kadra wykładowców jest żywcem przejęta z czasów, gdy była tu Szkoła Oficerska Milicji Obywatelskiej. Właściwie nie przejęta, tylko przetransformowana do nowych czasów roku 1995. W całości i w komplecie, z wszelkimi ułomnościami i zaletami fabryki oficerów. Transformacja w Szczytnie przebiega niezwykle łatwo. Zmiana tabliczki na ścianie budynku komendanta oraz na płocie ogrodu - i oto jesteśmy w nowych czasach, w demokracji. Łatwość zmian organizacyjnych nie ma nic wspólnego ze zmianą mentalną, gdyż mentalność, zwłaszcza kadry, wciąż tkwi w złotej epoce Milicji Obywatelskiej. Dostrzegalny jest rygor z poprzedniej epoki, co w rzeczywistości jest niezwykle korzystne dla procesu modelowania oficerów demokratycznej Polski.

Przygotowując luminary policji do służby społeczeństwu, uczy się tu o sposobach i metodach prowadzenia złożonych operacji, ale również jak zwalczać poszczególne przestępstwa. Owocem nowych kontaktów kadry dydaktycznej z zachodnim światem staje się poznanie nowych trendów przestępczych, które wkrótce dotrą do naszego zacofanego społeczeństwa. Należy przygotować oficerów do zbrodniczego *novum*. Modne staje się nauczanie o stalkingu, który ma zacząć doskwierać rodzimej społeczności już w najbliższym czasie. Krajowe przepisy wtedy jeszcze tego czynu nie określają ani za niego nie karzą, więc uczy się na zachodnich przykładach i oczywiście próbuje porównać do rodzimej rzeczywistości.

Słuchacze kursu oficerskiego, jak wtedy zaczęto nazywać podchorążych nowych roczników studiów, zostają wciśnięci w kolejny już eksperyment pedagogiczny. Polega on na tym, że raz w miesiącu jeżdżą na kilka dni do WSPolu, gdzie uczestniczą w zajęciach teoretycznych w warunkach laboratoryjnych, a następnie wracają do swoich siermiężnych miejsc pracy. Pomysłodawca kursu oficerskiego zakładał, że umysł podchorążego chłonać będzie wiedzę jak sucha gąbka wodę. Że jak tylko podchorąży będzie miał zadaną pracę i pójdzie do macierzystej jednostki, to będzie się błyskawicznie uczył i jednocześnie doskonale pracował. Swoją postawą będzie wdrażał w terenie nowe trendy policyjnej roboty. Różnice pomiędzy teorią a praktyką mają wywołać szok intelektualny i poskutkować wysokiej jakości produktem: oficerem nowej polskiej policji służącym demokratycznej ojczyźnie.

\* \* \*

Ten kurs jest wyjątkowy: ilościowo dominują w nim warszawiacy. Postawa komendanta stołecznego, generała Stańczyka, który przybył ze Szczecina i jest określany jako szczeciński, przyczyniła się wydatnie do tego, że po raz pierwszy tak liczne szeregi warszawskich policjantów zostają poddane obróbce dydaktycznej. Szczeciński uznał, że policja warszawska ma być awangardą przyszłych przemian organizacyjnych w strukturach bezpieczeństwa. (Tych rzeczywistych. Bo dotychczasowe są iluzoryczne i zakładają głównie zmiany nazw oraz napisów). Nowa kadra oficerska ma raz na zawsze doprowadzić do odcięcia się polskiej policji od pępowiny Peerelu.

Miłość Polaków pozawarszawskich do mieszkańców stolicy jest powszechnie znana; warszawiacy sami sobie ciężko na nią zapracowali. Zaś miłość do nich kadry pedagogicznej fabryki oficerów jest szczególna i specyficzna. W końcu to ze stolicy przychodzą coraz bardziej irracjonalne wytyczne do dydaktyki. To kontrole z Warszawy burzą spokojne życie w Szczytnie, a „spadochroniarze” zatrudniani na kierowniczych stanowiskach zniszczyli niejedną ciepłą posadkę. Tu pojęcie „z Warszawy” nabiera innego brzmienia i znaczenia. Wszelkie zło spływa ze stolicy, a na dodatek ten warszawski rocznik... Słuchacze-podechorążowie świetnie to odczuwają. Choć w konsekwencji nie jest to takie złe, bo tylko korzystnie wpływa na ich proces szkolenia. Policjanci z Wydziału Ruchu Drogowego Komendy Rejonowej w Szczytnie najczęściej kontrolują uczących się tu warszawiaków. Ciężko jest karać swoich w postępowaniu mandatowym. Ta zasada nie dotyczy jednak „tych z Warszawy”.

Sytuacja na uczelni jest podobna do tej na wzgórzach Golan: strefa zdemilitaryzowana jest niewidoczna, ale bardzo skuteczna. Słuchacze warszawscy, niczym Indianie w rezerwach, tkwią stłoczeni w pokojach akademickich. W Szczytnie warszawki nie lubią i dają temu wyraz w każdej sytuacji.

Policjanci z różnych komend, wydziałów i komisariatów zjeżdżają się z całej Polski od niedzieli rano. Warszawscy zwyczajowo samochodami osobowymi, po parę osób. Ci z dalszej części kraju publicznymi środkami komunikacji, co tylko bardziej podkreśla istniejącą linię podziału. Niedzielne popołudnie na obiektach uczelni zamienia się w wielkie samcze zbiegowisko. Należy dodać, że dominacja męska jest bardziej niż przytłaczająca; zdecydowana większość słuchaczy to faceci przed czterdziestką. Na kampusie uczelni (wtedy używano określenia „obóz internowanych”) jest kilkuset mężczyzn i zaledwie parę kobiet. Dobrano ludzi o jak najmniejszym okresie pracy w milicji lub, jak sierżant Bernard, nowych.

W tym czasie z kobietami w policji jest dziwnie. Niby stanowią dominującą grupę na każdym praktycznie wydziale dochodzeniowym w Warszawie, ale w całej formacji są bardzo nieliczne. Czasy parytetu nie śnią się nawet ówczesnym postępowym filozofom.

Jest pewna specyfika tych kobiet: mieszczą się w kategorii „matki, żony, kochanki, siostry i córki” i należą do wielkiej policyjnej rodziny. Dla osób niezajmujących się zawodowo badaniem socjologicznym milicji i nowo powstałej policji to określenie nic nie znaczy. W rzeczywistości kobiety te zazwyczaj powiązane są personalnie z innymi funkcjonariuszami, najczęściej wyższymi oficerami. jW czasach Peerelu ministrowie MSW używali z okazji świąt państwowych w oficjalnych wypowiedziach, tak zwanej nowomowie, pojęcia „milicyjna rodzina”. Nie było przesady w tych słowach. Milicja już od średniego szczebla kierowniczego w górę była opleciona rodzinnymi powiązaniem niczym pajęczą siecią.

Sierżant Grzegorz Bernard już na samym początku służby przekonał się, że kontakt choćby z najbardziej społecznie otwartymi funkcjonariuszkami może się dla niego źle skończyć. Jest tylko słoikiem z prowincji bez milicyjnych powiązań, taki romans mógłby się dla niego zakończyć szybkim powrotem na Kielecczynę. Więc najatrakcyjniejsze choćby policjantki omija szerokim łukiem, nawet nie wzdychając na ich widok.



\* \* \*

Pierwszy rok studiów zawsze jest najintensywniejszym okresem zdobywania wiedzy. Doskonale wiedzą o tym wykładowcy, nie ingerując zbytnio w to, co się dzieje w obiektach uczelni. Zadawają się faktem, że do zniszczeń czy głośnych ekscesów nie dochodzi. Oficer dyżurny stara się swoją obecnością nie być nachalny. Wraz ze swoim pomocnikiem oraz dowódcą warty nie opuszczają stanowisk pracy w budynku komendatury, czyli tuż przy bramie wjazdowej. Wiadomo, że jutro już od porannego apelu studenci podchorążowie i tak dostaną w dupę i łeb, jak mawiali starzy wykładowcy socjalistycznej etyki. Już za parę godzin wrócą właściwe relacje mistrz-uczeń, i to w starym, peerelowskim stylu.

Niedziela, czas zakwaterowania na najbliższe parę dni. Słuchacze przez całe popołudnie roją się niczym pszczoły w nowym ulu. Przelatują regularnie, udają się po pyłek kwiatowy, co z kolei ich nakreca do przemieszczania się w ulu i w całej pasiece. To ostatni dzień weekendu, zaś tradycja jego obchodzenia jest bardzo podobna jak w całym kraju. Pyłek kwiatowy leje się strumieniami i nikt nie przejmuje się tym, że jutro ten fatalny poniedziałek, że jutro początek ciężkiego tygodnia.

VII Komenda Rejonowa z Grenady, miejsce początkowej kariery naszego bohatera, ma całkiem licznych przedstawicieli w kampusie szczytnieńskim. To policjanci różnych specjalności, z kryminalnego, dochodzeniówki i patrolówki. Cała trójka z Grenady trzyma się od początku razem, zajmując wspólny pokój: sierżant Bernard, aspirant Mierosław i sierżant Sławoj. Do trójki dołącza czwarty słuchacz z Komendy Głównej Policji.

Mierosław jest policjantem o najdłuższym stażu z całej trójki, bo pełnił funkcję milicjanta przez trzy lata, zanim został policjantem. Jest wiodącą postacią w wydziale dochodzeniowo-śledczym i zajmuje się najważniejszymi sprawami w komendzie. Posiada już rzetelną wiedzę i spory bagaż doświadczeń. Nie ma praktycznie żadnych nawyków z minionej epoki, prócz jednej przypadłości, ale całkiem niewinnej. Nie uznaje, że dzień służby może minąć bez konsumpcji, taki dzień jest dla niego bezpowrotnie stracony. Jest warszawiakiem z Wawra, oddanym swojej pracy; znacznie mniej oddawał się będzie zdobywaniu wiedzy w WSPołu. Fizycznie jest mężczyzną o nieszczególniej aparycji, podobnie jak Bernard, jednak on także jest ładniejszy od diabła. Ma żonę, która chyba musi go bardzo kochać, skoro jest z nim, mimo jego zauważalnych braków urody oraz faktu, że codziennie wraca tam w dobrym humorze. Poza tym nie zawsze udaje mu się wracać do domu na noc, co powoduje, że w hierarchii męskiej tej komendy jest bardzo wysoko notowany.

Sławoj to pierwszy młody warszawiak przyjęty po sierżancie Bernardzie i było to w komendzie nieziemskie wydarzenie, bo do tej roboty na początku lat dziewięćdziesiątych warszawiacy się nie garnęli. Najmłodszy i zdecydowanie najbardziej ambitnie traktujący swoją obecność w policyjnej *alma mater*. Zdecydowanie najogólniejszy z nich wszystkich, pozostający w stanie narzeczeństwa, sprawia wrażenie, jakby pomiędzy nimi był obcy.

Czwartym jest najstarszy wiekiem aspirant Szczur, który dołączył do nich z Głównej. Ta wspaniała czwórka bardzo często dojeżdża do Szczytna zaszczurzoną mazdą, czyli autem, którego właścicielem jest aspirant Szczur. To auto to skrzyżowanie klasycznej terenówki z podrasowaną wyścigówką, a wszystko to w starej budzie poczciwej mazdy. Sama jazda ze Szczurem jako kierowcą nosi znamiona filmu akcji. Szczur podkreśla, że przeszedł wszelkie kursy jazdy specjalnej. W przypadku jakiegokolwiek zwątpienia udowadnia posiadanie odpowiednich umiejętności, do których zalicza wyprzedzanie z prawej strony czy wchodzenie w zakręt na trzeciego.

Szczur to szczególna postać o bardzo urozmaiconym życiorysie zawodowym. Wiele lat służył w milicji, od początku lat osiemdziesiątych w pododdziale antyterrorystycznym Komendy Stołecznej Policji.

Na samym początku lat dziewięćdziesiątych odszedł za lepszym chlebem. Wtedy powstawały pierwsze agencje ochroniarskie, które znacznie lepiej płaciły, ale chyba nie zajmowały się ochroną przed złodziejami, a raczej przed policją. Po wielu perypetiach, niekiedy na granicy prawa (był zatrzymywany w dziwnych i głośnych sprawach), po dwóch latach powrócił w glorii do służby w nowo powstałej elitarniej komórce, wydziale do spraw przestępczości zorganizowanej. Pochodzi z dobrej socjalistycznej rodziny, ojciec - redaktor w „Trybunie Ludu”, brat - wzięty dziennikarz „solidaruchami zachwycony”, przynajmniej tak go Szczur określa. W okresie mroku stanu wojennego Szczur chadzał pod ambasadę amerykańską, śpiewając pieśni antyimperialne. W reżimowej telewizji chwalono potem ową spontaniczną reakcję studentów. (W tym czasie rzeczywiście studenci, jak tylko się zebrali w pięciu, byli już obiektem zainteresowania Milicji Obywatelskiej). Szczur opowiadał, że jak Jankesy się z Kubańczykami napinali politycznie, na przykład w rocznicę desantu w Zatoce Świń, to były to najbardziej intensywne i kolorowe protesty. „Niezależni polscy studenci” wspólnie z kubańskimi studentami i innymi Murzynami śpiewali i tańczyli przed ambasadą USA. Jacyś smutni panowie wołgami dowozili im, co tylko studencka awangarda wolności potrzebowała. Słynne uprowadzenie przez milicję członków Rady Prymasa Szczur zna z innej strony: kierowcy odwożącego zatrzymanych. Teraz jest już żywą legendą dla trójki pozostałych, a na dodatek ma wysokie koneksje. Gdzie się nie pojawi w przepastnych budynkach fabryki oficerów, tam ma znajomych lub znajomych znajomego. Ma jednakże pewną cechę osobowości, która zdecydowanie utrudnia funkcjonowanie w policji: jego organizm źle toleruje alkohol. Uff... Ta osobista przypadłość powoduje, że z sierżantem Bernardem tworzą bardzo osobliwy duet towarzyski, a od pewnego momentu już parę symbiotyczną. Bernard jest osobnikiem, który alkohol wchłania niczym ożywcze górskie powietrze. Natura obdarzyła go talentem, że potrafi przyjąć go w ilościach ponadprzeciętnych, a osobiste przymioty sprawiają, że czyni to z radością i odpowiedzialnością. Bardzo często musi zastępować Szczura w jego licznych kontaktach na średnim szczeblu dydaktycznym w całym systemie nauczania.

Ten dziwny duet, połączony potrzebą wzajemnego uzupełniania, przetrwa lata, w szacunku i chyba przyjaźni. Jeden solidaruch nucący pod nosem *Mury* Jacka Kaczmarskiego, a drugi jakieś kubańskie melodie. Obaj wyjątkowo nieuzdolnieni muzycznie. Jeden z zachwytem patrzy na, jak mu się wtedy wydaje, centrum światowej demokracji, Kapitol. Drugi z rozrzewnieniem i tkliwością mówi o proletariuszach i ich stolicy, Moskwie. Sprzeczność w każdej dziedzinie społecznej czy politycznej czuć na odległość. Czasami Szczur po kolejnej imprezie budzi Benka (jak nazywają Bernarda koledzy), śpiewając hymn światowego proletariatu *Wykłęty powstań ludu ziemi*. Mimo że jest całkowicie pozbawiony choćby odrobiny słuchu, tę pieśń śpiewa wręcz wzorcowo. Posiada jeszcze umiejętność doskonałego zaśpiewania hymnu sowieckiego w oryginale. Dysponuje również cenną osobistą wiedzą o tak zwanym mieście, gangsterach warszawskich, ze szczegółami, a ta część policyjnej profesji jest dopiero przed Bernardem. Imponuje Grzegorzowi znajomością literatury, w szczególności iberoamerykańskiej. Posiada wszechstronną wiedzę o świecie, tak jakby z Benkiem słuchał Wolnej Europy czy czytał zakazaną bibułę. Sypie z rękawa przykładami rodzinnych koneksji bohaterów rewolucji solidarnościowej, opowiada o relacjach tytanów Sierpnia ze Służbą Bezpieczeństwa. Najbardziej wkurza Bernarda historyjką o jednej motorówce, co do stoczniovców podpłynęła z ich przyszłym liderem. Sterować miał nią kumpel Szczura. Mimo że Szczur w tych latach był tam, w jednostce nurków bojowych, Bernard traktuje te wypowiedzi jako złośliwości wysane z palca propagandy ubeckiej. Wierzy w płot, wierzy w ideę zbudowania nowej Polski. Szczur nigdy nie angażuje się jednak emocjonalnie w to, co mówi. Ich dyskusje zwyczajowo zaczynają się w podróży do Szczytna, przy całkowitej bierności sierżanta Sławoja, dla którego są one zupełnie niezrozumiałe. Zaś aspirant Mierosław charakterystycznym chrząkaniem nosowo-gardłowym popiera lub zaprzecza (częściej potwierdzając) historie opowiadane przez Szczura. W miarę zwiększania

ilości płynu dyskusja polityczna za kółkiem całkowicie zamiera, przechodząc na typowe samcze, napastliwie seksualne tematy.

Pasażerowie mazdy już lekko zmęczeni docierają do uczelni tuż po południu. Podobnie jak inni studenci podchorążowie, zajmują swoje pokoje i włączają się w rojenie w całej pasiece. Donoszą kolejne porcje pyłku kwiatowego, wykładają domowe wiktuały. Nie wszyscy słuchacze koczują na co dzień w hotelu. Większość posiada żony, niezwykle ważne obiekty w zakresie realizacji męskich potrzeb. Inni są wyposażeni przez troskliwe mamy. Na prowizorycznym stole po chwili lądują rarytasy z rodzinnych kuchni.

W warszawskim (czyli zamieszkałym przez znieawidzonych ze stolicy) pokoju przebywają czterej znani nam już funkcjonariusze i jeszcze dwaj z wołomińskiej komendy. Nasi szybko znaleźli z nimi wspólny język, bo swojskie to są chłopaki. Dobrą berbeluchę potrafią dostarczyć w ilościach wskazujących na prowadzenie odkazania kompleksu budynków. Przywożą domową kiełbachę, co przypomina Bernardowi o jego prowincjonalnych upodobaniach. Potrafią dyskutować o traktorach, co czyni ich jeszcze bardziej towarzysko atrakcyjnymi dla Bernarda. Poza tym są z Wołomina - ta miejscowość cieszy się wówczas powszechną estymą.

Wraz z liczbą przybywających do pokoju wprost proporcjonalnie wzrasta poziom zadowolenia biesiadników. Trzej następni są z Bielan. Faktycznie z żoliborskiej komendy rejonowej, ale nie wiedzieć czemu upierają się, że z Bielan. To najwięksi dyskutanci, a w temacie policyjnych reform pieprzą bez sensu na trzeźwo tak samo, jak pod wpływem. To z nimi dochodzi do największych sporów i knajackich dyskusji. Z uwagi na to, że preferują raczej ilość niż jakość, daje się z nimi wytrzymać. Już w trakcie zdobywania szlifów okaże się, że jeden ze zdolnych z Bielan zostanie kierowcą komendanta głównego, tego od reform, co bardzo źle skończy. Tylko kierowcą, a poczuje się prawą ręką, a raczej „palcem bożym”, i jako sierżant na odprawach z komendantami wojewódzkimi będzie ich ostro gromić. Szybko wyjdzie na jaw, że świadectwo maturalne podrobił osobiście, przy okazji okaże się, że to drobny naciągacz i hochsztapler. No ale jest z Bielan. Są jeszcze dwaj z Woli, z komendy rejonowej, akurat obaj grzeczne, ułożone chłopaki, nigdy nie odmawiają, zawsze potrafią w porę donieść brakujący płyn. To najspokojniejsi uczestnicy tych pijackich dyskusji o niczym, posiadający sznyt warszawskiej tradycji; pewnie dlatego nieco ze zdziwieniem wsłuchują się w niektóre dyskusje.

Imprezka zaczyna się tradycyjnie: od narzekania. Wszyscy przekrzykują się, że nie mieli czasu się uczyć, bo na macierzystych komendach był taki zapieprz. Jak w przysłowiowej opowieści o budowlańcu na budowie, co z pustą teczką latał. W ich przypadku - z postępowaniem przygotowawczym z komendy do komisariatu i po pokojach. Opowiadają sobie nawzajem, jak gnali ich w teren na rozpoznanie, do prokuratury po wytyczne, a na naukę czasu nie było. Wstęp w żarliwej dyskusji toczy się zwyczajowo do piątej, szóstej kolejki. To jest do czasu, gdy umysł jest na tyle sprawny, by posługiwać się słownictwem procesowym i terminologią kryminalistyczną. Następne kolejki powodują przejście do drugiego etapu: ci podli przełożeni, co nas nie rozumieją. Później już błyskawicznie trafiają do etapu: jaka ta policja głupia, co za nieudolny system. To etap najbardziej wzniosłych dyskusji o zmianach i o potrzebie wielkiej reformy policji. Słowotok poszczególnych ekspertów bywa często niekompatybilny z pozostałymi, a ferwor dyskusji zbliża się do apogeum, które następuje, gdy towarzystwo dzieli się na podgrupy, a z czasem na prowadzenie wychodzą indywidualne wypowiedzi niepotrzebujące słuchacza.

Zbliża się północ. Sierżant Bernard przechodzi na indywidualny tok dyskusji z sierżantem Omercikiem, który dotychczas był specjalistą od wszystkiego, a teraz okazuje się, że też od... Zaskoczony Bernard słucha, jak Omercik opowiada, z jaką sprawnością języka doprowadza żonę do szczytowania.

- Językiem jadę, tu, widzisz, tu, tu od kolan, od wewnętrznej strony - fachowo tłumaczy sierżant

Omercik. - Pamiętaj, nie za szybko i nie zwilżaj zbyt, a jak dojedziesz do...

Widać, że znalazł odpowiedniego odbiorcę, którego może poinstruować o sposobach i metodach prowadzenia złożonych operacji. Nikt nie zwraca uwagi na rozmowę tej dwójki. Osobiste historie coraz bardziej podobają się Bernardowi, bo kolega nie szczędzi szczegółów fizjonomii swojej, jak się zdaje, uroczej małżonki.

Zaafelowani panowie nie zauważają, że w pokoju zapanowała przenikliwa cisza i wszystkie gęby skupione są na ich dyskusji.

Bernard dopytuje:

- Jak długo zajmuje ci doprowadzenie jej do ekstazy?

Omercik odpowiada z dumą:

- Pięć, maksymalnie siedem minut i każda się będzie wiła.

Na tę okoliczność pokazuje swój duży język. W tym momencie obaj zauważają, że są w centrum uwagi.

\* \* \*

Poniedziałek, ten straszny dzień, w kampusie „Westpointu” jest porażający. Smętnie rozlażle grupki podchorążych ledwo się toczą na zajęcia, miast iść zwartym korpusem, krokiem marszowym. Mazurskie powietrze nie jest w stanie rozwiać woni unoszącej się od plutonów słuchaczy. Podchorążowie szczerze wypełniają salę wykładową, wypychając do pierwszych rzędów tych, co dotarli w ostatniej chwili. Zawsze taki jest mniej zmęczony niż ten, co niedzielne popołudnie spędził w kampusie. Sierżant Grzegorz Bernard zajął, jak mu się zdawało, strategiczne miejsce w środku, starając się obniżyć pozycję strzelecką tak, by nie być zauważonym przez wykładowcę. Powieka ciężka, a jednostajny szum sali wykładowej usypia błyskawicznie. Poniedziałek niczym zbrodniarz katuje swoje niewinne ofiary, słuchaczy „Westpointu”.

W pewnym momencie słyhać wyjątkowo dobitny głos:

- Omów przykład stalkingu, z jakim spotkałeś się w swojej służbie.

Na sali zapada głucha cisza.

- Mieliście zadane ustalić podobne przykłady w swoich komendach. Odpowiadaj.

Głos zmusza sierżanta Bernarda do powrotu do rzeczywistości. Przed nim stoi wykładowca przestępstw pospolicznych, który z niecierpliwością oczekuje pożądanej reakcji słuchacza, najlepiej wyprostowanego na baczność. To wyjątkowo doświadczony belfer, jeszcze zdążył załapać się na utrwalanie władzy ludowej. Do niedawna kształtował kadrę oficerską zbrojnego ramienia przewodniej siły socjalistycznej ojczyzny. Obecnie musi borykać się z elementem ideowo mu obcym. Nie rozumie nowych czasów, choć wdraża dydaktyczne nowości.

Ponawia prośbę słowami:

- Długo mam czekać, do kurwy nędzy, zanim pan sierżant raczy coś wydukać?

Potrafi soczyście nacierać na opornych słuchaczy.

Do świadomości sierżanta Bernarda z bólem dociera, że musi jednak zaistnieć w rzeczywistości i przezwyciężyć syndrom dnia poprzedniego. Rozpoczyna mało dynamicznie:

- Stalking to nowy, nowy... - dukając, rzuca ratunkowe spojrzenie na siedzącego po lewej aspiranta Szczura, pracującego w nowej, elitarniej formacji, może coś słyszał, może coś wie, może podpowie.

Szczur nie powinien mieć tak intensywnego syndromu jak pozostali uczestnicy, jego twarz ewidentnie wskazuje na myślenie. To na chwilę daje nadzieję. Jednak nie, on ma taki tik, jakby myślał, ale to tylko

efekt strzelaniny z jakimś ruskim bandytą na placu Hallera. Nabój wszedł pod czaszkę. Kiedyś był w jednostce antyterrorystycznej, więc jak skopać delikwenta, to Szczur by wiedział, ale stalking?

- Stalking... to, to... przestępstwo... występujące w zachodnich społeczeństwach - bełkocze Bernard.

Następnie rzuca spojrzenie na prawo. Aspirant Mierosław, który wiedzę praktyczną i teoretyczną w zakresie podróbek alkoholi ma na poziomie najlepszego laboratorium kryminalistycznego, nie jest jednak w stanie wesprzeć Bernarda w tej materii. Zresztą twarz aspiranta wskazuje jednoznacznie na specjalizację. Co by nie powiedzieć o wymienionych, to do najwybitniejszych słuchaczy policyjnego „Westpointu” nie należą. Czwartym, najmłodszy i prawie geniusz, sierżant Sławoj, mimo że należy do grona lepszych słuchaczy, z przerażeniem odrzuca błagalny wzrok Benka.

- Czy wiesz, elew, co będzie, jak nie zaliczysz? - szyderczo dobija wychowawca kadry kierowniczej policji. (Bo elew to niższa klasa niż podchorążym. Relegowanie zawsze wiąże się z konsekwencjami służbowymi, a to z finansowymi).

Bernard przypomina sobie, że Amerykanie wskazują, że przestępstwo stalkingu zachodzi wtedy, gdy się nęka ofiarę. Wysyłając duże ilości niechcianych maili, fotografii lub zarażając komputer wirusem. Tyle zapamiętał, a nie ma specjalnie łatwych skojarzeń. W rodzimej Komendzie Rejonowej Praga-Południe jeszcze nawet nie powiało amerykanizmem. Jest tylko jeden komputer, pozostałe to depozyty, czyli fanty odebrane. To niezwykle cenne urządzenie stoi u komendanta Orzecha, zresztą nie działa, ale świetnie zdobi gabinet. A gdzie internet? Szkoda gadać, złośliwe maile czy wirusy nękające odbiorcę są wykluczone.

Cierpliwość belfra się kończy, robi się bardzo gorąco. Bernard przypomina sobie wykład profesora Hołysta, opisujący stalking w polskich warunkach.

- Typowy sposób postępowania polega na częstym nawiedzaniu innej osoby w domu, miejscu pracy bądź innym miejscu, w którym ofiara się zatrzymuje bądź przebywa. Ofiara jest zaczepiana, namawiana do aktów seksualnych, przy czym wszelkie odmowy jedynie sygnalizują sprawcy, że powinien zintensyfikować wysiłki - Bernard cytuje zasłużonego profesora.

- Podawaj przykłady ze służby - domaga się wykładowca, ale znacznie spokojniej.

Bernard zupełnie przypadkowo zerka na sierżanta Omercika.

Ten śpi spokojnie z otwartymi ustami, z których wystaje język... jakby narzędzie przestępstwa.

Przez wypełnioną po brzegi trunkami głowę Bernarda w końcu przepływa iskra wzbudzająca mózg do działania.

- W środku nocy zostałem ściągnięty na Grenadierów, do roboty - zaczyna energicznie sierżant. - Dzwoniący oficer dyżurny pod żadnym pozorem nie chciał podać, co to za wydarzenie. Powiedział, że z grupy dyżurnej dwóch policjantów robi oględziny, inni jadą w teren. Potrzebny jest dobry przesłuchujący, bo sprawa zawiała. Tajemniczo dodał: „Nie musisz się spieszyć”.

Niczym karabin maszynowy sierżant Bernard opowiada dalej:

- Odpaliłem furę, czyli niebieskiego malucha, i ruszyłem, mając nadzieję, że nareszcie rozsypłam jakieś zabójstwo. Zdziwiła mnie obecność naczelnika i kierownika. Oni przesłuchiwali, gdy było coś skomplikowanego i gdy był nawał roboty. Teraz również nie chcieli mi nic konkretnego powiedzieć. „To nie zabójstwo”, rzucili i wepchnęli mnie do pokoju przesłuchań. „Tylko dobrze przesłuchuj, dokładnie i ze szczegółami”, powiedzieli, ale nie usłyszałem ich odchodzących od drzwi kroków. Chyba tam zostali, kontrolując moje czynności procesowe. Spojrzałem na siedzącą osobę. - Bernard zamyślił się na krótką chwilę.

To była kobieta, ta kobieta. Ciemna karnacja wręcz błyszcząca w świetle migającej i buczącej jarzeniówki w pokoju numer 37. Niewątpliwa uroda z trudem przebijała się przez nieludzkie zmęczenie

emanujące z twarzy. Włosy w kolorze kasztana w nieładzie, jakby celowo potargane przez fryzjera. Walory kobiecego intelektu swobodnie emanowały spod ubrania. Eleganckiego i szykownego, założonego wyjątkowo niestarannie, a może w pośpiechu. Pierś taka, co by... ust nie szło oderwać. Gładkie jak jedwab udo osłonięte tylko do połowy.

Bernard:

- Pomyślałem, że to gwałt lub wykorzystanie skrajnie trudnego położenia ofiary. Starając się koncentrować wzrok na protokole, możliwie najbardziej matowym głosem zapytałem: „Gdzie on TO pani zrobił?”. Chciałem ustalić miejsce zdarzenia. Kobieta podniosła wzrok, jakby mnie nie zauważyła wcześniej: „W pokoju hotelowym” - odpowiedziała w tempie ślimaczym.

„Zwabił podstępem czy siłą przywiódł?” - nacierałem zgodnie z zasadami siedmiu złotych pytań kryminalistyki.

„Nie, dobrowolnie z nim przyjechałam” - rzuciła bez emocji.

„Rozumiem, że panią do innych czynności seksualnych siłą przymusił” - drążyłem.

„Ależ skąd, to kolega mojego męża - zaczęła opowiadać z lekkim skrepowaniem. - Chciałam z nim porozmawiać, więc zostawiłam dziecko u rodziców i pojechaliśmy, mieliśmy wieczorem wrócić. Najpierw kolacja, potem do pokoju i no wie pan...”

Niestrudzenie dążyłem do ustalenia przebiegu przestępstwa:

„Wykorzystał panią podstępem i... odbył stosunek? - Nie czekając na odpowiedź, ustalałem: - Gdzie miał miejsce wytrysk?”

Przesłuchanie wymaga precyzyjnego zbadania przebiegu zdarzenia przestępczego celem prawidłowej klasyfikacji prawnej.

Tłumaczyłem jej:

„Musimy zabezpieczyć wydzielinę na miejscu czynu przestępczego lub pobrać od pani wymaz, będzie dowód, by skazać tego gwałciciela”.

Wzrok jej zabłyszczał:

„Jakiego gwałciciela?”

Zdębiałem. O co tu chodzi?

Ofiara zaczęła mówić:

„Najpierw całował mnie po twarzy, później po piersiach, a później, wie pan, o tu, od kolan zaczął. - Spojrzałem na wskazane miejsce, ale wytrzymałem. - Wie pan, no tam dotarł”.

„No i co?” - zapytałem.

„Całował i... no, lizał mnie”.

„Co pani robił?” - nie wytrzymałem i musiałem dopytać.

„Lizał mnie i lizał, a ja prosiłam, żeby mnie zostawił w spokoju”.

„Przez cały czas?” - ustalałem.

„Nie cały - odpowiedziała. - Zrobił przerwę i zamówił szampana do pokoju”.

Kontynuowałem:

„To była pani metoda odwrócenia uwagi i próba ucieczki?”

„Nie - odpowiedziała. - Ja tylko chciałam jeszcze się napić, ale jak kieliszki były puste, to on znów zaczął”.

Ustalałem dalej:

„Gdy kelnerka była w pokoju, mogła pani uciec?”

„Nago, bez ubrania?” - zdziwiła się.

Przez głowę przebiegły mi wszystkie znane przypadki gwałtu i innych czynności seksualnych

kwalifikowanych jako przestępstwo, ale ten był niepodobny do niczego. Jak to zakwalifikować i jak ścigać takiego zbrodniarza?

Z zadumy wytrąciła mnie ofiara: „Znów mnie lizał. Prosiłam go, by przestał, że nie jest mi przyjemnie. Wie pan sierżant, jak było mi mokro”.

Akurat nie wiedziałem, ale to nie miało znaczenia.

„Jak on mnie tam - kontynuowała - to zadzwoniłam do ojca, żeby po mnie przyjechał, podałam adres i numer pokoju”.

„Do ojca?” - spytałem zaskoczony.

„Bo co, do męża miałam dzwonić?” - odcięła się.

Wtrąciłem:

„Z jakiego telefonu prowadzona była rozmowa? To pani na chwilę się oddaliła?”.

„Nie, z pokoju dzwoniłam, ze stacjonarnego, kiedy on był w łazience, ale nawet przy nim rozmawiałam. Jak on to robił, to był tak zajęty, że nie zwracał uwagi na nic. To jakiś wariat czy co”. - W jej głosie nawet uznanie dało się słyszeć.

„To po co była pani potrzebna policja?” - nie wytrzymałem.

„Mnie do niczego. Jak moi rodzice przyjechali, to on nie chciał pokoju otworzyć, jakiś patrol się trafił i zrobiła się afera”.

„Czy świadek składa wniosek o ściganie i ukaranie sprawcy?” - na koniec przesłuchania zapytałem rutynowo.

Wykładowca słucha, nie kryjąc zaskoczenia.

- Nie wiem, panie inspektorze, jak ten czyn został zakwalifikowany, przyjechałem na wykłady do Szczytna - podsumowuje Bernard. - Chyba to jakiś kazus, bo na gwałt nie spełnia znamion, a stalkingu nie mamy w przepisach.

Bernard spogląda na salę. Adeptci trudnej sztuki zwalczania przestępstw pospolitych słuchają w wyjątkowym skupieniu, ucząc się, jak przeciwdziałać nowemu zagrożeniu. Wszyscy z otwartymi ustami, oprócz sierżanta Omercika.

- Stalking może przybierać różne formy fizycznego oddziaływania - kończy podchorąży Bernard efektownie.

\* \* \*

Parę dni później, jeszcze w szkole, sierżant Bernard przeczytał w „Super Expressie” artykuł *Języczek swawolniczek* napisany przez znaną dziennikarkę Małgorzatę Janczewską. Opisała tę „dziwną przygodę erotyczną pięknej mężatki”. Czytelnicy byli zachwyceni i domagali się drugiej części. Autorka nie podała, z jakiego artykułu kodeksu karnego wszczęto postępowanie przygotowawcze, ale napisała, że to sprawa rozwojowa.

Bernard pomyślał: „Pewnie sprawca niejedną kobietę tak nękał, a po apelu w prasie wiele jego ofiar zgłosi się do VII Komendy Rejonowej, no i będę miał kogo przesłuchiwać. Chyba znajdę materiał na pracę dyplomową na egzamin oficerski”.

## Wtorek

# CYWIL, FUNKCJONARIUSZ, PIES

**W**torek, drugi dzień tygodnia. W tym dniu wiele osób podejmuje szereg wyzwań, czasem zwykłych i codziennych, a czasem takich, które mają zmienić bieg ich życia. Nie rozpoczynają w poniedziałek, bo wszystko będzie się wlokło przez cały tydzień, jak stanowi przesąd. We wtorek to zupełnie inaczej, minął już najgorszy dzień tygodnia. Polska nazwa wywodzi się od słowa „wtóry”, co oznacza zarówno drugi, jak i kolejny. To dzień na kolejną szansę. Dobrze w tym dniu podjąć ważne życiowe decyzje.

\* \* \*

Jest styczeń 1992 roku, wtorek, godziny przedpołudniowe, słonecznie. Dobry dzień do wcielenia w realia najważniejszej decyzji życia: o wstąpieniu do służby w policji.

Grzegorz Bernard, lat dwadzieścia dziewięć, sprężystym krokiem wchodzi do budynku VII Komendy Rejonowej Policji. Nad drzwiami wejściowymi widnieje jeszcze zamocowana stara tabliczka z napisem: REJONOWY URZĄD SPRAW WEWNĘTRZNYCH DLA DZIELNICY WARSZAWA PRAGA-POŁUDNIE. Bernard nie ma świadomości, że jest to informacja o skansenie politycznym i że do niego właśnie wchodzi. RUSW to symbol minionej epoki. Była to komórka organizacyjna, urząd, w którym mieściły się różne elementy organów ścigania: policja polityczna, czyli Służba Bezpieczeństwa, policja kryminalna oraz mundurowi policjanci. I zawsze był tu oficer polityczny. Jego zadaniem, zdaje się najważniejszym, było utrzymanie wśród funkcjonariuszy „jednolitej linii politycznej państwa i partii, bo partia i państwo to jedność”.

Po przekroczeniu progu cywil Bernard, pełen animuszu, znajduje się w czymś na kształt poczekalni dworcowej. W pomieszczeniu unosi się zapach duszonej cebuli i denaturatu. Z lewej dwie ławki, takie, co niegdyś w parku stały. Na jednej siedzi zapłakana kobieta, na drugiej dwóch panów. Słowo „panowie” jest nieadekwatne, bo wyglądają jak wzorcowi kryminaliści z dziarami na twarzy. Na wprost są drzwi do jadłodajni z napisem U KOZŁA, przez które ciągle ktoś wchodzi i wychodzi. Z prawej tuż przy drzwiach przykuwa wzrok niemilosierne obdrapaną ścianą, a w niej okratowane małe okienko, część szyby podnoszona jest do góry. Bernard stuka w okienko. Za szybą bokiem do niego stoi postawny jegomość z czarnym wąsem i rozmawia z innym mundurowym. Grzegorz ponawia pukanie, znacznie mocniej - znowu bez reakcji. Speszony cofa się do drzwi. W tym momencie okienko się otwiera i Bernard słyszy mocny męski głos:

- Podejść tu.

Uradowany wykonuje dwa kroki, gdy słyszy:

- Nie wy. Ty, „Marynarz”, no, dawaj, tu, do zeszytu. A wy, obywatelu, siadajcie i czekajcie.

Do okienka podchodzi jeden z siedzących na ławce. Z okienka wysuwają się długopis oraz zeszyt, w którym „Marynarz” dokonuje jakiegoś wpisu. Zeszyt się chowa i znowu daje się słyszeć ten sam głos:

- Poszedł stąd!

„Marynarz” bez słowa wychodzi. (Bernard później dowie się, że w ten sposób była prowadzona czynność dozoru policyjnego wobec „Marynarza” i że polega ona głównie na złożeniu przez



dozorowanego podpisu w książce).

Animusz z Bernarda uchodzi niczym powietrze z futbolówki. Nie siada na ławce i nie śmie podejść drugi raz do okienka.

- Pozwólcie, obywatelu - słyszy po chwili.

Zbliża się.

- A wy to w jakiej sprawie?

- Ja, proszę pana, do... do tych... kadr w sprawie pracy. Ja się, proszę pana, wcześniej umawiałem telefonicznie.

- No to grzej pan na górę.

Słowo „pan” zabrzmiało bardziej niż sztucznie. Wchodząc po schodach, Bernard czuje, jak policjanci z dyżurki ostentacyjnie gapią się na niego.

Kadry mieszczą się na drugim piętrze na wprost schodów. Grzegorz puka, odpowiada mu zachrypnięty, ale doniosły głos:

- Wejdzcie.

Pokój jest wąski i niezbyt długi. Za biurkiem siedzi mężczyzna w mundurze, takim z jodełkami przy kołnierzyku, po cztery kropki na ramię. Wygląda tak, jak Bernard mógł sobie wyobrazić kadrowca milicji. Twarz poważna, pewnie uśmiecha się tylko na akademiach pierwszomajowych. Obok siedzi drugi mężczyzna, chyba trochę starszy, w białym fartuchu lekarskim. Ten w kitlu bardzo powoli odwraca głowę w kierunku Bernarda. Patrzy, jakby oceniał parametry, jak stolarz przed zrobieniem trumny.

- To wy. To dobrze, czekamy na was - mówi kadrowiec łagodnym głosem. - Siadajcie. - Wskazuje stolik w rogu. - Piszcie podanie i życiorys.

Bernard nie zdąży nawet powiedzieć „dzień dobry”, gdy już siedzi przy stoliku. Na blacie są dwie kartki białego papieru. Obaj policjanci wpatrują się w niego bez słowa. Grzegorz postanawia przejąć inicjatywę, pokazać, że jest poważnym człowiekiem i na dodatek przygotowanym. Podchodzi do kadrowca i ze swojej aktówki wyciąga uprzednio napisane podanie i życiorys. Uniżenie pochylony podsuwa starannie wykaligrafowane dwie kartki papieru kancelaryjnego, że niby taki przezorny. Kadrowiec patrzy na papiery, a następnie na petenta. Jego twarz nabiera paśowego koloru, krtań drży, a z gardzieli dobywa się chrapliwy krzyk.

- Co was popierdoliło, kto wam to kazał? Kurwa, w tych nowych czasach to im wszystkim odbija... Bernard się prostuje.

- Coś nie tak? Przecież...

Odpowiedź jest jeszcze głośniejsza.

- Tu się, kurwa, pisze! Pisz się wszystko. A co, nie mówiłem tego wcześniej? Nie słyszało toto, do kurwy, toto nic nie rozumie. To trzeba własnym piśmem, odręcznie. Próbkę pisma musimy mieć. - Kadrowiec rzuca spojrzenie lekarzowi.

- Wy do policji, tak? No to musicie zrozumieć, że tu będą decydować za was. - Facet w kitlu z pokojowym uśmiechem postanawia przerzedzić gęstniejącą atmosferę. - Usiądź tam i pisz, chłopie, co ci każą.

Bernard wraca do stolika i zaczyna pisać peerelowskim slangiem: „Pochodzę z rodziny robotniczej...” następnie wypisuje kolejne miejsca pracy. Jest tego trochę. Nie odrywa głowy, czuje na sobie wzrok. Po jakiejś godzinie kadrowiec pyta:

- A bić pałką dacie radę?

Bernard odpowiada:

- Bez pałki też dam radę.

Funkcjonariusz:

- Musicie zrozumieć, to nie jest praca, to jest służba. Tu się wykonuje rozkazy, tu nikogo nie obchodzi, że komuś coś nie pasuje. W twoim życiu wszystko się zmieni, musi się zmienić. Teraz zaczęły się nowe czasy, teraz nastąpiła nowa Polska, dlatego przyjmujemy nowych. Ty nie masz tu nikogo, dlatego ja mam zagwarantować za ciebie. Nie możesz mi przynieść wstydu. Pamiętaj, tu się nie pracuje, tu się służy. Kiedyś służyliśmy władzy, to były dobre czasy. Teraz służyliśmy społeczeństwu.

Bernard słucha w milczeniu, spijając słowa kadrowca, słowa wypowiedziane z patosem i zaangażowaniem.

Lekarz wypytuje o miejsce zamieszkania i chyba wszystkie miejscowości dookoła Kunowa, a w szczególności o Ostrowiec Świętokrzyski. I jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki jaśniej w pomieszczeniu kadrowym komendy. Jest wspólny mianownik!

- Jestem z Ostrowca Świętokrzyskiego. Znasz aptekarzy z rynku? To moja rodzina - mówi z dumą lekarz.

Następnie petent otrzymuje plik druków, zaś kadrowiec tłumaczy mu zawilości kwestionariusza. Bernard rozumie, co znaczą słowa starego: „Mam zagwarantować za ciebie”. Jest rubryka „osoby wprowadzające”, należy wpisać funkcjonariuszy lub emerytów, którzy gwarantują za adepta. Wypełnia sprawnie, bo rodziny za granicą nie ma, a personalia dalszej i bliższej rodziny ma przy sobie. Są tylko dwa punkty w kwestionariuszu, przy których adept hardo spogląda na kadrowca, głośno wypowiadając wpisywaną treść.

- Do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej nie należałem i nie należę. Jestem wierzący i praktykujący.

- Nie, nie, nie trzeba tego pisać, to stare druki, polityka się zmieniła, a druki nie - z zalem w głosie oznajmia kadrowiec.

- W Solidarności byłem przy hucie w Ostrowcu Świętokrzyskim. Tam gdzie chodziłem do szkoły. Kadrowiec uśmiecha się pobłaźliwie.

- To bez znaczenia teraz w tych nowych czasach.

Bernard dumnie kładzie wypełniony kwestionariusz na biurku. Policjant spokojnie przegląda wykaz miejsc pracy, porównuje ze świadectwami zatrudnienia, co pewien czas znacząco pomrukuje. Z aprobatą.

- Macie doświadczenie, pracowaliście długo w biurze na różnych stanowiskach. O! Macie doświadczenie kierownicze, pewnie umiecie pisać na maszynie.

Kadrowiec wyciąga z szuflady kolejną kartkę.

- Teraz pisz oświadczenie, że nie byłeś karany przez sąd, my to sprawdzimy. I jeszcze jedno, że nigdy nie dokonałeś żadnego przestępstwa oraz czy milicja się tobą zajmowała. Tylko szczerze pisz, jeszcze mamy możliwość sprawdzenia wszystkiego.

Obaj panowie się zaśmiali. Znowu robi się sztucznie niemiła atmosfera. Bernard staje przed dylematem, co napisać w oświadczeniu. Nie był karany sądownie, ale... Czy wpisywać, że było przeszukanie prowadzone przez milicję na posesji rodziców? Szukano traktora. Był wtedy kierownikiem w Spółdzielni Kółek Rolniczych. Jego mama jak zwykle wykazała się nadprzyrodzonym sprytem, oprowadzając pokrętnie po malutkich włościach milicjantów tak, że nie dotarli do jedyne go garażu. Swoją opowieścią tak omotała stróżów ówczesnego prawa, że nic nie znaleźli, a ona nigdy żadnego traktora nie widziała. Wychodząc, milicjanci kazali podpisać protokół przeszukania, wtedy gadulstwo mamy wzięło górę i tak od niechcenia rzuciła: „Ale papiery na prawie cały traktor to syn ma”. Na szczęście milicjanci mieli inne ważne społecznie zadania. Machnęli tylko ręką i odjechali.

Bernard oddaje podpisane oświadczenie: niekarany, nie miał kontaktu z milicją.

Atmosfera robi się naprawdę miła. Panowie chwalą decyzję życiową kandydata i zapewniają, że policyjna rodzina będzie mu odpowiadać. Kadrowiec deklaruje:

- Z tobą w miesiąc się obrobie, przyspieszę formalności. Przedzwonię, żeby z komendy rejonowej w Ostrowcu jak najszybciej dosłali opinię o tobie drogą urzędową. Wtedy stołeczna całość klepnie. Już wiem wszystko o rodzinie, o tobie, czym się zajmowałeś. Ha, ha, znamy wszystkich twoich znajomych. Jak się zdecydowałeś, to my się tobą odpowiednio zajęliśmy. Dlatego w rozmowie telefonicznej powiedziałem ci, że już na ciebie czekamy. Teraz zostały tylko wnioski i podpisy. I dobre miejsce na hotelu ci załatwię.

Adept dobrze rozumie wreszcie dziwne uśmieški kunowskich policjantów.

\* \* \*

Mija miesiąc. Wyjeżdżając z rodzinnego domu do pracy w policji, Grzegorz Bernard myśli: „To będzie spokojna i dająca stabilizację praca”. Policję zna tylko z obserwacji komisariatu w Kunowie i odnosi takie właśnie wrażenie. Kierowca autobusu do Warszawy przez ponad dwie godziny non stop puszcza *Bielyje rozy*. To omen na dalszą drogę życia. Nie może wróżyć świetlanej kariery...

Po noclegu u kolegi z saksów 1 lutego 1992 roku przed godziną ósmą Grzegorz zjawia się w komendzie. Pada śnieg, jest wietrznie.

Kadrowiec ściska mu rękę na powitanie i oznajmia:

- Zmieniłem wam przydział. Mieliście trafić na Londyńską do komisariatu, a pójdziecie do dochodzeniówki. Jak się sprawdzicie, to zostaniecie, a jak nie, to traficie do innej służby, bliżej obywatela. Teraz pójdziemy do dochodzeniówki, a po południu załatwimy hotelowe formalności.

Bernard jeszcze nie rozróżnia struktur policji, więc nie robi mu to większej różnicy. Wydaje mu się, że policja dzieli się na mundurowych i tajniaków (bo tak się mówi na tych bez mundurów). Udaje się za kadrowcem do pokoju obok. Przez sekretariat wchodzi do małego gabinetu. Przed wejściem Bernard czyta napis na drzwiach: NACZELNIK WYDZIAŁU DOCHODZENIOWO-ŚLEDCZEGO VII KRP, NADKOM. JAN MARIAN. Przy biurku siedzi facet po pięćdziesiątce z sumiastymi wąsami, w garniturze. Na fotelu drugi mężczyzna, znacznie starszy. Obaj wstają.

- To ten, co wam mówiłem - zagaja kadrowiec.

Mężczyźni witają się z adeptem, a ten w garniturze mówi:

- Niech pan siada. - I wskazuje drugi fotel.

Kadrowiec bezszelestnie się wycofuje. Ten w garniturze przedstawia się:

- Jestem naczelnikiem dochodzeniówki. Nadkomisarz Marian, a to mój zastępca, aspirant Wasiuk.

Proponuje kawę i zwraca się do Bernarda per „proszę pana”, co wywołuje u niego niemal szok, bo ma świeżo w pamięci wszystkie „wy”, „ty” i obelgi. Szefowie wypytyują, skąd Grzegorz pochodzi, co dotychczas robił, o rodzinę, o wszystko i o nic. Po chwili do mikroskopijnego gabinetu wkracza para wyglądających na cywili: bardzo energiczna kobitka, tak na oko tuż przed czterdziestką, blondynka w wysokich szpilkach, i mężczyzna, brunet w swetrze, trochę starszy od kobiety.

- Irena, sekcja twoja i Sławka ma największe potrzeby, a jest jeden człowiek do wzięcia - oświadcza szef.

Irena odpowiada z prędkością błyskawicy:

- Ja biorę! I bez niego nie wyjdę. Mam tylko Staśka i same baby. Sławek może poczekać, a ja się nie wyrabiam, już dziś sama zapierniczam z zatrzymanymi.

- On nie ma broni ani kajdanek, daj mu dziś spokój, niech idzie hotel załatwić. - Szef uznaje tym

samym, że sprawę rozstrzygnięto.

Sławek się krzywi.

- Ale każdego następnego biorę ja! - rzuca bez przekonania.

Bernard niczym wybranek na targu niewolników podąża za Ireną do jej pokoju, gdzie kolejny raz zostaje wypytany, skąd pochodzi, co dotychczas robił, o wszystko i o nic. Przez kilkanaście dni w każdym pokoju będzie się powtarzał ten sam rytuał. Pierwsze dni bardziej mu będą przypominały bycie małpą w cyrku objazdowym niż służbę w organach ścigania.

Zostaje przydzielony do nowo powstałej sekcji zwalczania przestępczości samochodowej, której kierowniczką jest Irena. Z dumą traktuje swój nabytek, matkuje mu, ale bardzo oschle. Nie będzie to najłagodniejsza metoda kształtowania funkcjonariusza, ale nikt nie zapowiadał, że będzie lekko.

- Od jutra zacznę cię wprowadzać w robotę, posadzę przy biurku i będziesz się uczył. A teraz jazda, załatw najpierw sprawy hotelu. Dziś jestem zawalona robotą, mam złodzieja samochodowego - mówi Irena.

Niby zajęta, a jednak wchodzi z Bernardem do kolejnych pokoi. Za każdym razem z celebracją mszalną przedstawia go:

- To mój pracownik. Nowy - podkreśla - z cywila, będę z niego miała pociechę.

W jej ustach to zapowiedź: uformuję cię, jakbyś był z plasteliny, jak mnie się będzie podobało.

Kierowniczka Irena dostaje dar od policyjnego losu: świeżą glinę. Cywila bez złych nawyków z innych służb, surowego i otwartego człowieka z prowincji. W owym czasie to najlepszy, ale i najrzadszy materiał, który można przerobić na glinę.

Następnego dnia Bernard otrzymuje legitymację. Jest w niej wpis: posterunkowy Grzegorz Bernard. Od tego momentu kierowniczka Irena zaczyna wcielać w życie swój plan wychowawczy. Przez pierwsze dni nowy posterunkowy siedzi w jej pokoju razem z komisarz Joanną, przycupnięty przy kierowniczym biurku. Gdzie idzie Irena, tam i on.

W drugim tygodniu zostaje przydzielony w charakterze ucznia do podkomisarza Stacha. W tym pokoju pracuje jeszcze aspirant Mierosław, bardziej doświadczony. Z innej sekcji, tej od kierownika Sławka. To znacząca poprawa statusu posterunkowego.

Kolejne etapy jeszcze przed nim. Choć on czuje się już policjantem, to ma świadomość, że inni nie traktują go jak funkcjonariusza komendy.

\* \* \*

Tamtego dnia też jest wtorek. Pogoda wyjątkowo kapryśna. Pod psem dosłownie i w przenośni. Pada śnieg z deszczem, temperatura w granicach zera, wiatr pędzi jak w Kieleckiem. W komendzie panują błogie ciepło i przyjemna cisza niezwiastująca nadchodzącego wydarzenia. Posterunkowy Bernard siedzi niezbyt wygodnie przy biurku starszego kolegi, podkomisarza Stanisława, zaglądając przez jego ramię w stertę papierów walających się na blacie. Podkomisarz jest świeżym absolwentem fabryki oficerów w Szczytnie, więc w sposób oczywisty daje do zrozumienia, że wie wszystko i że nie warto go o nic pytać. Grzegorz całkiem pewnie czuje się przy swoim biurku, choć jeszcze nie odważył się nawet o nie oprzeć choćby łokciem. Ba, nie śmiał zapytać, czym różni się jedna kartka od drugiej.

Z otwartymi oczyma i ustami przygląda się, jak policjant dwoma palcami z uporem stuka w maszynę do pisania. Ta, stękając pod razami wybijanych klawiszy, wydaje przeraźliwe dźwięki. Dobrze, że w znacznym odstępnie czasu, bo sprawia to wrażenie, jakby literki uciekały z klawiatury. Młody posterunkowy jest niemym świadkiem kolejnego ważnego działania południowopraskich policjantów: umorzenia

kradzieży auta z powodu niewykrycia sprawców.

Jest nowym elementem wyposażenia pokoju w dochodzeniówce. Zwracają się do niego bezosobowo. W pomieszczeniu pracuje dwóch policjantów. Wiele się mówi o zjawisku fali czy poniżającym terminowaniu młodych funkcjonariuszy. Ten początkujący policjant nie odczuwa żadnych dolegliwości wynikających ze współpracy ze starszymi służbą, bo jej po prostu nie ma. Nie wysługują się nim, ale też nic mu nie tłumaczą, niemalże nikt z nim nie rozmawia. Zauważa, że nawet kawę piją, jak jego nie ma w pokoju, nie wspominając o innych cieczech. Wciąż czuje wzrok na plecach i ma wrażenie, że jest poddawany ciągłej i intensywnej obserwacji. Jeszcze nie jest swój. Czasami zastanawia się, z jakiego powodu jest tak obcesowo traktowany, czy przez prowincjonalne pochodzenie, czy może przez solidarnościową przeszłość.

Nagle do pokoju wpada z krzykiem szef Marian:

- Jedziesz na trupa!

W pomieszczeniu siedzą jeszcze podkomisarz Stach i aspirant Mierosław, ale do nich szef zwraca się zawsze imiennie. Wiadomo zatem, że teraz chodzi o trzeciego. O Bernarda.

- Na prawdziwego? - nie może uwierzyć świeżak.

Szef z miną pełną trwogi rzuca:

- Tak, na całkiem świeżego.

I pośpiesznie dodaje:

- Stachu, daj mu swoją podstawkę, młody pewnie umie pisać.

Grzegorz czuje się dowartościowany. Szef daje do zrozumienia, że może się do czegoś przydać!

- Hotel Felix, na placu przed budynkiem od strony ulicy Grochowskiej leży „jakaś zatłuczona”.

Jeszcze nic nie wiadomo, co i jak. Walcie z buta.

„Z buta?” - myśli rozczarowany posterunkowy. A gdzie radiowozy i wycie syren jak w serialach akcji?

Szef sprawnie rozdziela zadania:

- Mierosław, robisz oględziny zwłok z lekarzem i technikami. Niech młody ci pisze. Ty, Stachu, bierz radio z sekretariatu, będziesz ustalał świadków i podsyłał ich na przesłuchania. Dziewczyny w komendzie będą ich obrabiać. Jak tylko ustawię tu robotę, to do was dołączę. Na miejscu rządzi aspirant Wasiuk, w razie czego zmieni wam zadania.

Pierwsi ruszają Mierosław z Bernardem. Przez całą drogę żaden się nie odzywa. Aspirant jest małym człowiekiem, a nawyki towarzyskie zmienia tylko pod wpływem produktów monopolowych. Wyjątkowo rzadko otwiera usta na trzeźwo, chyba że musi, do przesłuchiwanego na przykład. W relacjach z kolegami z komendy kanałem wokalnym posługuje się, chrząkając znacząco. Bernardowi na myśl, że będzie po raz pierwszy obok nieboszczyka, miękną nogi z przerażenia. Boi się zwłok. Chociaż zobaczy prawdziwe zabójstwo - jak policjant, jak glina.

Są na miejscu. Potężna bryła hotelu Felix pochodzi z okresu późnej gierkowskiej prosperity, najlepsze lata ma za sobą. To hotel robotniczy. Najliczniejszymi jednak jego mieszkańcami są bracia Słowianie ze wschodnich rubieży Pierwszej Rzeczypospolitej, w owym czasie licznie najeżdżający inną perełkę budowlaną rodem z wcześniejszej epoki - Stadion Dziesięciolecia Polski Ludowej.

Przed budynkiem od strony ulicy Grochowskiej stoi już kilku umundurowanych funkcjonariuszy, uniemożliwiając wejście na teren placu licznej gawiedzi. Aspirant przepycha się przez ciżbę ludzi i nie zwracając uwagi na mundurowych, wkracza na plac przed hotelem. Teren jest odgradzony od strony budynku, a od Grochowskiej stoją policjanci, tworząc kordon uniemożliwiający zbliżenie się do zwłok postronnym. Mierosław po kilku krokach zauważa, że jego asystent gdzieś się zapodział. Zatrzymuje się i widzi, że na mundurowych nie zrobiła wrażenia nowiutka legitymacja Bernarda, zwana w policyjnym

żargonie szmatą. Doświadczony gliniarz zaznacza chrząknięciem:

- Ten jest ze mną.

Bernard po raz pierwszy w życiu widzi przestępstwo i trupa (pogrzeby się rzecz jasna nie liczą). Ciało leży mniej więcej w połowie długości placu na rozmokłej ziemi, miejscami pokrytej warstwą śniegu. W zagłębieniach przy kępach traw są małe kałuże. Nad ciałem stoi technik kryminalistyki, obok trzech innych policjantów, wszyscy bardzo delikatnie stąpają po ziemi. Jakby na paluszkach. Są mocno pochyleni, widać, że czegoś szukają. Pośród nich kręci się drugi technik, który podchodzi, gdy tamci znajdują coś w ziemi. Wtedy kładzie w tym miejscu biało-czarny pasek i robi zdjęcie. Później wykonuje gipsowe odlewy odcisków butów i zabezpiecza ślady. Aspirant Kogut krzyczy do Mierosława i Bernarda:

- Możecie już podejść!

To zwłoki kobiety. Bardzo małej, drobnej budowy. Wygląda jak dziewczynka, może lalka. Leży piersiami do ziemi, głowa lekko skrzyta w lewo. Prawa strona głowy nieznacznie wciśnięta w podłoże. Na głowie dostrzegalna rana przebiegająca w poprzek przez całą szerokość, widać biel czaszki.

Na dworze ziąb niemiłosierny, a na dodatek pada bardzo drobny deszcz ze śniegiem, ale Bernarda zalewa fala gorąca. Jego twarz robi się ceglana. Pierwszy raz w życiu znajduje się tak blisko ludzkich zwłok! Ze stanu odrętwienia wyrwa go głos szefa, który stoi na sąsiednim placu:

- Ty, młody, pomożesz technikowi kryminalistyki.
- Dobrze - rzuca otrzęziony glina.

W pierwszej chwili myśli, że będą mu coś dyktować, a on będzie notował na podstawce. Technik Kogut rozwiewa te nadzieje:

- Podejdź bliżej, tu, do tej ręki.

Trzyma rękę kobiety w okolicach łokcia. Usiłuje zdjąć odciski palców, ale kończy na sztywna.

Przez głowę posterunkowego przebiega: „Ja będę musiał trzymać tę rękę?”. A za chwilę: „Obym tylko nie zemdlął”. Powoli zbliża się do ciała, a ma jakieś cztery kroki. Widząc jego ospałe ruchy, technik krzyczy:

- Natychmiast weź jej dłoń w obie ręce!

Całkowicie błąd posterunkowy niczym mechaniczny robot posłusznie chwytą drobny dłoń trupa. W tym momencie włącza się w nieszczęśliwym zjawisku widzenia tunelowego: dostrzega rękę dziewczyny i nic dookoła. Zamiera bez ruchu, zrywając całkowicie kontakt z otoczeniem. Mocny głos ponownie przywraca go do rzeczywistości:

- Kucnij tuż przy zwłokach.

„Boże, a jak ona ożyje?” - myśli debiutujący posterunkowy.

Kręci mu się w głowie, ale dzielnie wykonuje polecenia.

To nie koniec jego katuszy. Po chwili słyszy:

- Weź każdy palec i pocieraj przez kilka minut, muszę zdjąć odciski, a opuszki są zbyt twarde.

To jeszcze nie era jednorazowych rękawiczek lateksowych... Bernard posłusznie pociera palcami opuszki denatki. Jest bliski całkowitego zerwania więzi z otoczeniem i odpłynięcia w niebyt omdlenia.

Silna wola jednak zwycięża. Myśli: „Przecież jestem scyzor, co nie pękał na wiejskich zabawach”.

Trudno powiedzieć, jak długo to wszystko trwa - ale dla niego chyba wieczność.

Nagle rozlega się głośnie:

- Nadaje się! Będzie z niego glina! Aspirancie Kogut, dajcie mu już spokój. - To szef Marian.

Posterunkowy podnosi głowę i widzi, że wszyscy policjanci obserwują go uważnie. Dostrzega w ich oczach uznanie. Pierwszym, który poklepuje go po ramieniu, jest aspirant Wasiuk:

- Dobrze! Chyba jesteś lepszy, niż myślałem. Teraz pójdziesz zobaczyć, jak się robi czynności.

Szok mija. Bernard odzyskuje świadomość i kolory.

Na sąsiednim placu stoi grupa najstarszych rangą policjantów. Są szef i zastępca, kierownik Sławek oraz naczelnik kryminalnych Dudek. To oni kierują wszystkimi czynnościami. Po około półgodzinie dołącza do nich prokurator z Podkarpackiej.

Aspirant Mierosław z biegłym lekarzem sądowym zaczynają robić oględziny zwłok. Niemal bez wrażeń przyglądają się denatce. Lekarz zwraca uwagę na nietypową ranę głowy. Pęknięcie podstawy czaszki. Mierosław się rozgaduje. Dywaguje, że skoro rana pochodzi od uderzenia tępym krawędziastym narzędziem, to ofiara musiała leżeć w bezruchu. Być pijana, oszołomiona chemicznie lub skrępowana. Obaj pochylają się, by zobaczyć przeguby rąk. Nie ma śladów krępowania. Technik komunikuje, że jak robił daktyloskopię, to zebrał brud spod paznokci. Będą ślady.

Bernardowi znów robi się nieswojo, gdy zaczynają rozbierać zwłoki. Delikatnie zdejmują grube rajstopy. Są zdziwieni, bo rajtuzy są nałożone na lewą stronę. Pomyliła się? Czy kobieta może tak się pomylić? Poza tym nie ma majtek.

Komisarz Stach wydaje młodemu kolejną dyspozycję:

- Pójdiesz z pegowcami na rozpoznanie posesyjne, nauczysz się robić czynności.

Pegowcy albo PeGie to ludzie z Wydziału Przestępstw Gospodarczych, tyle Bernard już wie.

Mijają trzech policjantów, którzy wcześniej chodzili dookoła trupa. Starszy kolega tłumaczy, że ta trójka ustaliła już, w jaki sposób zwłoki się tu znalazły. A technik Pogrzebowski pozbierał ślady odcisków obuwia.

Przy ogrodzeniu hotelu stoi dwóch pegowców znanych Grzegorzowi z widzenia. Noszą ksywy Żwirek i Muchomorek. Są dwoma najstarszymi wiekiem i stażem policjantami w tym wydziale i od zawsze trzymają się razem. Rozmawiają, że to tu przekładano zwłoki przez ogrodzenie. To jest siatka metalowa w ramie z kątownika. Technik mówi, że nie ma możliwości zabezpieczenia śladów krwi, bo siatka jest wilgotna i nie obsypie się jej argentorem. Czyli proszkiem do ujawniania śladów. Pokazuje krople krwi na płytkach chodnikowych.

Nadchodzi naczelnik Dudek. Mówi, że wszystko wskazuje na to, że ciało kobiety zostało wyniesione z hotelu.

- Nikt by jej nie przynosił pod hotel, jakby zatłukł gdzie indziej. Za dużo okien. Za duże zagrożenie, że ktoś coś przypadkowo zobaczy.

Bierze jednego policjanta na bok.

- Każ zablokować wychodzących z hotelu - rozkazuje. - Wszyscy zostają w budynku, nikt nie wychodzi. Mój radiowóz już blokuje wyjazd z obiektu. Rozpoznanie w hotelu zrobię, jak będą wszyscy kryminalni. Jest parę pięter do obrobienia, to jeszcze wezmę kilku z PeGie. Za chwilę przyślą kogoś, aby otworzył tylne drzwi hotelu. Żwirek z Muchomorkiem zrobią wejście od tych drzwi i wszystkie pomieszczenia na dole. Tylko od razu piszcie protokół oględzin. Jak coś nowego zauważycie, dajcie halo przez radio, podejść do was.

Wskazuje na drzwi z boku budynku. Następnie patrzy na komisarza Stacha:

- Powiedz naczelnikowi Marianowi, że chyba coś zadziało się na hotelu i że będzie dużo ludzi do przesłuchania. Zrobimy dokładny odsiew, ale może być nawet setka. Niech swoich w dochodzeniówce ustawi na przesłuchania, po południu może być sajgon. Tu większość jest ze Wschodu, jak wrócą z bazaru, to będą tłumy. Zadzwoń do niego z hotelu, żeby nie nadawać przez szczekaczkę.

Stach kiwnął głową, a do pegowców powiedział:

- Weźcie młodego ze sobą, niech się uczy, jest nowy, pierwszy raz na wydarzeniu.

Nie widać radości na ich twarzach z powodu ogona. Posterunkowy Bernard odnosi wrażenie, że trafili

mu się dwaj najmniej sympatyczni funkcjonariusze w komendzie. Nie wie, który z nich to Żwirek, a który Muchomorek. Nie ma pojęcia, czy te ksywy im odpowiadają, czy może jest to złośliwość w stosunku do nich. Nie wie, jak się do nich zwracać.

Chce przeskoczyć przez płot, aby szybciej być na miejscu, ale zostaje solidnie przez nich zrugany.

Pierwszy, ten wyższy, rzuca mentorskim tonem:

- Nowy, ty w arystokracji policji pracujesz, a po płotach chcesz skakać? Na swojej wsi to se skacz.

Wy z Kieleckiego to sztchetami się tam naparzata.

Na to drugi, niższy:

- Kogo dziś oni przyjmują, przyjeżdżają takie, nie wiadomo skąd. Obejdziemy płot dookoła i wejdziemy od strony bramy. Ty za nami.

Przy drzwiach stoi technik Pogrzebowski. To jeden z tych, którzy odnoszą się do Bernarda przyjaźnie.

- Zrobiłem zdjęcia, a odlewy gipsowe odcisków butów dokończy Kogut. Te plamy na płytkach są bardzo rozmyte, ale zabezpieczyłem, ile mogłem. Teraz będę z wami zabezpieczał ślady.

Bernard zwraca uwagę na to, że tamten przeskoczył przez płot, a przecież ma ze sobą torbę technika, wielkości szafki nocnej. Proponuje, że pomoże mu ją nieść.

- Ty robisz czynności procesowe z nimi, ja sobie poradzę - odpowiada z sympatią technik. - Ucz się, masz od kogo.

Może pod wpływem pochwały pegowcy zmieniają podejście do posterunkowego i zaczynają mu tłumaczyć dotychczasowe ustalenia. Pierwszy odzywa się niższy:

- Kobiętę prawdopodobnie zabito gdzieś tu, na hotelu. Taka jest podstawowa wersja wydarzeń na teraz. Dwóch facetów wlokło ją od strony płotu do miejsca, gdzie zapewne porzucili ciało. Na powierzchni widać wyraźnie, jak szli, następnie tą samą drogą wrócili. Przeciagnęli ją przez płot, a do płotu wlekli lub nieśli ją od tych drzwi, tu kryminalni znaleźli niewielkie ślady krwi. Widzisz, jest mało śladów krwi, więc zabito ją znacznie wcześniej, niż przeniesiono. Krew trochę zaschła, mogła zostać zabita dwie, cztery godziny wcześniej.

Wyższy tonem mistrza dodaje:

- Teraz musimy znaleźć kolejne ślady, wiesz, krew kapąła, powinny być plamy. Jeżeli je znajdziemy, to zaprowadzą nas do jakiegoś miejsca. Zakładamy, że było co najmniej dwóch sprawców oraz że zapewne starali się posprzątać po sobie. Słuchaj, to są przypuszczenia. A teraz wszystko się weryfikuje, sprawdza i porównuje. Kryminalni naczelnika Dutka ustalają, czy te drzwi były cały czas otwarte. A jeżeli zamknięte, to kto je otwierał i jak. Czy ktoś brał klucze od tych drzwi. Teraz my będziemy szukać, węszyć, a ty zapisujesz to, co ci Muchomor powie. Podstawka w łapę i zapieprzamy.

„Jednak są normalni i w końcu wiadomo, który z nich jest który” - myśli Bernard.

Wchodzą, szukają na podłodze, schylają się, czasem klęczą. Nawzajem pokazują sobie, że tu jest niedawno wytarta podłoga. Że teraz trzeba szukać jakiejś ścierki albo brudnych szmat. Muchomor dyktuje i dyktuje, a Grzegorzowi ręka zaczyna cierpnąć. Wychodzą na klatkę schodową, tu również są ślady wycierania. Idą po schodach, a technik Pogrzebowski wskazuje nowe ślady na poręczy i wewnętrznej stronie pionowych słupków. Muchomorek znów dyktuje:

- Na ścianie słupka pionowego poręczy schodów, na wysokości około czterdziestu centymetrów od lica schodu numer siedem, licząc od wejścia, ujawniono brunatnoszarą plamę, którą oznaczono jako numer jeden.

W tym czasie technik za pomocą listków czarnej miękkiej folii odkleja plamę i pakuje do torebki foliowej.

Ogłędziny trwają powyżej trzech godzin. Brunatne ślady znajdujące się na słupkach prowadzą do



szóste piętra. Powyżej schody są już nieumyte. Posterunkowemu ręka spuchła ze zmęczenia. Zapisał osiem kartek!

Teraz schodzą na dół. Na parterze obok recepcji jest pokój, w którym zorganizowano coś w rodzaju sztabu. Pegowcy przekazują szefom swoje ustalenia.

Po wyjściu Żwirek i Muchomorek szczerze gratulują Bernardowi i ściskają mu dłoń:

- Wracamy do swojej roboty, a ty walczyć do końca. Nowy, będą z ciebie ludzie!

Zostawiają go w fotelu. Do pokoju wchodzi różni funkcjonariusze, wychodzą i nie zwracają na niego uwagi. Nikt nie ma dla niego nowych zadań. Bernard siedzi beczynie.

Po godzinie przypomina sobie o nim szef Marian.

- Chodź, czegoś się jeszcze nauczysz. Żwirek i Muchomorek bardzo cię chwalili, mówili, że rokujesz.

Wchodzi do pokoju, gdzie są już prokurator i naczelnicy z kryminalnego. Na stole leżą notatki, protokoły oględzin, przesłuchania świadków.

Po chwili wbiega zdyszany funkcjonariusz z kryminalnego:

- Chyba mamy sprawców! Na szóstym piętrze w pokoju numer sześćdziesiąt siedem. Wszystkie pokoje toną w bajzlu i niechlujstwie, a w tym porządek. Umyta podłoga, wytarte kurze, a w łazience dosłownie wysprzątane na błysk. We wszystkich innych łazienkach syf niewyobrażalny. W tym pokoju żadnych butelek po alkoholu ani po piwie. Pozostałe pokoje normalne, czyli pierdolnik totalny. Na szóstym i siódmym mieszkają nasi, policjanci z prewencji, po dwie, trzy osoby. Mam ustalonych mieszkańców, są na służbie w Piasecznie.

Naczelnik Dudek odpowiada:

- Weź jeszcze trzech ludzi i jedźcie na Piaseczno do dowódcy. Ja telefonicznie skontaktuję się z dowódcą oddziałów. Ściągną ich gdzieś do dowódcy kompanii, a wy dyskretnie ich zatrzymacie. Tylko uważajcie, bierzcie ich, jak zdadzą broń. Kurwa, bez napalania się, nie chcę mieć trupów.

Następnie zwraca się do naczelnika Mariana:

- Jadę do zastępcy stołecznego zameldować o ustaleniach.

- Zajmę się wszystkim na miejscu - deklaruje Marian. - Ale ściągnij mi tu techników ze stołecznej, niech prześwietlą pokój sześćdziesiąt siedem, tam muszą być ślady. Nie wiadomo, jak wyjdzie rozmięczenie podejrzanych, muszę mieć dowody dla prokuratora. \* \* \*

Późnym popołudniem Bernard wraca do komendy. Na korytarzu tłum ludzi stopniowo przesłuchiwanym przez policjantki. Wchodzi do swojego pokoju. Starsi koledzy stukają na maszynach i popijają ze szklanek coś przezroczystego. Charakterystyczna woń roznosi się w przestrzeni.

Na widok wchodzącego Grzegorza wstaje podkomisarz Stach i wyciąga w jego kierunku rękę.

- Widziałem, co robiłeś z trupem, nadajesz się. Szlag może cię trafić, ale nikt nie może zobaczyć, co się z tobą dzieje, wszystko wytrzymasz. Ja też przyjechałem ze wsi i musiałem sobie poradzić.

Przeszedłeś chrzest bojowy, a to wymaga uroczystości. - I ściska mu mocno dłoń.

Aspirant Mierosław też wstaje. Robi się jakoś uroczyście. On także unosi swoją szklankę.

- Tam na rogu jest sklep, chwytasz, młody? Wiesz, ilu nas jest w wydziale.

Posterunkowy dyskretnie przynosi dwie butelki czystej. Wtedy do pokoju przychodzi szefowie. Oni też skwapliwie wychylają toast za „pierwszego trupa posterunkowego Bernarda”.

Komisarz Stach na stojąco wyjaśnia mu, co dotąd ustalono.

- Chłopaki z pokoju sześćdziesiąt siedem, jak to młodzi faceci, wynajęli cichodajkę. No wiesz, taką,

co po cichu dorabia jako prostytutka. Uzgodnili, że będzie kopulowała kolejno z każdym albo wspólnie. Jak ty odeszłeś, lekarz w pochwie stwierdził duże ilości nasienia. Od tego momentu wiedzieliśmy, że ta sprawa ma podłoże seksualne. Imprezowali, pili alkohol, kobieta poszła się wykąpać. Upadła do tyłu, rozbijając głowę o rant wanny. Oni pili i nie zwrócili uwagi, a jak weszli do łazienki, to zobaczyli, że leży z rozbitą głową. Nie wiemy, czy zmarła od razu, czy później. To jeszcze ustalimy. Wystraszyli się i wpadli na pomysł, aby ją odnieść jak najbliżej Grochowskiej, że niby ktoś ją tam zabił. Ubierali ją w panice, dlatego miała rajstopy źle włożone, poza tym bluzkę tył na przód. Jej majtki znaleźliśmy na śmietniku po drugiej stronie ulicy.

Widzisz, młody, nasza robota jest brudna i ciężka. Pamiętaj, w służbie trzeba odrzucić uprzedzenia, tu nie możesz się brzydzić czy bać trupa. Tu się zapierdala aż do zwycięstwa.

Po wypowiedzi Stacha toast wznosi naczelnik Marian:

- Widzisz, młody, robocie policyjnej musisz się podporządkować całym swoim życiem, musisz dać z siebie wszystko. Nic w zamian nie dostaniesz, nie licz na pieniądze czy uznanie, to służba. Ja w tym miesiącu jeszcze nie byłem w domu po południu, przyjeżdżam dopiero w nocy. Moja stara myśli, że jestem alkoholik, bo czuć gorzałę ode mnie. Mówi, że my tu po robocie chlamy. Widzisz, jak nie trzepnę dwóch, trzech kielichów, to nie zasną. Jakbym opowiadał o zabitych i ludzkich nieszczęściach, to i tak by nie uwierzyła. Ale jak jestem na urlopie, to mnie skręca, chyba bym bez tego smrodu, syfu, nieboszczyków zwariował.

Wypija zawartość swojej szklanki, zapowiada, że jutro obrabiają zatrzymanych i wszystkich chce widzieć przed ósmą.

A do młodego posterunkowego rzuca:

- Jak mi się jutro spóźnisz, to masz przechlapane.

Tego wieczoru młody jeszcze trzykrotnie odwiedza sklep na rogu. I chyba wszystkie policjantki i wszyscy policjanci z komendy ściskają mu dłoń. Posterunkowy Grzegorz Bernard został gliniarzem południowopraskiej dochodzeniówki. Nareszcie jest swój!

Następnego dnia melduje się w pracy punktualnie.

## Środa

# GLINA W STOSUNKU NIE TYLKO PRACY

**Ś**roda to środek tygodnia. Jest najdalej położonym dniem od weekendu i to z obu kierunków. Od niedzieli minęły dwa dni i do weekendu jeszcze dwa dni zostają. Biorąc pod uwagę dynamikę pracy, powinien to być najbardziej efektywny dzień roboczy. Pracownicy są przecież w najlepszej formie: już rozpędzeni, a jeszcze niezmecczeni. To najlepszy dzień do podejmowania znaczących wyzwań. Według japońskich naukowców środa to najlepszy dzień na seks. A w szczególności na seks początkowy, to znaczy taki na początku znajomości. Na pewno będzie dobrze. Co prawda japońscy naukowcy nie precyzują, dla jakiej płci, ale pewnie dla obu.

Lutowe popołudnie. Po pierwszym dniu pracy, właściwie kilku godzinach, Bernard grzecznie puka do kadrowca, który ma mu wytłumaczyć, jak dojechać do hotelu, w którym ma się zamustrować na stałe.

- Jedźcie na Stalingradzką, tam zgłóście się do kierowniczkii - mówi kadrowiec. - Dla was załatwiłem najlepszą kwaterę na Golędzinowie. Tylko masz być jak najszybciej. Jak będziesz jechał tramwajem, wysiądziesz za rondem, jak tylko skręcicie w prawo. To rondo to tego, no, Starzyńskiego. Potem idziesz prosto pod wiadukt kolejowy i tam za dwieście metrów jest hotel. Uważajcie tam na kwaterze, jutro punktualnie w jednostce się zameldujcie. Tylko zdrowy masz przyjść! - tłumaczy konkretnie.

Uzbrojony w mapę posterunkowy Grzegorz Bernard rusza. Łatwa sprawa, przecież czuje się globtroterem. W okresie socjalizmu wykonał parę tak zwanych kólek turystycznych po krajach demokracji ludowej swoim fiatem 126p. W ramach turystycznej eskapady sprzedawał różniaste akcesoria z ZSRR, Węgrzech i Rumunii. Sprawdzał się podróżniczo również w krajach kapitalistycznych. Jeździł za pracą po niemieckich wsiach, ba, nawet nie gubił się na polach sadowników, gdy musiał uciekać przed tamtejszą policją pracy. Przejazd przez kilka ulic dwóch dzielnic Warszawy nie może sprawić najmniejszych problemów.

Jazda do ronda Starzyńskiego jest dla niego nawet uspokajająca. Widzi pomnik czterech śpiących żołnierzy, kawałek ZOO. Wysiada za rondem. Rozgląda się, szuka nazw ulic. Nigdzie nie ma żadnych tabliczek. Grzegorz błąka się trochę, szuka na mapie. Wynika z niej, że tu jest skrzyżowanie Starzyńskiego z Jagiellońską. „A gdzie ta Stalingradzka?” - myśli zagubiony. Wszyscy wokół się spieszą, na jego pytania wzruszają ramionami albo udają, że ich nie słyszą. Przypomina sobie słowa kadrowca: „Za wiaduktem prosto” i jeszcze „Golędzinów”. Zaczepia dwóch mężczyzn maszerujących od strony fabryki:

- Przepraszam, szukam hotelu na Golędzinowie.

Na dźwięk tego słowa ich twarze się zmieniają. Starszy ruchem głowy wskazuje baraki i rzuca jedno słowo:

- Tam. - I natychmiast się odwraca, w pośpiechu odchodząc.

Bernard spogląda na baraki położone jakieś czterdzieści, pięćdziesiąt metrów od ulicy, obok których parokrotnie przechodził. To jest hotel?

Od strony odchodzących mężczyzn dobiega:

- Golędzinów, Golędzinów, trzeba tępić skurwysynów!

Wówczas Grzegorz jeszcze nie rozumie, dlaczego mężczyźni tak wrogo reagują.

Idzie do baraków Przy drodze wjazdowej stoi policjant w hełmie i długim zimowym płaszczu, z karabinem maszynowym. To klasyczny kałasznikow ze składaną kolbą. Bernard na chwilę cofa się do ulicy Stalingradzkiej, tfu!, Jagiellońskiej. Zerka i wie już, dlaczego wcześniej nie zwrócił uwagi na to miejsce, mimo że przechodził obok kilka razy. Na pierwszy rzut oka widać bowiem... zakład wędliniarski. Budynek lekko zasłania wjazd, a obok stoją niskie baraki, które za nic nie kojarzą się z jakimkolwiek hotelem. Nie ma żadnego napisu, żadnej informacji, co mieści się w tym miejscu. „Dobra, teraz szybko, bo robi się szarówka, a kierowniczkii na mnie czeka” - myśli posterunkowy.

I biegiem już udaje się do wskazanego przez wartownika budynku.

Jest tuż przed piętnastą. Na korytarzu spotyka ubraną w palto kobietę. Ta patrzy na niego groźnie.

- Dlaczego dopiero teraz? Przez pana wyjdę późno z pracy - mówi kobieta z wyrzutem w głosie.

Bernard nie wie, czy to faktycznie jest kierowniczkii, czy inna osoba. Jest wysoka, na oko trzydzieści pięć lat, nieporywającej, ale też nieodstrasżającej urody. Czuje, że ona nosi w sobie znamię braku docenienia przez mężczyzn. Szarmancko, z celową przesadą, całuje ją w rękę i najdelikatniej, jak może, przeprosza niskim szeptem:

- Wie „pani, ja jestem pierwszy raz tutaj... Przepraszam.

Kierownicze natychmiast poprawia się humor. Prowadzi go do dużego pokoju. Stoi tam z dziesięć łóżek, metalowych, typowo wojskowych, na których leżą cienkie materace. Pod jedną ścianą stoi rząd wysokich szafek.

- To pański pokój, proszę wybrać, które łóżko panu pasuje. Jest pan jedyną osobą w tym pokoju. Radzę nie przy oknie. Tam jest najzimniej i od okna ciągnie, a zdarza się, że czasami zacina do środka, jak pada deszcz. Pościel jest w szafce, koce też. Ale wie pan, dla pana przyniosę jeszcze dodatkowe. Tu w nocy jest bardzo zimno.

Wyjaśnia mu, że w tym hotelu mieszka paru młodych i nierozgarniętych policjantów. Potem zerka na zegarek.

- Och, już tyle po piętnastej! Muszę biec po dziecko do przedszkola. Panie Grzegorzu, zapraszam jutro na kawę, zapraszam do mnie. - Uśmiecha się na odchodne.

Jest pierwszą osobą w pierwszym dniu pracy posterunkowego Bernarda, która używa jego imienia. On jej imienia nie zna.

\* \* \*

Czas szybko mija. Po pierwszym ciele relacje na komendzie wobec Bernarda diametralnie się zmieniły. Jest już swój, nareszcie go uczą. A właściwie ciągle pouczają. Kierowniczka Irena twardą ręką realizuje swój debiutancki plan wychowawczy. Jest jej jedynym świeżym, nieskażonym pracownikiem. W każdej wolnej chwili Irena wpada do pokoju, w którym Bernard nieudolnie stuka jednym palcem na maszynie. Staje nad nim i tłumaczy zawilości wszczęcia lub umorzenia postępowania przygotowawczego. Podobnie robią wszyscy funkcjonariusze w komendzie, nie tylko z wydziału dochodzeniowego, lecz także kryminalnego i przestępstw gospodarczych. Każdy ma swoje uwagi do nowego funkcjonariusza. Nie ma w tym żadnej złośliwości. Bernard czuje doskonale przepaść, jaka dzieli go od mistrzów. Prowadzą nauczanie z zachowaniem dystansu wobec nowicjusza. Bo z jednej strony, jest młody, ale już posiada багаż doświadczeń życiowych, mimo to wciąż otwarty jest na nowe wyzwania. To widać. Zaś z drugiej strony, jest pierwszym cywilem przyjętym do tej komendy w nowych czasach. Dotychczas wszyscy, którzy tu przychodzili, to zweryfikowani funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa oraz funkcjonariuszki z Urzędów Paszportowych. Ci pierwsi swoją poprzednią formację określają miło, jako „Służbę Bożą”. Zaś dziewczyny o dotychczasowej pracy mówią, że to urzędy wojewódzkie, zapominając, że były to wydziały Służb Bezpieczeństwa. Jest też parę młodszych osób przyjętych do patrolówki po zastępczej służbie wojskowej w Oddziałach Prewencji Komendy Stołecznej. Mówią o nich, że „mają przeryte pod kaskami” (to z powodu specyficznych metod szkolenia, które w znaczący sposób pozmiało ich sposób myślenia).

Bernard cieszy się sympatią, może dlatego, że uważnie słucha, co do niego mówią. Choć nie zawsze wie o czym. Poza tym jest dla każdego otwartym polem, na którym można pokazać swoją chwałę na służbie. Posterunkowy nie ma żadnych możliwości zweryfikowania policyjnych opowieści.

Kolejne dni służby (już nie pracy) przebiegają łudząco podobnie: pobudka, śniadanie, tramwajem do komendy, praca, praca, powrót, posiłek, gazeta, sen. Praktycznie nic innego w jego życiu poza komendą się nie dzieje. Popołudnia są coraz dłuższe, później zachodzi słońce. Bernarda wciąż nurtują słowa o Golędzinowie, które wypowiedzieli mężczyźni.

Zdobywa literaturę i dowiaduje się, że jest to miejsce o tradycjach wojskowych sięgających XIX wieku. To jeden z fortów carskiego wojska. W okresie międzywojennym była tam szkoła podoficerska i siedziba pododdziałów interwencyjnych, przeznaczonych do zwalczania zająć ulicznych. Oddziały miały

charakter kompanii szkolnych, w których przeprowadzano normalne szkolenie dla funkcjonariuszy, a jednocześnie były gotowe do działań w każdej chwili. Tuż przed wybuchem wojny, w 1938 roku utworzono tu szwadrony Konnej Rezerwy Policji Państwowej. Były skuteczniejsze od pieszych odwodów w rozpędzaniu wystąpień i demonstracji. Po drugiej wojnie światowej wciąż były tu koszary dla służb porządkowych. Stacjonowały w tym miejscu Zmotoryzowane Odwoły Milicji Obywatelskiej, niesławne ZOMO. Jak przed wojną mieszkają tu szkolące się kompanie funkcjonariuszy gotowych do działań w każdej chwili. ZOMO znane było z brutalnego traktowania uczestników pokojowych manifestacji w okresie Peerelu. Z Gołędzinowa wyjeżdżali zomowcy ze złowrogą pieśnią na ustach: „Czapeczka stalowa, pałeczka gumoowa! Przy pałce pałka, przy głowie głowa, jedzie wycieczka z Gołędzinowa”. To oni byli zbrojnym ramieniem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, a partia się chwiała, więc jej ramiona intensywnie machały po głowach solidaruchów. Po zmianie władzy ZOMO przeformowano w oddziały prewencji o podobnym przeznaczeniu, ale z zakazem bicia uczestników pokojowych demonstracji. Tuż przed zakwaterowaniem posterunkowego Bernarda prewencję przeniesiono do Piaseczna. Koszary nie są teraz w pełni wykorzystane, wiele baraków stoi pustych. W największym budynku kiedyś urzędowali antyterrorysty, a teraz jest policyjna orkiestra dęta. Są też policyjne psy i konie, i bardzo dużo zieleni. Po prostu swojski, prowincjonalny klimat w centrum Pragi. Ale odium tego miejsca pozostało.

Bernard w hotelu poznaje pierwszego kolegę. Mieszkają w jednym pokoju. To sierżant Jarek, dzielny funkcjonariusz jednostki antyterrorystycznej z lotniska. Dwudziestodwulatek wzrostu nikczemnego (bo mierzy około stu sześćdziesięciu centymetrów), szczupły, wręcz wyżyłowany, brunet. Szczyci się swoim miejscem pracy. W dniach, gdy nie jest na służbie, ćwiczy pompki i biegi długodystansowe. Kontakt z nim ma dobrą stronę. Jarek wciąga Grzegorza w uprawianie sportu. Łączą ich prowincjonalne pochodzenie oraz fakt, że obaj są początkującymi policjantami. Jarek służy od jesieni, po zaliczeniu dwuletniej służby wojskowej w oddziałach prewencji. Mówi przez zęby, wydając specyficzny szelest. Nie ma to większego znaczenia, bo w zasadzie niewiele ma do powiedzenia. Oprócz jednego tematu: w kółko opowiada, że jako sposób na życie wybrał drogę japońskiego superwojownika ninja. Japońskie słowa w jego ustach brzmią dużo lepiej niż w oryginale. Zważywszy, że Bernard po japońsku ni w ząb, Jarek bez skrępowania cytuje w oryginale kodeks wojownika. Praktyczną miłość do miecza japońskiego przejawia, regularnie ćwicząc. Ba, z mieczem niemal się nie rozstaje, chodzi z nim wszędzie. Ubiera się na czarno, na głowie nosi czarną chustę jak pirat.

Pewnej nocy Bernard budzi się nagle i widzi, że tuż nad jego łóżkiem... rodzimy ninja wymachuje mieczem. Zadaje pchnięcia i cięcia. Odległość ćwiczącego od łóżka śpiącego równa jest długości miecza. Siłą woli Grzegorz pozostaje w bezruchu. Po chwili wojownik kończy ćwiczenie. Następnego dnia posterunkowy Grzegorz Bernard postanawia zmienić pokój.

\* \* \*

Ta decyzja wymaga zatwierdzenia przez kierowniczkę hotelu. Wypada się z nią spotkać. Widział ją dotąd tylko raz, pierwszego dnia.

W następną środę posterunkowy Bernard definitywnie postanawia zmienić lokum i wychodzi wcześniej z pracy. Zastaje panią kierownik w jej pokoju. Przez lekko uchylone drzwi dostrzega kobietę stojącą z boku biurka. Biurko stoi na wprost wejścia. Kobieta jest pochylona nad stosem jakichś druków, które układa na cztery różne kupki. Każdą kartkę bierze do ręki i czyta, następnie kładzie na odpowiednie miejsce. Jest tak zaafierowana swoją pracą, że nie zauważa, iż jest obserwowana. Bernard ma czas, by się jej dokładnie przyjrzeć. Jest znacznie cięższa, niż ją ocenił pierwszego dnia, ale i młodsza, około

trzydziestki. Ubrana w obcisłą bordową bluzkę, coś w rodzaju cienkiego sweterka z dekoltem w serek. Czarna spódnica do kolan mocno ściska kobietę w jej największym obwodzie. Grzegorz, rasowy samiec, zwraca uwagę na ponętne piersi. Kobieta z piersiami to żadne *novum*, ale ten mieszkaniec hotelu po raz pierwszy od momentu przyjęcia do służby zobaczył kobietę. Dotychczas zagoniony robotą, nie zwracał uwagi na walory pracujących z nim funkcjonariuszek. A kobiecie kształty zawsze silnie oddziaływały na Bernarda.

Puka i, nie czekając na odpowiedź, wchodzi do środka.

- A, to pan. - Kierowniczką zerka na wchodzącego i uśmiech wypełnia całą jej okrągłą twarz. - Miał pan do mnie przyjść, a ja czekam już chyba ze trzy tygodnie...

Bernard czuje się niezręcznie, bo właśnie uświadomił sobie, że się umówili.

- To ja może uzupełnię swoje dane w książce meldunkowej? Przepraszam, ale jestem tak zajęty w dochodzeniówce, że późno wracam. Nawet kiedyś szukałem pani. - Nieudolnie próbuje się tłumaczyć.

Kobieta przypatruje mu się z niedowierzaniem.

- Teraz mam prośbę. - Jego głos przyjmuje ton błagalny - Chciałbym zmienić pokój, bo tam jest zimno, w nocy bardzo. Już sobie wybrałem inny.

Kierowniczką patrzy na niego zdziwiona tak, że teraz robi mu się naprawdę zimno.

- Książki meldunkowej? Nie ma żadnej książki. Pańskie dane mam od kadrowca. A co do pokoju... Dobrze, dostanie pan najlepszy pokój.

- Naprawdę? Jestem pani dozgonnie wdzięczny!

- A pan nawet nie znalazł czasu, żeby ze mną porozmawiać... - mówi kierowniczką z wyrzutem.

Obciąga bluzkę, która przy pochylaniu się nad biurkiem obnażyła jej talię. Grzegorz spogląda ukradkiem. Jej piersi wydają mu się przypominać rodzime Góry Świętokrzyskie: niezbyt wysokie, ale bardzo duże w obwodzie. Kierowniczką niemalże wypycha zapatrzonego Bernarda z pomieszczenia. Obraca się na pięcie i energicznie idzie w przeciwną stronę niż wybrany przez niego pokój. Bernard podąża za nią bez słowa, skupiając wzrok na jej kształtnej i całkiem dużej pupie. Oglądanie „kobiety na wybiegu”, jak mawia, trwa krótko, bo obserwowana energicznie otwiera drugie drzwi tuż za jej gabinetem.

- To jest ten pokój. - Wskazuje ręką. - Przyjdźcie za godzinę. Czekam na was! Do tego czasu już się obrobię z kwitami. To jedyny pokój, co ma zamek w drzwiach. Wtedy dam wam klucz - dodaje oschle rozkazującym tonem.

Nastąpiła właśnie zauważalna zmiana barwy głosu i sposobu komunikowania się między nimi. Kierowniczką wydaje dyspozycje i ma oczekiwania.

Pokój jest czteroosobowy, ale niezamieszkały, z szafkami obok łóżek, są nawet sprawna lampka nocna i lepsza szafa. Bernard przenosi swoje rzeczy i natychmiast je rozpakowuje. Potem zerka na zegarek, zostało mu jeszcze trzydzieści minut. Kładzie się na łóżku i zaczyna analizować przebieg dzisiejszej rozmowy z kierowniczką. Kobieta zaczęła nim rządzić. Nie jest to dla niego nic dziwnego, bo od przyjazdu do Warszawy rządzi nim inna kobieta - kierowniczką jego sekcji. Tu jednak wyczuwa coś odmiennego. I jego własne ciało zaczyna dziwnie drżeć. Może to wynik zapatrzenia na piersi, na dekolt, na całość... Przypomina sobie, jak ona odwróciła się do niego plecami i jak zobaczył jej pośladki opięte czarną spódnicą. Wydają mu się jędrne. Przemyka mu przez myśl, że bardzo chciałby ich dotknąć. Zaczyna nawet fantazjować, czego jeszcze chce dotknąć. Dotychczas nie miał takich ciągot. Rano miewał charakterystyczne objawy sztywności, ale wieczorem bywał tak zmęczony, że nie myślał o seksie. Targały nim inne emocje. Pierwszy trup, uczenie się nowych rzeczy.

„Dlaczego ona chce ze mną rozmawiać?” - rozmyśla Bernard. Pewnie coś będzie. Przed wstąpieniem

do służby Grzegorz był mężczyzną z poważnymi doświadczeniami w relacjach międzyludzkich, w szczególności z płcią odmienną. Był to czas gwałtownego rozwoju wypożyczalni kaset wideo. Kto tylko miał odtwarzacz lub jeszcze lepiej wideo, mógł z kaset obejrzeć każdą produkcję filmową. Grzegorza nie każdy film interesował. Nie obchodziły go dzieła laureatów amerykańskiego Oscara ani francuskiego Cezara. Nie preferował filmów o sztukach walki, tak bardzo popularnych wśród młodzieży. Upajał się filmową produkcją niemiecką, która nielegalnie zalewała polski rynek wideo. Typowy niemiecki film wybierany przez Grzegorza nie miał zawilej fabuły albo malowniczych scen, nawet gra aktorów była bez znaczenia. Były to filmy przeznaczone do pobudzania, hm, powiedzmy, samczej wyobraźni. Teraz szybko kojarzy te męskie rozmyślania o kierownicze hotelu z filmami, które zna. Przypomina sobie, że w jej gabinecie jest wersalka. W wielu znanych mu filmach akcja zaczynała się na wersalce i tam kończyła.

Spogląda na zegarek. Jeszcze piętnaście minut. Oczywiście wyobraźni już widzi, jak wchodzi do gabinetu, a ona gwałtownie zamyka drzwi na klucz, popycha go na wersalkę i natychmiast... Męska wyobraźnia jest łatwa do pobudzenia.

Po raz kolejny zerka na budzik, który zdążył ustawić na szafce obok biurka.

Już czas - myśli i błyskawicznie podrywa się z łóżka. Rusza najszybciej, jak potrafi. Wchodzi do jej gabinetu, dokładnie zamyka drzwi. Na moment zatrzymuje wzrok na zamku. Nie ma klucza. Kobieta siedzi przy biurku wyprostowana, z piersiami „na swoim miejscu”. Wydają mu się jeszcze większe niż przed godziną. Wciąż rosną! Apetyt na spróbowanie jej dojrzałych owoców natychmiast wysusza mu usta. Chce powiedzieć: „Już jestem”, ale nic z tego nie wychodzi. Znów robi mu się gorąco. „No cóż, zaczniemy przy biurku” - myśli.

Na blacie leży kilka rozrzuconych niedbale zdjęć. Kierowniczka bez słowa wskazuje mu krzesło naprzeciw siebie, ale po drugiej stronie biurka.

- Grzegorzu, jestem Jola. Mówmy do siebie po imieniu. Napijmy się. - I nie czeka na jego odpowiedź, tylko wyjmuje z szuflady dwie proste szklanki. Typowe sztachany używane przez prawdziwych mężczyzn. Już wypełnione po brzegi ciecżą w kolorze jasnobrązowym. W pokoju roznosi się znajomy zapach.

Bernard pociąga nosem i jak najwyższej klasy kiper stwierdza:

- Jarzębiak?

Świadczy to o jego wyszukanej elegancji. Wszak bywał na wykwintnych imprezach, podczas których pito wytworne trunki, czyli mocne i przyjemne w smaku. Kobieta z uznaniem patrzy na mężczyznę, który przysiadł się najbliżej, jak może. Ale nadal dzieli ich biurko.

Kierowniczka zerka na blat, na którym leżą zdjęcia. Są na nich ona i jakiś facet oraz małe dziecko.

- Wiesz, Grzegorzu, w tym hotelu mieszkają sami bardzo młodzi chłopcy. Nie mam z kim pogadać - stwierdza kierowniczka z wyraźnym żalem, przełykając ślinę. - Dziś nie odbieram dziecka z przedszkola, więc pomyślałam, że sobie porozmawiamy. - Głos jej się łamie.

- Pogadajmy. - Grzegorz przytakuje na zgodę.

- Wiesz, mój były mąż ma zająć się dzieckiem do jutra. - Jola pociąga duży łyk ze szklanki.

Bernard myśli:

„Jak nam braknie, to mam dodatkową flaszkę w torbie. Czy skończy się jak w niemieckim filmie?”.

Jola zaczyna spokojnym, cichym głosem.

- Kiedyś ZOMO patrolowało moją mazowiecką wieś...

- Gdzie mieszkałaś? - wykazuje zainteresowanie słuchacz.

- A, w takim małym mieście pod Warszawą. Niedaleko stacjonowała jednostka. W miasteczku cisza, wręcz nuda. Jedyna atrakcja to zabawy w remizie, ale ja sobotnie wieczory spędzałam z rodzicami. Nie

chodziłam na zabawy, bo wiedziałam, że przychodzą na nie zomowcy. Na mieście mówili, że wyhaczają tam sobie dziewczyny na jeden wieczór.

- A ty byłaś porządną dziewczyną - puentuje Grzegorz.
- No tak, ale kiedyś namówiły mnie koleżanki, no i z ciekawości raz z nimi poszłam. - Zamyśla się na chwilę. - Wtedy go poznałam.
- Przyszłego męża? - dopytuje posterunkowy.
- Przystojny i kulturalny jak niezomowiec - rozmarza się kierowniczką. - Był jakimś mało znaczącym dowódcą.
- Jednak coś było nie tak? - Grzegorz próbuje przyspieszać jej opowieść.
- Niby nic - ciągnie Jola, ale już sarkastycznym tonem. - Jak przychodził do mojego domu, był taki miły, po rękach całował, nawet do kościoła z moją rodziną chodził. Obiecywał mi złote góry, namawiał, żebym z nim wyjechała do stolicy. Mówił, że tam czeka na nas lepsze życie.
- No i w końcu dałaś się namówić. - Popijając kolejny łyk jarzębiaku, znudzony Grzegorz zerka dyskretnie na zegarek.

Jola opowiada dalej:

- Przyjechałam z nim do Warszawy. Zamiast w złotym pałacu zamieszkaliśmy w tym baraku. Ale byłam zakochana i było nam razem naprawdę dobrze. - Ogląda plik zdjęć trzymany w ręce i z zadumą podsuwa Bernardowi kilka z nich pod oczy. - Sam tylko popatrz!
- Tak bywa na początku. Ja też to przeżywałem, rozumiem cię, mnie też się nie poukladało w życiu. - Grzegorz próbuje przejąć inicjatywę w rozmowie. - A przecież jestem normalnym, poważnym facetem...
- Słuchaj, Grzegorz, ale ja miałam inne plany. - Jola nie daje za wygraną. Woli prowadzić monolog, popijając i użalając się nad sobą.

Bernard rozumie: Joli potrzebny jest tylko słuchacz. Pozwoli jej się więc wygadać.

Kiedy znów dyskretnie zerka na zegarek, okazuje się, że minęły dwie godziny. Jola całkowicie się rozgadała, wręcz rozkręciła, nawet nie zwraca uwagi na to, co on mówi. Zmieniła tylko tempo wypowiedzi, momentami mówi jak płyta gramofonowa na zwolnionych obrotach. Jarzębiaku zostało ledwo na dzień.

- Po urodzeniu dziecka zamieszkaliśmy na Pradze. On wracał prawie codziennie pijany. - Mówiąc o byłym mężu, podnosi ze złością głos. - Potem uderzył mnie pierwszy raz.
- Uderzył? To straszne! - Grzegorz próbuje wykazać resztki zainteresowania.
- Potem niby przeproszał. - Jola zniża głos. - Ale później, jak mu się stawiałam, to bił mnie bez opamiętania. - Zaczyna szlochać.

„Dłużej tego nie wytrzymam” - myśli Bernard. Spogląda na jej zapłakaną twarz i uznaje: teraz albo nigdy. Znów napływa gorąca krew. Postanawia działać.

Powoli wstaje z krzesła, zbliża się do niej. Ona, szlochając i gadając, nie zwraca wcale na to uwagi. Trzyma wysoko uniesione ręce i wpatruje się w duże zdjęcie. Grzegorz klęka obok niej. Wkłada głowę pod jej uniesioną rękę, tuż przy piersi.

- Lepiej będę widział, jak razem będziemy oglądać. O, świetnie wyglądasz na tej fotce - mówi niepytany;

Czuje jej zapach. To perfumy Biały Bez. W połączeniu z wonią jarzębiaku tworzą piorunującą mieszankę. Jego ciało opanowuje przyjemne napięcie, które rośnie. Zuchwale odwraca głowę, przytulając się do jej biustu. Nos wkłada w dekollet i ściąga bluzkę w dół. Stanik jest już na wierzchu. Koloru cieli-stego. Z jakiegoś twardego materiału. Bernard nosem nie może go przesunąć. Jola wciąż wpatruje się w fotografie i wypowiada swoje kwestie.



On obiema rękoma uchyla biustonosz. Prawą ręką delikatnie ujmuje jej dużą pierś. Kciukiem od dołu, cztery palce delikatnie masują górę. Suchymi jeszcze ustami dotyka dużego ciemnobrązowego sutka. Czuję ciepło jej ciała. Lewą rękę wsuwa pod bluzkę, mocno przyciskając jej plecy. Rozwartą dłoń kładzie na karku. Następnie powoli przyciska ją całą do siebie. Pierś sama wsuwa mu się do ust. Niebo w głębie! Ręką i ustami podtrzymuje pierś, zaś językiem z coraz większą przyjemnością dotyka sutka. Jola, niczym matka Polka, co dziecko karmi piersią, nie przestając pracować... ogląda fotografie. Bernard - tak jak ona - nie zwraca na nic uwagi. Całuje pierś i usiłuje ją włożyć do swoich złaknionych rozkoszy gorących warg. Błogie napięcie wypełnia każdy kawałek jego męskiego ciała. Serce bije mu z intensywnością młota pneumatycznego. Klęcząc przed nią, lewą ręką przesuwając w okolice biodra. Niestety nie może jej wcisnąć, bo spódnica obciska solidnie kibić kierowniczką. Wraca do zapięcia stanika, prawą ręką szybko przesuwając od piersi przez szyję do zapięcia przy plecach. Podciąga bluzkę pod jej brodę. Szybko rozsuwa zapięcie, obie piersi niczym uwolniona lawa spływają na jego twarz. Całuje raz jedną, raz drugą, po kilku chwilach czuje kolejny napływ przyjemnego napięcia. Jola przestaje mówić. Zaczyna za to szybciej oddychać. Chyba przestała też oglądać zdjęcia, bo Grzegorz czuje, że prawą ręką przyciska go do lewej piersi, którą unosi od spodu i kieruje w jego usta. Delikatnie głaszcząc go po głowie i przytula do piersi, która już prawie cała jest w jego wargach. Bernard obiema rękoma zaczyna szukać zapięcia spódnicy, znajduje z boku, odpina. Lekko zsuwa odzież z bioder, na ile jest to możliwe w pozycji siedzącej. Ona coraz intensywniej oddycha, ale nie wydaje żadnych dźwięków. (Wreszcie!). Piersi robią się twardsze i jeszcze większe, pulsują. Bernard rozumie, że teraz należy przejść do ostatniego etapu. O niczym innym nie myśli, tylko jak zsunąć spódnicę i resztę z siedzącej Joli. Wstaje. Jest wyższy. Delikatnie podnosi kobietę. Ta poddaje się jego woli, trzymając Bernarda prawą ręką na wysokości karku. Po chwili ich twarze są naprzeciwko siebie. W jej usta lekko rozchylone wbijają się jego usta rozpalone namiętnością niczym eksplodujący krater wulkanu. Jej lewa ręka wędruje do rozporka. Zaczyna go tam głaskać, wykonuje ruch palcami wzdłuż zamka jego spodni. Przytula się piersiami do niego, wkłada język w jego usta. Jej ręka coraz intensywniej pieści jego naprężone spodnie w kroku. Robi mu się dobrze, bardzo dobrze, czuje, że... Chwila błogości, a potem wraca świadomość, że plan zdobycia należy odłożyć w czasie.

Niekontrolowany strzał to pojęcie z zakresu nauk strzeleckich. Określa sytuację, gdy strzelec za szybko pociągnie za język spustowy, nie zachowa zimnej krwi, czyli pełnej kontroli. Posługiwanie się bronią palną wymaga koncentracji i precyzyjnej obsługi. Gdy pistolet jest naładowany, a następuje nieplanowany strzał, nabój nie leci w tarczę, a gdzieś, gdzie jest w tym momencie wycelowana lufa. Dobry strzelec zawsze zakłada oddanie strzału w sposób precyzyjny, kontrolowany, dokładnie do celu, a tu nabój wylatuje i po wszystkim.

Jola też czuje, że już po. Robi się głupia cisza, oboje wykręcają się do siebie plecami. Ona zapina biustonosz i poprawia bluzkę. On tylko się zasłania.

- Cholera, zasiedziałam się, muszę lecieć - mówi ona bardzo drżącym głosem, przerywając niezręczną ciszę.

Szybko chowa szklanki do szarki, a do szuflady zgarnia fotografie i bije rekord świata w szybkości zakładania palta. Bernard stoi zażenowany.

Wychodzą z pokoju jednocześnie. Nie spoglądają na siebie, tylko niemalże bezgłośnie mówią sobie „do widzenia”.

Być może japońscy naukowcy w swoim wiekopomnym odkryciu nie badali populacji europejskiej. Skupili się na swojej nacji, a naukowe odkrycie niefrasobliwie przypisali całej ludzkości.

\* \* \*

Bernard przez kolejne dni ma dylemat: co zrobić, by nie spotkać kierowniczkę hotelu? Utrzymuje stały rytm dnia: wcześniej wychodzi i późno wraca. Nie spotyka Joli przez następne tygodnie. W trzecim miesiącu pracy kadrowiec powiadamia go, że musi zmienić hotel. W ciągu tygodnia ma się przenieść, bo na Gołędzinowie będzie przebudowa. Grzegorz przeprowadza się jeszcze tego samego wieczoru.

Budynek, do którego trafia tym razem, sprawia bardzo ponure wrażenie. Wysokie gmazysko położone przy zbiegu ulic Kłopotowskiego, Sierakowskiego i Okrzei. Po wojnie była tu siedziba Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Kilka miesięcy później w tym hotelu pozna kolejnego fascynata japońszczyzną, posterunkowego Janusza z Wydziału Ruchu Drogowego Komendy Stołecznej Policji. Ten wybrał na drogę życiową ścieżkę mistrza Jigoro Kano i jest wziętym zawodnikiem dzudo. Jest podobnie niskiego wzrostu jak Jarek, lecz znacznie cięższy. W zasadzie przypomina sejf pancerny z przedwojennego banku. Janusz, na szczęście dla Bernarda, nie będzie miał w zwyczaju ćwiczyć w środku nocy.

\* \* \*

Inna środa. Posterunkowy Grzegorz Bernard okazał się pojętnym uczniem w zdobywaniu kolejnych sprawności w policyjnym rzemiośle. W służbie osiąga coraz lepsze wyniki. Nie tylko w ściganiu uciekających przestępców, lecz także w zwykłych policyjnych czynnościach, przyjmowaniu zawiadomień procesowych o dokonanych lub niedokonanych przestępstwach. Nabył już specyficzną umiejętność w zakresie poprawy statystyk cenioną przez przełożonych - zniechęcanie do składania zawiadomień. Im mniej zawiadomień o przestępstwie, w których pokrzywdzony nie wskazuje jego sprawcy, tym wyższa wykrywalność. Bernard wie już, że najlepiej przyjmować takie zgłoszenia, w których przestępca jest zła-pany lub wskazany. Podczas dyżurów nocnych potrafi niejednego odwieść od powiadamiania policji. Wnikliwym spojrzeniem, przesywającym na wylot, zniechęca ludzi, którzy chcieliby ścigać sprawców drobnych zdarzeń. Choćby okradzionego mężczyznę, lekko zamrozonego pobytym w knajpie. Rozsądnie, używając jednak fachowego języka prawniczego, Grzegorz tłumaczy, że praska policja ściga w tym momencie najgorszego zbója. Innym razem, że skupiając się na złośliwym sąsiedzie, ale niewskazanym, który zarysował samochód na osiedlowym parkingu, pokrzywdzony rozbija misterny plan zwalczania groźnej przestępczości w całej dzielnicy Praga-Południe. Bo funkcjonariusze, zamiast zakładać pułapki na jakichś niebezpiecznych przestępców, będą musieli zajmować się jednorazowym złośliwcem. Tłumaczy, że przegrupowanie policyjnych sił spowoduje poważne odsłonięcie terenu w newralgicznej części dzielnicy. Wielokrotnie przekonuje namolnych petentów o konsekwencjach prawnych, gdy przestępstwo nie zostanie stwierdzone. Ta sprawność została zauważona przez przełożonych, którzy doceniają młodego policjanta.

Od czasu wódki po pierwszym trupie Grzegorz wchodzi w układy towarzyskie panujące na komendzie. Zaczyna się od imienin. Idzie z całą sekcją składać życzenia. Klasyczny rytuał biurowy. Uścisk dłoni, buźka, życzenia, kawa i suche ciasto, jeden kieliszek za zdrowie solenizanta lub solenizantki - i wychodzi jako pierwszy. Pozostali piją dłużej. W miarę upływu stażu on też zostaje dłużej, na drugą kolejkę. Wie, że po szesnastej, jak nie ma petentów na korytarzu, najbardziej doświadczeni funkcjonariusze przychodzą na dogrywkę. On jeszcze nie ma wstępu do tej ekipy. To imprezy najwyższej próby towarzyskiej. Kiedyś wychodził z komendy około osiemnastej. (Oprócz kobiet nikt nie opuszcza posterunku przed siedemnastą. Zawsze są zatrzymani albo świadkowie do przesłuchania). Któregoś dnia Bernard, czekając po tej osiemnastej na autobus, widzi, jak z okna na pierwszym piętrze wypada, z harmonią w rękach, starszy technik kryminalistyki Eugeniusz. Pewnie usiadł na parapecie przy otwartym oknie i przygrywał imprezującym. Widocznie się zatracił w swojej wirtuozerii i odchylił do tyłu, przeciągając jakąś frazę

muzyczną, a instrument go przeciążył. Upada na rozmiękczony wiosennymi roztopami trawnik. Wstaje, kontroluje stan akordeonu, trochę się otrzepuje i wraca na imprezę. Bernard już wie, że w praskiej policji tylko najtwardsze charaktery się sprawdzają.

\* \* \*

Jest zatem środa, wczesne słoneczne popołudnie. Bernard idzie do pracy na czternastą. W ich pokoju mają być imieniny kolegi, aspiranta Mierosława. Dzień wcześniej posterunkowy dokonał obowiązkowej zrzutki na prezent, poza tym postarał się o osobisty podarunek dla solenizanta. Wszak to jego starszy i doświadczony kolega, który mimo niechęci do mówienia coraz częściej wprowadza go w arkana rzemiosła. Specjalizuje się w sprawach, no, nazwijmy je „dookoła policyjnych”.

Podpisuje listę obecności. Szef Marian oznajmia, że Grzegorz będzie dziś urzędował w pokoju naprzeciwko sekretariatu z koleżanką Marią, tą od oszustw.

- Za chwilę prewencja przywiezie kilka osób do przesłuchania. Jak się tylko wyrobicie, to przyjdziecie do Mierosława - pada komenda w kierunku obojga.

To znaczące wyróżnienie. Grzegorz ma się załapać z właściwą ekipą! Po chwili przywożą kilku ludzi spod Siedlec, którzy są świadkami oszustwa na tak zwany walek. Małżeństwo rolników chciało kupić trzy tysiące dolarów po korzystniejszej cenie niż w kantorze. Z uwagi na to, że odbywało się to w obecności paru ich znajomych, jest dużo świadków do przesłuchania. Robi się harmider. Wszyscy, zarówno poszkodowani, jak i świadkowie zdarzenia, przekrzykują się wzajemnie, relacjonując przebieg oszustwa. Spokój w poczekalni przywraca dopiero koleżanka Maria.

- Najpierw przesłucham poszkodowanych - wyznacza kolejność. - Potem będę do pokoju wzywać po kolei świadków. Proszę cierpliwie czekać.

Przestępstwo polega na wykorzystaniu naiwności, nieświadomości i strachu ofiar. Cinkciarz oszust podaje zwitek dolarów, w którym brakuje jednak kilku banknotów. Zawsze. Ofiara liczy, stwierdza braki i oddaje pieniądze. Oszust na jej oczach przelicza, potwierdza brak tej kwoty i bardzo uprzejmie przeprasza. Dokłada brakujące banknoty. Jednocześnie sprytnie podmienia zwitek i te nowe dolary zostają dorzucone do nowego zawiniątka (czyli właśnie walek zwiniętych banknotów). W rzeczywistości są to kawałki gazet owinięte przez trzy, cztery oryginalne banknoty. Następuje wymiana z ręki do ręki. W tym momencie wspólnik cinkciarza sygnalizuje, że nadchodzą policjanci. Mimo że handel dolarami nie jest już karany, ludzie obawiają się policji. Strony szybko się rozchodzą. Oszust rozplywa się jak we mgle. Potem ofiara ponownie liczy pieniądze i przekonuje się, że dolarowych banknotów jest kilka, a reszta to papier. W przypadku tego małżeństwa walek zrobiono im na oczach kilkorga znajomych.

Ewa w obecności Grzegorza przesłuchuje pierwszego świadka i dokładnie tłumaczy koledze, jak on ma to robić, o co pytać. Po pierwszym jego przesłuchaniu wychodzi na chwilę, wraca i znów wychodzi. Za każdym razem wraca weselsza. Głaszcze czule po głowie Bernarda, chwając, że nadaje się do tej roboty. To bardzo drobna brunetka ostrzyżona po męsku. Kończą około 17.30. Grzegorz przesłuchał wszystkich, może iść na imieniny. Coraz bardziej wesolutka Ewa chce kontynuować składanie życzeń. Telefon z dyżurki informuje ją, że na dole czeka wkurzony małżonek, gliniarz z sąsiedniej komendy. Kobieta wychodzi, mamrocząc pod nosem, że ma kanał za męża.

To debiut Grzegorza w zacnym gronie. Speszony wchodzi do pokoju. Rozgląda się i nie może uwierzyć, że zmieściło się tu tyle osób. Dwa biurka stoją jedno na drugim, biurko solenizanta pełni rolę stołu. Ludzie siedzą dosłownie wszędzie. Znajduje się tu najlepszy bukiet kwiatów tej komendy: dochodzeniowcy, pegowcy, kryminalni, technicy kryminalistyki i przedstawiciel dyżurnych. Jakies

dwadzieścia osób. Żadnej funkcjonariuszki. Wszyscy obecni zachowują się wobec Bernarda sympatycznie, mówią, że czekali na najlepiej rokującego gliniarza. Polewają mu natychmiast. Już w trakcie pierwszej konsumpcji z jednorazowego plastikowego kubka padają propozycje przejścia na ty. Dostaje parę karniaków na wyrównanie towarzyskie. Szybko czuje, że dogania peleton.

Solenizant stoi przy drzwiach. Posterunkowy składa osobiste życzenia, prezentem jest kolorowa wódka marki Krupnik. Mierosław jest jedyną znaną mu osobą raczącą się tym trunkiem o gęstości miodu i takim samym smaku. Prezent wyraźnie podoba się solenizantowi. Wskazuje kobietę robiącą kanapki w rogu pokoju.

- To jest moja córeczka Arabeska. - Jest już pod wpływem wypitego trunku. - I ty możesz w każdej chwili, jak ci się zachce... Córeczka będzie z nami cały czas, więc kiedy chcesz, pokój obok jest wolny...

Kobieta, która robi kanapki, a raczej częstuje nimi gości, nie wygląda na córkę, raczej na starszą siostrę solenizanta. Jeżeli w ogóle są rodziną. Blondynka o jasnej karnacji, niezbyt wysoka, pulchna, o bardzo wybujałych kształtach. Podchodzi do każdego, torując sobie drogę pomiędzy ciasno siedzącymi facetami. Grzegorz może dokładnie się jej przyjrzeć. Ubrana jest w czarną spódnicę mini, tak króciutką, że widzi taką po raz pierwszy na kobiecie, a nie na fotografii. Nie ma pończoch ani rajstop. Gdy się pochyla, widać białe, bardzo dziwne majtki. Mniej materiału niż na bikini. Bluzkę też ma bardzo obcisłą, jakby dla dużo mniejszej kobiety. Brzuch jest na wierzchu, a bluzka okrywa biust tylko do połowy. Z kolei piersi są tylko trochę schowane w stanik, na dodatek dziurawy. Nie są to dziury ze zużycia, ale takie specjalne, obrobione koronką. Arabeska wielokrotnie przechodzi obok Bernarda i za każdym razem tak staje, aby jego twarz dotykała jej stanika. Grzegorz czuje się nieco skrępowany. Gdy ona dotyka go piersiami, wszyscy zawieszają na nich wzrok. Ale gdy to samo robi z innymi, nikt nie zwraca na to uwagi.

Solenizant polewa ciurkiem, nie żałując nikomu. Jest naprawdę logistycznie przygotowany. Powstają kółka dyskusyjne. Dominują tematy kadrowe i polityczne. Mnożą się uwagi, że milicjanci to zawsze mieli ciężko, że za każdej władzy ciężko pracują, że ich się teraz rozlicza za „tamte czasy”, a oni żadnych solidaruchów przecież nie ścigali. Że ubecy to mieli super, lepszy przelicznik pensji i nikt ich rzeczowo nie rozliczał. Że tamci pisali jakieś sufitywki o nastrojach społecznych, przepisując z gazet, a milicjantów rozliczano z każdego informatora, z każdego przesłuchania. A tak w ogóle, to nikt ich teraz nie szanuje, że ta „nowa Polska”, że „nowe czasy” są kompletnie popierniczone. Że teraz to klechy rządzą, a przewodniczący Solidarności jest jak sekretarz.

W pewnej chwili ktoś pyta Bernarda:

- Czy nie jest ci głupio, że byłeś w Solidarności, a teraz z nami pijesz?

Nim ten zdąży odpowiedzieć, wnoszą kolejny toast. Grzegorz wykorzystuje moment i wychodzi bez pożegnania. Rytuał żegnania się ze wszystkimi i picie strzeżennego przysługuje tylko weteranom imprez. Na korytarzu słyszy męskie sapanie, myśli, że może ktoś przesadził z alkoholem i sprawy sercowe się odezwały. Szybko wchodzi do pokoju, skąd dobiega dźwięk. Widzi plecy dużo starszego kolegi z innej sekcji, który stoi przy biurku, opleciony pulchnymi nogami Arabeski, a ta pólśiedząc, trzyma go za szyję. Jest roześmiana.

- No, wchodź i zamknij drzwi - mówi.

Kolega tymczasem odwraca głowę i dysząc, rzuca:

- Spierdalaj.

Bernard odskakuje, jakby raził go prąd, i szybko zbiega na dół. W tej chwili do komendy wchodzi wysoki funkcjonariusz w płaszczu z epoletami generalskimi. Robi się rumor, z dyżurki wybiega oficer dyżurny i się melduje. Po przyjęciu meldunku generał odwraca się do Bernarda, podaje mu rękę i mówi:

- A, to wy? Co u was, jak się czuje żona? Pozdrówcie ją ode mnie.

Zaskoczony posterunkowy stara się utrzymać w pionie i nic nie odpowiada. Może i dobrze, bo generał poczułby alkohol. Ten zresztą nie czeka na odpowiedź, tylko idzie dalej.

Następnego dnia służba dyżurna wita Bernarda niczym wczoraj generała. Że niby taki skromny, ale zapomniał się wujem pochwalić. On odbiera to jako dowcipkowanie z młodego funkcjonariusza. Stołeczny generał Stańczak, co go przywiało ze Szczecina, tylko się przecież z nim przywitał.

Mierosław i Stach są już u siebie. Nie wyglądają na szczególnie zmęczonych, ale wszak mają odpowiedni charakter. Witają go głośnym śmiechem i szyderstwem (oraz szklaneczką krupniku). Najpierw, że gamoń i nie wiedział, kto to jest Arabeska, następnie, że ma generalskie koneksje. Wieści rozeszły się błyskawicznie. Bernard tłumaczy wszystkim, że generała widział pierwszy raz w życiu, a na Kielecczyźnie są tylko porządne kobiety i że tam to żadna dewizowymi Arabami się nie zajmowała. Potwierdzają, że mu wierzą (bo został dokładnie operacyjnie sprawdzony, a dyżurni nie mają takiej wiedzy). Gdy przechodzi im ochota na dworowanie z Grzegorza, tłumaczą mu, że policja w starych i nowych czasach, w Peerelu i nowej Polsce, ma bardzo specyficzne zasady funkcjonowania. Jedną z nich jest to, że jak nie masz popychacza, który przesunie cię na wyższe ścieżki kariery, to twoja służba zacznie się i zakończy w tym samym miejscu.

- To przypadkowe spotkanie może być darem losu, jak je będziesz umiał wykorzystać - pouczają zgodnym chórem.

## Czwartek

# OBIADY CZWARTKOWE Z BISKUPEM W TLE

**C**zwartek jest dniem tygodnia, którego nazwa pochodzi od cyfry cztery. Bo jest czwartym dniem pracy. W tradycji starszego pokolenia był to dobry dzień na podejmowanie znaczących wyzwań życiowych. Młodsze pokolenie na ten dzień patrzy przez pryzmat piosenki Kuby Sienkiewicza, w której są znamienne i prorocze słowa: „Nie pij, Piotrek, nie pij w czwartek, picie w czwartek nic niewarte”. Przesłanie proste i logiczne: jak przesadzisz z alkoholem w czwartek, to będzie ci ciężko wytrzymać do weekendu. Najstarszym zaś ten dzień kojarzy się (chyba tylko z książek, ale kto wie?) z czwartkami u króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, podczas których posiłki nie były tylko zaspokajaniem głodu, lecz także sprawianiem sobie przyjemności. Najważniejsze nie były wcale uniesienia kulinarne, wszak przy stole zasiadali naukowcy, literaci, politycy, co sprzyjało wysublimowanym dyskusjom.

Grudzień 2002 roku, któryś czwartek. Komisarz Bernard jak co dzień rano mknie swoim popielatym szerszeniem, fiatem 125p rodzimej produkcji do pracy w stołecznej. Określenie „mknie” nie jest adekwatne do tempa poruszania się auta, bardziej właściwe byłoby „toczy się”. (Bo koła się toczą albo kręcą). Posiadany przez komisarza twór motoryzacji włosko-polskiej jest dosyć sfatygowany. W zimowe poranki jednym z elementów rozruchu, właściwie rytuału uruchamiającego, jest odśnieżanie go od środka. Szczelność auta nie spełnia podstawowych norm zdrowotnych, a w standardzie jest powiew bardzo świeżego powietrza. Grzegorz nie ma jednak w planach zmiany osobistego środka transportu, chyba że z

przyczyn technicznych na środek transportu publicznego.

Przejeżdża obok luksusowej restauracji Ambasador. Lokal znajduje się naprzeciwko ambasady Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, co jeszcze bardziej podnosi, w mniemaniu Bernarda, prestiż lokalu. Z pewnością stołuje się tu amerykańska socjeta. Komisarz nie zdążył zjeść śniadania, jest więc w nastroju konsumpcyjnym. „Pewnego dnia wkroczę do tego ekskluzywnego wnętrza - myśli - i zamówię najbardziej wykwintny posiłek, i długo, długo będę się nim delektował wśród najbardziej eleganckiej warszawskiej śmietanki towarzyskiej. Będzie jak za czasów króla Stasia. Będzie to na pewno jakiś rarytas kulinarny. No i te dysputy przy stole...” rozmarza się komisarz. Najbardziej chciałby zjeść owoce morza. Może dlatego, że niedane mu było jeszcze nigdy ich degustować, a może, bo lubi oglądać filmy przyrodnicze o rafie koralowej. Z marzeń do rzeczywistości przywraca go zimny powiew powietrza. Rześkość wdziera się do wnętrza spod przedniej szyby, gdzie korozja wyraźnie wygrywa z zabezpieczeniem antykorozyjnym auta.

Dziś komisarz ma zaplanowane szkolenie dla licznej grupy funkcjonariuszy patrolujących stołeczne miasto. Spotkanie ma się odbyć w bardzo dużej sali, co już teraz powoduje jego zakłopotanie. Jest osobą dosyć wygadaną, w końcu jest negocjatorem, ale tu ma przemawiać do ogromnego audytorium. „Jak rozmawiać z tłumem? - zastanawia się. - Może powinienem zapytać kapłana, a najlepiej jakiegoś biskupa. W końcu kto ma wiedzieć, jak nie oni? W ostateczności mogę znaleźć jakiegoś aktora”.

W każdym wydziale policji, również w stołecznej, jest „osoba do roboty”, newralgiczna dla funkcjonowania całej komórki organizacyjnej. Sekretarka. W Wydziale do Walki z Terrorem Kryminalnym jest nią Monika - eteryczna blondynka, wyjątkowo drobnej postury, mierzy zaledwie metr i sześćdziesiąt centymetrów (w szpilkach), a wagowo może osiągać maksymalnie czterdzieści pięć kilogramów (kompletnie ubrana w odzież zimową). Skromność postury nadrabia werbalnie. Jest przeciwieństwem samolotu ponaddźwiękowego, który najpierw widać, a później słychać. Mimo że Monika porusza się najszybciej ze wszystkich pracowników, to jej krzyk zawsze toruje jej drogę. A głos ma wyjątkowo donośny! Im głośniej Monika krzyczy, tym wydawany przez nią dźwięk staje się niższy i zyskuje charakterystyczną chrapliwą barwę. Mogłaby spokojnie zastąpić radiowęzeł stołecznej policji. Miła dla oka aparycja, młodość oraz owa eteryczność nie przeszkadzają jej w stosowaniu w wypowiedziach przerywników typu: „kurwa mać”, „ja pierdołę” czy „przejebane”. Dlatego Monika decyzją kierownictwa nie ma doświadczeń w wystąpieniach publicznych.

Komisarz Bernard spokojnie pije kawę w swoim pokoju służbowym. Taką zwykłą plujkę. Zgodnie z tradycją wywodzącą się z czasów milicji - w szklance. Rozmyśla, jaki smak by miała kawa w wykwintnym lokalu. Już słyszy charakterystyczny głos, przekleństwa są coraz donośniejsze. Znaczy to, że sekretarka nadciąga.

- Kurwa mać, dawaj, Benek, do szefowej! - Wpada zdyszana Monika. - Do kurwy nędzy, przecież tylko na ciebie czekają! Zasuważ, bo masz przejebane, kurwa.

Komisarza Bernarda i sekretarkę łączy specyficzna nić sympatii. On zawsze, gdy tylko nadarzy się ku temu okazja, woła ją na trunek. Ona zaś w razie potrzeby potrafi na poczekaniu stworzyć mu taką legendę wobec przełożonych, że gdy potem wzywa go szefowa, to sam wierzy, że był tam, gdzie Monika twierdzi, że był, i robił to wszystko, o czym ona opowiadała.

Nieco zdziwiony komisarz rusza w kierunku gabinetu szefowej. „Przecież nie było żadnego uprowadzenia - myśli. - No chyba że samobójca w gabinecie szefowej. Czego ona może ode mnie tak pilnie chcieć?”. Przy biurku siedzi naczelnik Prymas. Jak zwykle w swoim nieśmiertelnym żakiecie, który jest chyba w nią wrośnięty, choć zawsze wyprasowany, a ona elegancka. Komisarz nie widzi w pomieszczeniu innych osób. Kto więc na niego czeka? Nim zdąży się przywitać, słyszy szefową:

- To jest komisarz Grzegorz Bernard. Będzie z panem na miejscu i zrobi dla pana wszystko -

oznajmia naczelnik miłym głosem. - To jest nasz najbardziej zaufany człowiek do zadań specjalnych. Proszę być spokojnym.

Komisarzowi robi się ciepło na sercu. Już dawno nie słyszał tylu dobrych słów pod własnym adresem. Wie, że to coś musi znaczyć. Dopiero po chwili zauważa roztrzęsionego mężczyznę siedzącego w rogu, wpatrującego się w niego z widocznym podziwem. „Co też ta szefowa musiała mu nagadać, że patrzy we mnie jak w obraz?” - zastanawia się komisarz.

Następnie naczelnik Prymas zwraca się do Benka:

- Dziś będziemy zatrzymywać Biskupa. Potrzebny nam jesteś. - A widząc zdziwienie policjanta, dodaje: - Wiesz, tego, co fury hurtem ścigał na swój Kościół. Falszywego księdza. Chłopaki z samochodówki odświeżają swoje kwity na niego. Pchnęłam info do Wydziału Przestępstw Gospodarczych, oni też coś będą na niego mieli.

Te słowa uspokajają chrześcijańskie sumienie komisarza. Nie chce się bronić, że to nie jego kompetencje, że jest przecież na stanowisku samodzielnego negocjatora. Niedawno wrócił z zesłania, które odbywał w Biurze Operacji Antyterrorystycznych, więc chce się w stołecznej wykazać.

Prowadzi mężczyznę do pokoju służbowego, robi mu kawę i zapowiada, że wróci za kilka chwil. Następnie udaje się do szefowej dopytać, o co w tej sprawie chodzi. Naczelnik Prymas układa właśnie małe porcelanowe lalczki. Jest posiadaczką okazałej kolekcji, którą trzyma w sejfie na broń. Zabawa lalczkami świadczy, że sprawa jest poważna, a ona się odpręża przed stresową realizacją. Nie przerywając czynności, mówi:

- Beniu, muszę użyć ciebie, tylko ty mi uspokoisz delikwenta. Ten poszkodowany ma dużo za uszami, nie bez powodu zadaje się z najgroźniejszymi miastowymi. Nie mogłam go dać do obróbki Miśkowi czy Kawiorowi, czy Olszówce, bo oni go obsztorcują. A ty spokojnie go ogarniesz. Wszedł w bagno, dziś się ratuje i współpracuje. Jak przygwoździmy Biskupa, to gość następnego dnia zmieni front działania. - Naczelnik nie odrywa wzroku od lalek. - Rób z nim, co chcesz, ale musimy na mocnych papierach zawinąć fałszywego klechę. Grzegorz, czy ma sens zamiana sukienek pomiędzy tymi lalczkami? - Nagle zmienia temat. - Doradz mi, czy ten krój sukienki u tej nie będzie się gryzł z resztą. Bo wiesz, muszę je dziś poprzebierać. Planowałam to już od dawna. One nie mogą cały czas być w tych samych strojach.

Komisarz wychodzi bez słowa. W sekretariacie prosi Monikę, żeby jak będzie odprawa, szybko go ściągnęła i żeby od dochodzeniowca przyniosła mu kopię zawiadomienia o przestępstwie. W obecności pokrzywdzonego mężczyzny Bernard zapoznaje się z materiałami. To standardowe zawiadomienie o przestępstwie wymuszenia zwrotu należności przez wierzyciela wobec dłużnika. Wierzyciel - choć nie wprost - grozi pobiciem i porwaniem. Kwo ta, na którą opiewa umowa, wynosi czterysta tysięcy złotych. „Nieźle” - myśli Bernard.

- Biskup naliczał mi bardzo wysokie odsetki - tłumaczy roztrzęsiony poszkodowany. - Na początku nic specjalnego się nie działo. Porysowany lakier lub przebite opony. Potem zorientowałem się, że mam do czynienia z wyjątkowo perfidnym gościem. Mimo że oddałem już połowę kwoty, ten ciągle żądał zwrotu czterystu tysięcy. Zaczął mi grozić. Zapowiedział, że wywiezie mnie nad Wisłę. Że tam mnie zabije, jeżeli nie dostanie pieniędzy do czwartku.

- Do którego? - pyta zasluchany komisarz.

- Do dziś. Dzisiaj mija termin.

Pokrzywdzony rozumie już, że tylko współpraca z policją może mu uratować życie.

Komisarz Bernard poucza mężczyznę, że ma wręczyć Biskupowi pakiet kryminalistyczny. To specjalnie przygotowana koperta, która udaje, że zawiera pieniądze. Wzięcie jej do ręki oznacza, że

sprawca dokonał przestępstwa wymuszenia należności. Po przyjęciu przez przestępcę pakietu zostanie on sprawnie zatrzymany przez policję. Pokrzywdzonemu bezpieczeństwo w trakcie realizacji zadania zapewni komisarz, który będzie obok.

W tej chwili dzwoni telefon komórkowy mężczyzny. Mocny głos komenderuje:

- 13.30, restauracja Ambasador. Weź wszystkie pieniądze. Nic nie kombinuj, nie próbuj się przede mną chować. Mam umowę podpisaną przez ciebie i nawet komornik będzie cię szukał. Jeżeli nie przyjdiesz, jesteś martwy.

Znowu groźba - choć nie wprost. A szkoda. Nie można go za to zapuszkować.

Komisarz już od początku musi uspokajać spanikowanego pokrzywdzonego.

- Proszę pana, zajmują się panem najlepsi gliniarze z Wydziału do Walki z Terrorem Kryminalnym. Ja pana nie odstąpię nawet na krok. W trakcie przekazywania pieniędzy nie takich hierarchów polskiej mafii zamykaliśmy, proszę mi wierzyć. Nie ma w Polsce większych twardzieli niż my.

Zbliża się czas przeprowadzenia akcji. W dużej sali przy gabinecie komendanta odbywa się odprawa. Naczelnik Prymas głośno pokrzykuje na funkcjonariuszy:

- Szybciej, zajmujcie miejsca, bo nie zamierzam dwa razy tego samego powtarzać.

Na sali znajduje się kilkudziesięciu funkcjonariuszy z wydziału terroru oraz ateciaków z Biura Operacji Antyterrorystycznych. Są też przedstawiciele Wydziału Techniki Operacyjnej, czyli specjaliści od tajnej obserwacji, ludzie-cienie.

Szefowa zaczyna od wprowadzenia w temat:

- Nasz poszkodowany pożyczył dużą gotówkę od świeżo poznanego biznesmena. Znali się ze trzy tygodnie. Pożyczka na krótki termin, niby grzecznościowa. Oczywiście sporządzili jakąś lipną umowę. Bardzo szybko okazało się, że zadłużenie poszkodowanego rośnie w tempie dziury budżetowej. Nie mamy klasycznych gróźb, nie ma nawet pobicia, ale poszkodowanego spotykają dziwne przypadki.

„Przestępca jest sprytny i świetnie zna przepisy, i wie, że jak użyje słów, że pobije gościa, to będzie miał zarzut za samo grożenie - myśli Bernard. - Dlatego używa odpowiednich słów, a i tak wiadomo, o co biega”.

- Gdy pokrzywdzony przekonał się, z kim zawarł umowę - ciągnie naczelnik Prymas - ze strachu zawiadomił policję. Ma zapłacić ostatnią ratę. Umówili się na spotkanie w restauracji Ambasador za około półtorej godziny. My musimy mieć w obserwacji ten lokal znacznie wcześniej. Znając taktykę Biskupa, przed spotkaniem pewnie wyśle tam swoich ludzi. Musimy zdobyć właściwą podstawę prawną do zatrzymania podejrzanego, wtedy dostanie sanki. A my będziemy mieli czas na to, żeby przyklepać mu inne sprawy.

(„Sanki” to w policyjnym żargonie środek zapobiegawczy w postaci tymczasowego aresztowania).

Potakiwania, szuranie. Naczelnik nie przerywa:

- W lokalu będzie siedziało dwóch moich, Benek i Olszówka. Obserwacja się nie ujawnia, chyba że w ostateczności. Jak tylko Biskup przyjmie haracz, kopertę, czyli nasz pakiet kryminalistyczny, na znak Benka antyterrorysty dokonują zatrzymania. Jeszcze raz przypominam o prawidłowym zatrzymaniu, czyli tylko wtedy, gdy delikwent przyjmie kopertę. Musi być spełnione kryterium dokonania, a nie usiłowania. On jest bardzo niebezpieczny, nosi broń i porusza się z obstawą, która może być wcześniej w lokalu, a nie zdążymy już tego operacyjnie sprawdzić. Zajmujemy miejsce według szkicu, oczywiście Benek najbliżej, ale się nie ujawnia. On wskazuje najdogodniejszy moment do zatrzymania. Proszę o zachowanie szczególnych zasad bezpieczeństwa. To jeden z najgroźniejszych przestępców na mieście.

Na koniec dodaje:

- Funkcjonariusze, którzy będą w środku, niech idą szybko do kasy pobrać pieniądze na czynności



maskujące.

Czynności maskujące to takie zachowanie funkcjonariuszy, aby się niczym nie odróżniali od innych. Po prostu w tej restauracji należy zamówić pełen posiłek, a nie tylko herbatę, by nie wyglądać na ubożego krewnego. Z uwagi na wykwinność lokalu komenda stołeczna z funduszu operacyjnego 1, czyli tego na czynności związane z pozyskiwaniem informacji, wypłaca swoim funkcjonariuszom po kilkaset złotych.

Komisarz Bernard już po odprawie udziela ostatnich instrukcji pokrzywdzonemu:

- W trakcie rozmowy, gdy tylko Biskup będzie żądał pieniędzy, ma pan prosić o prolongatę. Proszę powiedzieć, że jak mu pan odda ostatnie pieniądze, to nie będzie miał pan za co żyć. W momencie jak Biskup powie coś w stylu: „To będę cię musiał zająć i pieniądze nie będą ci już potrzebne”, poda mu pan kopertę. Jak ją weźmie, to pewnie od razu schowa do kieszeni. Przecież nie pomyśli, że mógłby go pan oszukać. Wtedy spokojnie pożegna się pan z nim i wyjdzie. My go zatrzymamy, jak tylko opuści lokal. W środku mógłby komuś zrobić krzywdę. Proszę się nie bać, ja będę cały czas tuż obok pana.

Pokrzywdzony ma zaufanie do komisarza, ale panicznie boi się Biskupa. Tłumaczą mu po raz kolejny, jak ma się zachować, ale wciąż sprawia wrażenie, że słyszy to pierwszy raz, że nic do niego nie dociera. Jest sparaliżowany ze strachu. Wcześniej myślał, że policja załatwi bandytę bez jego udziału, sama.

Zgodnie z ustaleniami pierwsi w lokalu są ci z obserwacji. Następnie mają przyjechać dwaj kryminalni, czyli Benek i Olszówka. Dopiero później ateciaki w cywilnych ubraniach. Rozkład stolików w restauracji jest im znany. Ich zadaniem jest spowodować, aby Biskup z pokrzywdzonym siedzieli w odpowiednim miejscu. Całość zajścia ma być filmowana na potrzeby procesowe, więc miejsce jest ważne.

Około trzynastej Bernard wraz z aspirantem Olszówką zjawiają się w ekskluzywnym lokalu. Zajmują stolik na środku, tak aby ten obok nich pozostał wolny. Kolejne stoliki dookoła obsiadają po chwili antyterrorysty po cywilnemu. Przy tym wolnym stoliku będzie musiał usiąść każdy następny, kto wejdzie. Przy pozostałych w głębi sali bawi się towarzyska śmietanka Warszawy, słysząc głośne rozmowy i śmiechy. Jest pora obiadowa, obecnie powszechnie zwana lunchem, więc w lokalu prawie komplet. Z uwagi na położenie pomiędzy Sejmem a siedzibami licznych ambasad czy krajowych ministerstw w tym lokalu serwuje się najbardziej wyszukane specjały kuchni całego świata.

Zaledwie parę godzin temu Benek, przejeżdżając obok tej restauracji, marzył o egzotycznej kuchni. Dzisiaj nic jeszcze nie jadł, więc proponuje koledze, by zaserwować sobie posiłek adekwatny do miejsca działań operacyjnych. Dzięki funduszowi na czynności maskujące może poczuć się jak wybraniec na obiadach czwartkowych u króla Stanisława. Zresztą Instrukcja Operacyjno-Rozpoznawcza jednoznacznie zaleca, aby funkcjonariusz wykonujący tajną misję w żaden sposób nie odróżniał się od innych osób w danym miejscu, ponieważ mogłoby to doprowadzić do dekonspiracji całej operacji. Bernard zerka na partnera i myśli: „Gorzej będzie z wysublimowaną dyskusją. Z Olszówką jest problem nawiązać jakąś ciekawą rozmowę”.

Komisarz nie jest najlepiej ubrany jak na wymogi lokalu, więc musi nadrabiać, zamawiając coś wyjątkowego. Ze znanstwem przegląda menu i wybiera danie bardzo egzotyczne i nieznanne nawet ze słyszenia osobie poruszającej się dziurawym fiatem 125p w wersji dla upadłego proletariatu. Zamawia ślimaki morskie z rafy koralowej zapiekane w serze o nazwie nie do wymówienia przez normalnego śmiertelnika. Aspirant Olszówka to bardzo konserwatywny funkcjonariusz. Dotąd jadał zawsze rodzime, swojskie posiłki, zapijając je tylko i wyłącznie przezroczystymi płynami. W menu nie ma jednak pierogów ani schabowego, więc nie znajduje niczego uprzednio sobie znanego. Nie zgadza się na konsumpcję rzeczy mu obcych, choć okazja do spróbowania frykasów jest wyjątkowa. Tylko pod wpływem uwag, że może zdekonspirować całą realizację, zamawia przezroczystą ciecz - wodę mineralną,

której cena wynosi równowartość jego dniówki. Bernard dyskretnie lustruje salę. Antyterrorysty, by nie wzbudzać podejrzeń, maskując rzeczywisty cel obecności, też zamówili już posiłki. Zgodnie z zaleceniami instrukcji pozamawiali jakieś raki, małże bądź meduzy. Pierwszy etap realizacji działania, polegający na wejściu do obiektu i zajęciu zamaskowanych pozycji, został osiągnięty.

Kwadrans później do lokalu wkracza Biskup, typowy miastowy kark rozmiarów 3XL. Jego fizyczność jest przytłaczająca. Góra wytrenowanych i chemicznie wspomaganych mięśni. Uważnie rozgląda się po sali i siada przy jedynym wolnym stoliku - obok komisarza i aspiranta w cywilu. Drugi etap realizacji zatrzymania właśnie się zaczął. Bernard dyskretnie rzuca okiem na pozostałych funkcjonariuszy uczestniczących w operacji. Mają już świadomość, że wszystko przebiega zgodnie z planem.

Podano posiłki. W lokalu jest sympatycznie i gwarnie. Komisarz czeka na zamówione ślimaki. Zgodnie z planem do stolika figuranta przysiadła się pokrzywdzony. Rozpoczyna się rozmowa. Bernard słyszy część wypowiedzi i odnosi wrażenie, że przebiega ona według jego koncepcji. Pokrzywdzony po kilku minutach przekazuje kopertę, czyli pakiet kryminalistyczny. Figurant bierze kopertę do ręki. Następnie wkłada ją do wewnętrznej kieszeni marynarki.

W tym momencie na stół Bernarda wjeżdżają ślimaki. Ich widok wprawia go w zachwyt. Już ma zacząć się nimi delektować, gdy kątem oka widzi, jak podejrzany zbiera się do wyjścia. Nagle zatrzymuje się, wyjmując kopertę i wkłada do niej rękę, pewnie z zamiarem sprawdzenia zawartości. Nie patrzy jednak na kopertę, tylko na ofiarę. Znamiona dokonania zostały spełnione, na rękach będzie miał świecący proszek fluorescencyjny, dla sprawy to bardzo dobrze. Etap trzeci realizacji został dokonany. Ale jeżeli wyjmie zawartość koperty, zrozumie, że to prowokacja. I może zrobić krzywdę pożyczkobiorcy. Nieodwracalną. Jest w stanie zabić tego roztrzęsionego gościa gołymi rękami. Ale najgorsze, że prawdopodobne jest, że posiada broń! I zagrożony może jej użyć również przeciwko klientom lokalu oraz policjantom.

Bernard rozumie grozę sytuacji. Rozpoznawczo spogląda na stoliki komandosów policyjnych, przekazuje umówiony znak... i nic. Nikt nawet głowy nie podnosi znad talerza. Oni też mają przed sobą wykwintne i drogie posiłki. I chyba za bardzo wczuli się w grane role. Ostatnie błagalne spojrzenie na aspiranta Olszówkę, ale i on z nieukrywaną awersją gapi się w talerz Benka. Zamiast na Benka. Robi się niebezpiecznie. Biskup wyjmując zawartość koperty, choć wciąż nie odrywa wzroku od przerażonego pożyczkobiorcy. Nie widzi, co ma w ręku, a jego przetrenowane ciężarami dłonie nie czują różnicy w dotyku. „Za chwilę może dojść do tragedii. Nie ma wyjścia. Należy działać” - przemyka przez głowę komisarza.

Bernard błyskawicznie wyskakując zza stolika. Stolik przewraca się na bok. Zawartość talerza rozpryskuje się po podłodze. Grzegorz chwytając kark Biskupa i szarpie do tyłu. Jednocześnie podcina krzesło i gangster pada na podłogę. W restauracji zapada grobowa cisza. Biskup jest całkowicie zdezorientowany. I unieruchomiony. Bernard kolaniem dociska mu klatkę, a Olszówka jego prawą rękę do podłogi. Usiłuje założyć mężczyźnie kajdanki. I tu pojawia się nieprzewidziany problem. Obwód nadgarstka Biskupa jest znacznie większy niż ich służbowych kajdanek! W tym momencie kilku antyterrorystów rzuca się na leżącego, odepchnawszy Bernarda i Olszówkę. Obracają zatrzymanego i zakładają mu plastikowe pętla na obie dłonie. Schylonego niemal do ziemi wyprowadzają na zewnątrz.

Ostatni etap realizacji został przeprowadzony skutecznie. Teraz jeszcze tylko wylegitymowanie wszystkich obecnych w celu ustalenia, czy ktoś nie jest współpracownikiem Biskupa i członkiem jego grupy przestępczej. Dwaj kryminalni zostali w środku sami (właściwie w lokalu nadal są inni policjanci, ci z obserwacji - oni jednak nigdy nie ujawniają się aż do zakończenia operacji). Bernard rozgląda się po sali. Widok dziwny, bo w restauracji zapadła przeraźliwa cisza i wszyscy intensywnie wpatrują się... w nakrycia. Nie widać żadnej twarzy, każdy udaje brak zainteresowania sytuacją i unika wzroku

policjantów.

Aspirant Olszówka szepcze do Bernarda:

- Spójrz w lewo. Tam, za filarem, jest trzech bardzo podejrzanych facetów. Cały czas nas obserwują. I wcale się nie chowają.

Rzeczywiście, zza filara co pewien czas zerkają trzy męskie postaci. Jeden kudłaty, ciemne włosy, twarz okrągła, wiek około czterdziestu lat. Wygląda z lewej strony filara. Drugi, trochę młodszy, w wieku około trzydziestu pięciu lat, w dziwacznym białym golfie i założonej na niego ciemnej koszuli, normalnej budowy ciała. Patrzy z prawej strony filara. Trzeci z nich, najmłodszy, chudy jak patyk, siedzi na wprost filara, więc zerka raz z jednej, raz z drugiej strony.

Olszówka dodaje z poczuciem pewności:

- Tego kudłatego to znam, obstawiał agencję na Żoliborzu. Wiesz, co był na nią wjazd miesiąc temu. To na pewno obstawa naszego Biskupa i zgłupieli.

„Nie ma innego wyjścia - myśli komisarz. - Trzeba ich zatrzymać”. Szybko ocenia sytuację: „Kominiarze na zewnątrz oprawiają zatrzymanego, a my jesteśmy tu sami. Co robić?”.

Obaj gliniarze rzucają się niczym wściekłe psy. Aspirant wyciąga kławkę (czyli broń).

- Na podłogę! Natychmiast! - wrzeszczy.

Dwóch szczuplejszych kładzie się bez zastanowienia. Trzeci - ów kudłacz - nie reaguje. Bernard rzuca się na niego i obezwładnia poprzez znane już popchnięcie z krzesłem. Już ma mu skoczyć na klatkę piersiową, gdy... rozpoznaje twarz mężczyzny! To Roman Kosecki „Kosa”, wybitny piłkarz reprezentacji.

- Stop, Olszówka! - krzyczy.

- Co wy wyprawiacie? - charczy piłkarz.

Aspirant chowa broń, a komisarz pomaga się podnieść futboliście. Pozostali nadal leżą. Po chwili bardzo powoli zaczynają wstawać, w obawie, że znów zostaną zaatakowani. Jak się okazuje, to nie obstawa Biskupa. Ten w golfie (jak się okazuje, to koloratka) to kapitan reprezentacji Polski księży. Chudy zaś to dziennikarz sportowy. Kosa po zakończeniu kariery został trenerem polskich kapłanów. Panowie spotkali się z dziennikarzem na rozmowę, bo w sobotę rozgrywają debiutancki mecz z reprezentacją Watykanu.

Kosa, uwolniony i rozluźniony, gratuluje policji przeprowadzonej akcji.

- Ostatnie lata spędziłem w Ameryce i nawet tam nie widziałem nigdy tak dynamicznej operacji policji - oświadcza.

Rozstają się w pokoju, nie roszcząc do siebie pretensji.

Po tak intensywnych działaniach obaj kryminalni powinni wrócić do komendy. Czekają ich przecież sporządzenie odpowiednich notatek. Co prawda Olszówka rwie się do wyjścia, ale Bernard zapowiada, że muszą tu wszystko ogarnąć.

Podchodzi do przerażonej kelnerki.

- Poproszę jeszcze raz to samo. I zbiorczy rachunek na Komendę Stołeczną Policji za te trzy stoliki.

W lokalu nie ma już śladu po akcji. Stolik komisarza stoi nakryty na swoim miejscu. Grzegorz spokojnie się rozsiada, nie zwracając uwagi na zdziwione twarze restauracyjnych bywalców, którzy w ciszy intensywnie wpatrują się w nagle wyluzowanego negocjatora. Olszówka bierze rachunek. Na pożegnanie rzuca pełne obrzydzenia spojrzenie na ślimaki zaserwowane Bernardowi. Akcja zatrzymania niebezpiecznego przestępcy w trakcie dokonania przestępstwa nie pozwoliła mu na skosztowanie wykwinnych owoców morza. Teraz w zupełnej ciszy, na oczach wpatrzonych w niego gapiów jak aktor na scenie rozpoczyna ostatni akt dzisiejszego występu. No cóż, może nie w atmosferze intelektualnej obiadów czwartkowych, jak marzył jeszcze dziś rano, ale chociaż w spokoju delektuje się wykwinnym

specjałem. Nagle czuje jakieś nitki w ustach. „Pewnie ślimaki zaszywają przy nadziewaniu” - myśli. Dyskretnie wyjmując z ust widelcem jedno z włókien. Jest w kolorze czerwonym. Komisarz zerka na wykładzinę i już po chwili, dedukując jak Sherlock Holmes, zna rozwiązanie zagadki. Wpatrzone weń oczy audytorium wymagają jednak dokończenia ostatniego aktu. Nasz twardziel z miną smakosza bierze do ust następnego ślimaka.

Po raz kolejny okazuje się, że komisarz Bernard należy do najtwardszych gliniarzy stołecznej policji.

## Piątek

# NIEURATOWANE MIASTO

**P**iątek to w powszechnym mniemaniu najbardziej pechowy dzień tygodnia. A w kombinacji z liczbą trzynastą doprowadza często do paniki narodowej. Przysłowie mówi: „W piątek zły początek”, a porzekadła ludowe są skarbnicą mądrości narodów. Powinny być drogowskazem dla młodszych pokoleń. Zatem: nic nie zaczynać, tylko kończyć. Rodzi się sprzeczność, bo w piątkowe popołudnie zaczyna się weekend. To co, może też go nie zaczynać?

Godziny w Wyższej Szkole Policji w Szczytnie z perspektywy (już) komisarza Bernarda wyglądają zupełnie inaczej niż parę lat wcześniej z punktu widzenia sierżanta podchorążego. Dziś jest cenionym ekspertem, praktykiem, szefem stołecznych negocjatorów. Pracował przy najgłośniejszych uprowadzeniach w Warszawie. Jest piątek. Dziś kończy cykl zajęć w szkole oficerskiej na kursach doskonalących. Prowadzi wykłady z negocjacji policyjnych dla funkcjonariuszy pionu kryminalnego z całej Polski.

W trakcie zajęć tłumaczy słuchaczom kursu:

- Dlaczego rozmowa policjanta z perfidnym przestępcą w trakcie niebezpiecznego przestępstwa, chociażby porwania, została nazwana negocjacjami policyjnymi? Trudno jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie. Jedna z teorii głosi, że negocjatorów stworzono na potrzeby fabryki snów, czyli Hollywood. Filmowi detektywi różnej maści i charakteru już się znudzili widzom, którzy przestali ich rozróżniać, a potem przychodzić do kina. Młodzież nie miała swojego bohatera, a pokolenie Brudnego Harry'ego, korzystając z trzeciego filaru, leczyło reumatyzm na gorących plażach Florydy. Kłapa branży filmowej wydawała się być przesądzona, ale od czego są scenarzyści? Wymyślili negocjatora. Czyli faceta - to konieczność, by kobiety miały do kogo wzdychać, a mężczyźni na kim się wzorować. Musiał być wysoki, dobrze zbudowany, przystojny oraz inteligentny. Jak wcześniej wszyscy inni filmowi policjanci czy detektywi. W przypadku negocjatora doszła jeszcze elokwencja, ba, erystyka, a to zupełnie *novum*. Nowy produkt filmowy nie różni się jednak zasadniczo od poprzednich: negocjator ostatecznie załatwia sprawę i tak kombinacją ciosów lub serią strzałów. W międzyczasie płyną wartkie dialogi - to ukłon w stronę inteligentniejszego widza. Z rozmów wynika profil przestępcy, czyli osobowość. Wypisz wymaluj taki, jakiego uczą kursantów instruktorzy FBI (oczywiście mam na myśli kurs w wersji eksportowej, na przykład dla polskiej policji). To spowodowało, że zarówno w społeczeństwie, jak i polskiej policji, zwłaszcza jej kierownictwie, utrwalił się stereotyp negocjatora policyjnego jako bardzo sprawnego fizycznie policjanta od rozwiązywania specprobleatów w sposób siłowy, zupełnie pomijając aspekt operacyjny.

W Polsce pierwszy zespół negocjatorów policyjnych - ciągnie wykład komisarz - powołano w 1992 roku. I ulokowano w Wydziale Antyterrorystycznym, co było sytuacją kuriozalną na tle pozostałych struktur policji na świecie. Trudno doszukać się innych motywów takiej decyzji organizacyjnej niż scenariusze filmowe. Może podyktowane to było nadzieją, że kiedyś w Polsce trafi się terrorysta, który będzie chciał negocjować według hollywoodzkiego wzorca. Na razie takowego się nie doczekaliśmy. Ale wciąż jest tak, że negocjator w polskiej policji oznacza osobę upoważnioną przez komendę główną.

Zapytacie, dlaczego słowo „negocjacje” stało się tak popularne. Bo dopisano mu szereg dodatkowych znaczeń, które w rzeczywistości nie wchodzą w zakres tego zagadnienia, przyczyniając się do wręcz magicznego jego rozumienia, jednocześnie przypisując mu moc i możliwości niepotwierdzone przez badania. Przywołajmy słowa profesora Zbigniewa Nęckiego, wybitnego specjalisty od negocjacji klasycznych, który najprecyzyjniej określił negocjacje. - Wykładowca Bernard otwiera książkę i czyta: - Zdefiniował je jako sposób komunikowania się w celu osiągnięcia porozumienia w sytuacji, w której ludzie związani są potrzebami lub interesami, z których jedne są wspólne, a inne przeciwne, oraz w warunkach dobrowolności. Gdzie tu podobieństwo do rozmów policjanta z terrorystą mordującym zakładników? Te dwa procesy nie mają ze sobą wiele wspólnego. Poddajmy się, pozostając przy tym popularnym określeniu, które ma taki świetny PR.

Negocjacje policyjne narodziły się w USA - kontynuuje wykładowca. - Przyczyną była ówczesna sytuacja prawna, a właściwie jej negatywne skutki finansowe. Policjant nie ma tam obowiązku oddania strzału ostrzegawczego czy też wielokrotnego wezwania sprawcy do zachowania zgodnego z prawem. (Co jest zmurą naszych stróżów prawa, prawda?). Iluż mniej kanałii zagrażałoby społeczeństwu, gdybyśmy przyjęli tamtejsze wzorce, bo kandydatów na szeryfów w szeregach naszej policji nie brak. Ichniejszy glina strzela skutecznie, ma obowiązek użycia broni w sytuacji jakiegokolwiek zagrożenia życia własnego lub innych. Ma to jednak minusy. Często jest przypadkowe użycie broni palnej lub jej nadużycie w stosunku do realnego zagrożenia. Pod koniec lat sześćdziesiątych procesy odszkodowawcze spowodowały w USA szereg poważnych perturbacji finansowych w instytucjach policyjnych. Odszkodowań domagały się zarówno ofiary, jak i... sprawcy, tak, tak, sprawcy - za stosowanie rozwiązań siłowych, gdy ucierpieli wskutek działań policji. Zdarzało się, że przestępca składał pozew nawet wówczas, gdy przetrzymywał zakładników, traktując ich jako sposób wydostania się z miejsca otoczonego przez policję. Wtedy zmieniono prawo i wprowadzono instytucję negocjacji policyjnych, których zastosowanie powoduje, że gdy sprawca nie podda się pomimo negocjacji, wówczas możliwe jest użycie wszystkich środków przymusu dostępnych amerykańskiej policji. Należy do nich użycie strzelca wyborowego, czyli strzału sanitarnego, ewentualnie środków chemicznych. Szybko zauważono, że negocjator wpisuje się w taktykę zwalczania niektórych przestępstw i stał się on czynnikiem pracy operacyjnej oraz ważnym elementem taktyki zwalczania aktów terroru.

Czy są pytania? Nie? To lecimy dalej.

Negocjacje policyjne to komunikacja ze sprawcą przestępstwa w trakcie jego trwania, mająca na celu rozwiązanie zgodne z przepisami prawnymi, odstąpienie sprawcy od czynu, ewentualnie zatrzymanie w jego trakcie. Negocjując, można spowodować pożądane zachowanie przestępcy. W przeciwieństwie do negocjacji klasycznych podstawowym celem negocjacji policyjnych nie jest wypracowanie porozumienia, choć nie należy takowego wykluczyć, a uzyskanie jak najkorzystniejszego rozwiązania z punktu widzenia bezpieczeństwa publicznego. Naprawdę bez znaczenia jest, który gliniarz je prowadzi, ważne, by skutecznie - podsumowuje komisarz Grzegorz Bernard.

Na zakończenie długich zajęć omawia zasady nawiązania kontaktu ze sprawcą, podtrzymania relacji oraz własnego bezpieczeństwa. Teraz, wychodząc, ma satysfakcję i poczucie, że fabryka oficerów jednak

kształtuje poziom i charakter swoich absolwentów.

Ze Szczytna wyjeżdża około czternastej, tuż po obiedzie, który zjadł na wielkiej stołówce w koszarach. Droga przez Nidzicę jest spokojna. Daje możliwość wielu przemyśleń natury osobistej. A czas pozwala na precyzyjne zaplanowanie dzisiejszego popołudnia. „Ten weekend jest mój - rozmarza się komisarz. - Mam delegację do poniedziałku, nikt mnie do żadnego gówna nie ściągnie. Około godziny siedemnastej będę już w Warszawie, gdzieś w okolicach Mokotowa. A we wtorek urlop, więc totalny luzik”.

Zgodnie z ustaleniami z byłą żoną Anną ma wziąć na weekend czteroletniego Marka. Przez ostatnie parę weekendów nie udawało mu się spotkać z synkiem. Mareczek jest wyjątkowo niesfornym dzieckiem, ale ojciec sobie z nim świetnie radzi, umilając wspólny pobyt w domu pod Warszawą zabawami. Głównie takimi, za które inspektorzy instytucji publicznych typu centra opieki nad rodzinami z pewnością by go ukarali, a może nawet odebrali mu dziecko. Są to między innymi skoki z wysokości w ramiona ojca i oglądanie telewizji do północy. Syn uwielbia ekstremalne spotkania u taty i zauważalnie doskwiera mu jego brak. Była ma jakieś osobiste plany i bardzo jej pasuje wolna chata w piątek popołudniu. W sobotę planują przyjechać dawno niewidziani dziadkowie z Kieleckiego. Chrześniak Bernarda bierze ślub i będzie duża impreza rodzinna. W trakcie jazdy komisarz kilka razy dzwoni do Marka, który bardzo się cieszy na spotkanie z ojcem i dziadkami. Około godziny szesnastej Bernard przejeżdża most na Wiśle na wysokości Modlina. Auto mknie na swoich maksymalnych osiągnięciach.

\* \* \*

Popołudnie w centrum Warszawy, wieżowiec przy rondzie ONZ. Około godziny szesnastej do pomieszczeń banku wchodzi pięćdziesięcioletni mężczyzna. Jest ubrany stosunkowo grubo. Ma na sobie brązową kurtkę, w ręku aktówka starego typu, taka teczka sprzed lat. Zachowuje się dziwnie, nerwowo lustruje główne pomieszczenie, salę obsługi klientów. Następnie wraca do holu i wchodzi z korytarza do pomieszczenia administracyjnego. Jego zachowanie nie wzbudza żadnej reakcji wśród pracowników i klientów banku. Wszystkie sale są monitorowane, a przed ekranami monitorów zasiadają wyszkoleni i doświadczeni ochroniarze. Petent ponownie wchodzi do pomieszczenia obsługi. Podchodzi do pierwszego stanowiska obsługiwanego przez kobietę i grzecznie mówi:

- Proszę pani, za chwilę w tym pomieszczeniu nastąpi wybuch, bardzo proszę wyjść. Nie chciałbym, aby komukolwiek coś się stało.

Kolejno podchodzi do wszystkich okienek i do każdej kobiety tam pracującej powtarza jak mantrę swoje słowa. Do stanowiska WYPŁATY stoi parosobowa kolejka. Mężczyzna próbuje się przepchać. Spotyka się ze złowrogą reakcją. Czekaący w kolejce nie chcą go dopuścić.

- Pan tu nie stał! To moje miejsce! - krzyczą dwie starsze panie.

- Proszę państwa, ja muszę coś bardzo ważnego powiedzieć! - podnosi głos zamachowiec. - Za chwilę nastąpi tu wybuch. Bardzo proszę natychmiast wyjść! Nie chciałbym, aby komukolwiek coś się stało.

Reakcja ludzi jest natychmiastowa, ale równie dziwna, co pracowników banku: po prostu puszczają delikwenta do okienka. Pewnie wielu z nich niejednego wariata w życiu widziało. Mężczyzna podchodzi do pracownicy i mówi to samo, ale już znacznie ciszej. Kolejkowicze zniecierpliwieni czekają dalej. Mężczyzna ponownie obchodzi wszystkie okienka z tą samą informacją. Niestety brak zainteresowania jego osobą powoduje, że jego ruchy stają się coraz gwałtowniejsze.

No cóż, jesteśmy tak zagonieni, że nawet zamachowiec desperat nie ma lekko. W końcu to nie amerykański film akcji z terrorystą w roli głównej. Polski niedoceniony terrorysta stoi na środku sali i

krzyczy, że się zabije, że wysadzi wszystkich w powietrze, bo w tym banku są oszuści i kanalie. Jest widziany i słyszany przez każdego z obecnych. Nie powoduje to jednak nerwowej reakcji ani panicznej ucieczki, co najwyżej wywołuje lekkie zaciekawienie. On nawet nie przykuwa wzroku, ludzie ostentacyjnie nie patrzą w jego kierunku. (Swoją drogą, w rodzimych realiach chyba tylko pochwały pod adresem banku mogą spowodować panikę klientów, no może ostatecznie wyprzedaż w sklepie naprzeciwko). Pracownicy telefonią wewnętrzną zmuszają dzielną ochronę... do wyjścia ze stanowisk obserwacji elektronicznej. Awanturny klient przeszkadza przecież w płynnej obsłudze petentów zacnego banku w stolicy dużego państwa w środku Europy.

Godzina 16.17. Komisarz Bernard wjeżdża do Łomianek.

Godzina 16.21. Z zaplecza wychodzi dwóch ochroniarzy w służbowych uniformach. W banku zapada cisza, klienci i obsługa z zaciekawianiem, ale dyskretnie obserwują rozwój wypadków. Ochroniarze-podchodzą wściekli, że ich zmuszono do wyjścia z pomieszczenia służbowego. Nikt nie lubi pracować, będąc przez wszystkich obserwowanym niczym na konferencji prasowej. Uzgodnili już między sobą, że to „kolejny wariat, lekko mu się pogrozi, on se wyjdzie, a my se wrócimy na zaplecze”. Stają groźnie na wprost grubego mężczyzny.

- Proszę opuścić bank. Jeżeli pan tego w tej chwili nie zrobi, zostanie pan wyprowadzony.

Desperat nic nie odpowiada, nie krzyczy, nie wymachuje rękoma, tylko rozpiną kurtkę. Widać kamizelkę - pas szahidek wypełniony kostkami chyba trotylu, migają kolorowe diody. Ostatnio telewizja epatowała dokładnym opisem zamachu na widzów w moskiewskim teatrze na Dubrowce. To model pasa znany z małego ekranu. Ochroniarze przekonują się, że to wariat, tyle że prawdziwy, a z takim jeszcze nie mieli do czynienia.

Polscy ochroniarze bankowi przeżyli już wiele ekstremalnych sytuacji. Wielogodzinne spóźnienie pociągu - bo chyba wszyscy ochroniarze banków mieszkają co najmniej sześćdziesiąt kilometrów od miejsca pracy. Gigantyczny tłok na trasie, bizantyjskie obyczaje kadry kierowniczej agencji ochroniarskich. Ciągłą inwigilację przez kierowników placówek bankowych, w których pracują. Licznych wariatów nawiedzających banki, którzy domagają się zmiany systemów płatniczych lub wprowadzenia dolara jako waluty narodowej. Ale facet z kamizelką wypełnioną trotylem? To coś zupełnie innego. To nowość na naszym rynku usług bankowych. Nawet islamscy terroryści samobójcy dotychczas omijali Polskę szerokim łukiem. A ten?

Desperat nie musi już udowadniać, że jest zdolny do czynów zbrodniczych na dużą skalę. Wcześniej robił to mało przekonująco, ale teraz do osłupiałych ochroniarzy mówi dobitnym głosem:

- Za chwilę wypierdolę cały ten budynek w powietrze. Tu pracują tylko złodzieje i oszuści, nikomu nie będzie żal takich kanalii. Nazywam się Jerzy Jarocik. Zostałem okradziony przez ten bank. Wróciłem z Ameryki, a wy oszukaliście mnie na setki tysięcy złotych. Musicie zapłacić za moją krzywdę. Szkoda mi was jednak, uciekajcie.

Ochroniarze zamierają w bezruchu. W lokalu zapada grobowa cisza. Taki ładunek jest w stanie zniszczyć większość wyposażenia banku, a przy okazji zabić wszystkich tu obecnych. W takiej chwili zapomina się o procedurach bezpieczeństwa, a życie własne staje się priorytetem.

Początek swojej desperackiej akcji Jerzy Jarocik miał nieudany, być może dlatego, że dopiero co wrócił ze Stanów Zjednoczonych i nieco zapomniał o naszych realiach. Teraz wreszcie, choć ze znacznym opóźnieniem, udaje mu się realizować kolejne etapy planu.

Pracownicy wyprowadzają klientów. (Należy obiektywnie przyznać, że to mało zdenerwowana grupa osób, choć fakt, że dzisiejszego popołudnia nie uregulują lub nie pobiorą jest dla nich wystarczającym powodem do wkurzania się). Zdecydowanie bardziej wystraszeni są bankowcy. Pośpieszne zamykanie

komputerów i przygotowywanie raportów kasowych to dla nich wyjątkowa dolegliwość. Zdecydowanie najczęściej nerwowości wprowadzają ochroniarze. Z jednej strony wariat, na dodatek prawdziwy, z drugiej strony kamery monitorujące, których zapis na pewno będzie analizowany.

Najspokojniejszy jest sam zamachowiec. Zaprzestaje gwałtownych ruchów i wychodzi z ewakuowanymi klientami. Na korytarzu przed salą obsługi klienta oddziela się od pozostałych i zajmuje wygodną pozycję w pomieszczeniu z kserokopiarką. Siada na krześle, rozpina kurtkę do końca i przez otwarte drzwi próbuje zwrócić uwagę obsługi na swoje problemy. Niestety nikt się nim nie interesuje.

Godzina 16.25. Dyżurny policji odbiera telefon alarmowy. O godzinie 16.39 na miejscu zjawia się dwóch patrolowców, funkcjonariuszy wydziału prewencji Komendy Rejonowej Warszawa-Wola.

Komisarz Bernard ze znacznym zdenerwowaniem spogląda na zegarek. Jest 16.40. Czynność tę wykonuje coraz częściej, mimo że przesuwające się wskazówki zegarka tylko wyprowadzają go z równowagi. Muzyka z radia zamiast uspokajać kierowcę też robi się coraz bardziej irytująca. Komisarz przebija się przez zatłoczone już ulice Żoliborza, wie, że spóźnienie przy odebraniu dziecka oznacza poważną awanturę. Jego była żona potrafiła już nieraz zrobić karczemną aferę na poziomie siedmiu stopni w skali Richtera. Natężenie ruchu zapowiada jednak ewidentną obsuwę czasową. Starając się wybić byłej żonie argumenty z ręki, dzwoni do eks i prosi syna. Tłumaczy mu, że jest już blisko.

Godzina 16.44. Jerzy Jarocik siedzi w pomieszczeniu gospodarczym oparty o kolosalnej wielkości kserokopiarkę, nieco zabarykadowany. Przesunął wąski stół na wprost otworu drzwi. W korytarzu stoją policjanci. Widok mundurowych wyraźnie cieszy pana Jerzego. Wreszcie ktoś go słucha!

- Panowie policjanci, ciężko zarobione dolary zainwestowałem w giełdę przez biuro maklerskie tego banku. Wszystkie pieniądze im dałem, a oni mnie oszukali. Pisałem do nadzoru giełdowego, do prokuratury, i nic. No to teraz ich załatwię! - mówi rozżalonym głosem.

Opowiada dokładnie i precyzyjnie, pokazując na teczkę, starając się przekonać funkcjonariuszy. Nie robi to na nich większego wrażenia, bo po paru minutach jeden z nich pyta:

- Ale niech pan powie, co policja ma do tego?

Pan Jerzy uznaje, że jest to najlepszy moment do postawienia żądań.

- Chcę, aby pan Ryszard Cebula z programu *Uwaga* przeprowadził ze mną wywiad, który będzie transmitowany na żywo w telewizji. Później ma tu przyjechać prokurator, który pokwituje odbiór dokumentów i rozpocznie postępowanie karne przeciwko złodziejom i bandytom z tego banku.

Zamachowiec należy do targetu wierzącego w siłę sprawczą mediów wobec problemów małuczki. Zażądanie prokuratora świadczy o silnym przekonaniu o mocy warszawskich urzędów. Policjanci patrzą ze zdziwieniem to na siebie, to znów na desperata. Wreszcie jeden zwraca się do niego z wyrzutem w głosie:

- To co, będziesz pan tak siedział i siedział w tym ksero nie wiadomo do kiedy? Przez pana banku nie zamkną i kobiety do dzieci nie będą mogły iść.

Pan Jerzy rozumie, że w doskonale przygotowanym planie zbrodniczego sprowadzenia powszechnego niebezpieczeństwa z użyciem materiałów wybuchowych najważniejsza jest prawidłowa komunikacja. Wstaje i zdejmuje kurtkę. Demonstruje w całej okazałości pas szahidek wypełniony kostkami, z migającymi kolorowymi diodami. Taki, jak pokazywano telewidzom na „szkoleniach” dotyczących zamachu terrorystycznego, który miał miejsce w teatrze na Dubrowce w Moskwie. Wdowy po bojownikach czeczeńskich założyły wówczas takie kamizelki. Gdy pan Jerzy siedział, pasa nie było widać. Policjanci są zdziwieni, bo zgłoszenie dotyczyło „jakiegoś wariata w banku, co chce się zabić”. Nikt nie wspomniał, że jada do zdarzenia z użyciem materiałów wybuchowych. Spoglądają na siebie, a jeden z nich, starszy sierżant Klepacki, dysponuje:



- Proszę pana, mój kolega wyjdzie z pomieszczenia, ale ja zostanę z panem. Wszystko pan mi opowie jeszcze raz, a mój kolega powiadomi, kogo pan chce, o pana problemach. My tu jesteśmy dla pana, żeby pomóc rozwiązać wszystkie problemy.

Jerzy ruchem głowy wyraża zgodę. Policjant wychodzi z sali i za pomocą radia służbowego o godzinie 16.45 powiadamia o skali i przebiegu zdarzenia. Zaczyna się. Radiowozy drogówki blokują natychmiast ruch we wszystkich kierunkach od ronda ONZ. Policjanci patrolujący Dworzec Centralny otaczają budynek wieżowca i tworzą strefy. Pierwsze przybyłe na miejsce jednostki rozpoczynają ewakuację setek osób znajdujących się na różnych kondygnacjach budynku. Służby policji stołecznej działają jak sprawny mechanizm zapadkowy. Już kwadrans później teren wkoło budynku jest przygotowany na działania bojowe. Rozpoczyna się prawdziwa operacja policyjna. Dziesiątki funkcjonariuszy swoim zachowaniem sugeruje, że dzieje się coś ważnego. Stają namioty sztabowe. Na miejsce przyjeżdża kilkanaście jednostek straży pożarnej oraz karetok pogotowia. Rozstawiony zostaje szpital polowy. Okoliczności powodują naturalne zainteresowanie ludzi, tłumy gapiów otaczają miejsce zdarzenia.

Godzina 17.02. Starszy sierżant Klepacki jest po szkoleniu prowadzonym przez komisarza Bernarda, spokojnie i standardowo rozpoczął negocjacje. Nawiązał właściwe relacje z desperatem od zapewnienia, że jest tu dla niego. Pan Jerzy kontynuuje pozbawionym emocji głosem:

- Jestem bez środków do życia, te kanalie mnie zniszczyły, wymiar sprawiedliwości nie jest zainteresowany sprawiedliwością. Nie mam wyjścia, zabiję się... Wtedy wszyscy się dowiedzą o mojej krzywdzie. Jestem elektrykiem, znam się na elektronice, zrobiłem pas samobójców i zamierzam go użyć. Przyjechałem z Bydgoszczy, w stolicy muszą zareagować na moją krzywdę. Muszą mi pomóc.

Sierżant słucha ze zrozumieniem, obserwując czujnie zachowanie oraz kamizelkę desperata.

Godzina 17.13. Na zewnątrz tłum gęstnieje, są już media. Jeszcze nie wiadomo, co się dokładnie dzieje. Osoby ewakuowane z budynku są w namiocie policyjnym, ale intensywnie informują przez telefon znajomych: samobójca w banku będzie wysadzał budynek.

Komisarz Bernard przejeżdża ulicą Marszałkowską na wysokości skrzyżowania ze Świętokrzyską. A raczej stoi w całkowitym bezruchu już z piętnaście minut. W samochodach dookoła widzi takich samych wkurzonych ludzi. Myśli: „W tym tempie na Mokotów dojadę najwcześniej na szóstą. Już widzę, jak dzwoni telefon od byłej i słyszę jej podniesiony głos: »Jest już 17.17, nie masz zegarka? Mamuśka cię nie nauczyła posługiwania się zegarkiem?! Czekam do wpół do szóstej, to jest twoja ostatnia szansa. Jak nie zdążysz, nie dam ci Marka«”. Nieczęsto mu się udaje w trakcie rozmów z byłą wtrącić choćby słowo, zazwyczaj jest to tyrada mniej lub bardziej słusznych uwag wypowiedzianych przez zęby. Żal tylko dziecka, które staje się kartą przetargową pomiędzy walczącymi byłymi małżonkami.

Godzina 17.20. Starszy sierżant Klepacki kontynuuje negocjacje. Za zgodą desperata zasiadł na krześle naprzeciwko otwartych drzwi pomieszczenia. Jerzy opowiada, jego głos momentami bardzo drży.

- Panie sierżancie, przywiozłem z tej Ameryki jakieś dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów. Takie pieniądze zarobiłem. Dachy kryłem. Naskakałem się po rusztowaniach. Syn szwagra z pierwszego małżeństwa podpowiedział mi, że w Polsce najlepiej teraz to jest grać na giełdzie, tej, co kupuje się akcje. Ja jestem ostrożny, więc poszedłem do największego państwowego banku w mieście. Podpisałem umowę. Oj, jaki fajny bankowiec mi się trafił. On mi mówił, że jest maklerem i będzie moimi pieniędzmi obracał. Że też mu zaufałem, słabo mi się robi...

Funkcjonariusz nie musi w jakiś szczególny sposób zachęcać desperata do wypowiedzi. Pan Jerzy mówi, mówi i coraz bardziej przeżywa to, co go w życiu spotkało.

- Zacząłem zarabiać na tej giełdzie dobrze. Ja mu dawałem zlecenia, on kupował, a na koncie rosło. Niestety podatki, podatki, bo jak jest taki duży obrót, to cię skarbowka kasuje. Ten mój bankowiec

zapropował mi, żebym nowe konto giełdowe założył. Na jego teściową. To tacy godni zaufania ludzie, no to założyłem. Przełałem połowę pieniędzy i miałem grać z dwóch kont. I, kurwa, ten oszust przestał mnie teraz poznawać! I nie chciał mi oddać pieniędzy. Z banku oddali mi z jednego konta, a z drugiego nie. Ja mam wszystkie dowody, dokumenty. Jak powiem w telewizji i jak przyjdzie prokurator, to oni mi oddadzą.

Godzina 17.25. Pod wieżowcem są już jednostki specjalne policji przygotowane do walki z każdym terrorystą. Snajperzy rozstawiają się na sąsiednich budynkach, wypatrują lunetami desperata, może podejście w pole widzenia. Są też pirotechnicy z urządzeniami do rozpoznawania materiałów wybuchowych z aparaturą rentgenowską i przyczepą do przewożenia ładunków. Negocjatorzy z Komendy Głównej Policji przygotowani są, by w każdej chwili przejąć rozpoczęte negocjacje. Wszyscy policjanci są gotowi na każdą ewentualność. A głównie na walkę z rodzimym terrorystą.

Godzina 17.30. Media już robią transmisje na żywo. Dziennikarze sprawnie wyluskują świadków naocznych oraz tych, co rzekomo widzieli i słyszeli całe zajście. Na wszystkich kanałach pojawia się pasek informacyjny: „Za chwilę człowiek wysadzi się w powietrze i zostanie pogrzebany przez biurowiec. Nad miastem wisi widmo zniszczenia”.

Na początku operacją sprawnie kieruje komendant Czesławski z komisariatu na Żytniej, który niczym jastrząb zjawił się na miejscu błyskawicznie. To może być jego dzień, ponieważ zamach terrorysty-samobójcy nie jest w Warszawie powszechnie występującym aktem terroru. Dzielny i ambitny komendant może na tym zdarzeniu wysoko popłynąć. Albo zostać spuszczonej na niskie poziomy struktury policyjnej. Wie o tym. Zostaje jednak przygwożdżony kolejnymi przyjeżdżającymi przełożonymi, chcącymi w blasku fleszy ogrzać się ewentualnym sukcesem policji. Prognozy są świetne: jeżeli desperat zostanie odwiedziony od dokonania eksplozji, to będzie wielki sukces. Jeżeli jednak wysadzi się w powietrze - to też sukces. Policja ewakuowała przecież ludzi.

Jest godzina 17.35. Bernard dojechał załedwie do placu Konstytucji. Wie, że jego była jest wojownikiem, ale ponieważ chce mieć wolny wieczór, odda mu syna mimo wcześniejszych gróźb. Ślimaczym tempem jedzie dalej, nerwowo szukając radia mówionego, a nie grającego. Może coś powiedzą, co się dzieje, czym spowodowane są takie korki. Nie ma nastroju, wie, że czeka go kłótnia i to ostra. Dzwoni telefon. To numer naczelnika.

- Benek, gdzie jesteś? Widzisz, kurwa, co się dzieje na mieście. No, jesteś tam?

Bernard ma ochotę odpowiedzieć, że jest sto kilometrów przed Warszawą, ale radio w tym momencie podaje: „Za chwilę człowiek wysadzi się w powietrze i zostanie pogrzebany przez biurowiec. Nad miastem wisi widmo zniszczenia”.

- Jestem, jestem. W tej chwili Marszałkowska róg Rakowieckiej, robię nawrotkę. Będę za kilkadziesiąt minut. Niech wpuszczą mojego srebrnego szerszenia.

Naczelnik Kuba, szef Wydziału do Walki z Tęrorem Kryminalnym, jest poza Warszawą. Też ma świadomość wyjątkowości sprawy, która należy do jego kompetencji służbowych. Wysła jak najwięcej funkcjonariuszy swojego wydziału. Wie, że takie wydarzenie ściągnie kierownictwo różnych biur komendy głównej, którzy swoją obecnością są w stanie zdeorganizować znacznie prostsze akcje kryminalne niż akt terroru ze sprawcą.

Godzina 17.40. W namiocie sztabowym pojawia się zastępca komendanta stołecznego, akurat w super kondycji. Nie rokuje to dobrze, bo może odebrać dowodzenie Czesławskiemu. Jest i prokurator, który towarzysko przebywał właśnie w komendzie. Kolejno zjawiają się szef Biura Operacji Antyterrorystycznych i szef Wydziału Zwalczenia Terroryzmu Centralnego Biura Śledczego. Przyjeżdżają i pomniejsi dyrektorzy oraz naczelnicy. Przybywa również zastępca komendanta głównego, najwyższy rangą, świeżo

awansowany z Bydgoszczy na salony Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Ten zachowuje się jak cień, co chwilę powtarza: „Mnie tu nie ma, proszę nie zwracać na mnie uwagi” i pęta się wszędzie. Na wypadek, gdyby jednak wystąpiło zjawisko kłęski policji, jest też scenariusz B - to komendant Czesławski dowodził. Od tego momentu zmienność decyzji świadczy o ciągłości dowodzenia. Mechanizm znany i bardzo popularny we wszystkich służbach mundurowych.

O godzinie 17.53 na otoczony teren wkracza komisarz Bernard. Widząc ogromne zainteresowanie mediów, nakłada małe druciane okulary, zerówki. Nosi je dla zmiany wizerunku, aby jten medialny był inny niż realny. Parę tygodni temu za zgodą przełożonych udzielił pierwszego wywiadu dla „Super Expressu”. Został sfotografowany na potrzeby gazety z rozpostartymi rękoma. W tym momencie dzwoni do niego dziennikarz, z którym wówczas rozmawiał, Krzysztof Mich:

- Co się tam naprawdę dzieje? - pyta Bernarda.
- Nie wiem, właśnie przyjechałem, ale widzę tu tłumy naczelników i dyrektorów - odpowiada zapytany.

I kończy rozmowę.

Godzina 18.15. Desperat Jerzy zaczyna intensywnie domagać się rozmowy z redaktorem. Włącza telewizor, który jest w pomieszczeniu, i widzi wszystko, co się dzieje dookoła. Wie, że na miejscu jest jego ulubiony redaktor i komentuje przebieg akcji na bieżąco. Telewizje nadają na żywo, a Polska z zapartym tchem ogląda wieżowiec, który za chwilę ma wylecieć w powietrze. Ryszard Cebula, targany ludzkim odruchem niesienia bliźniemu pomocy (oraz potrzebą zwiększenia oglądalności), chce przed kamerą rozmawiać z desperatem. Jako warunek przedwstępny redaktor Cebula wygłasza przed kamerami swojej stacji apel do zdesperowanego człowieka. Prosi o rozsądne zachowanie i deklaruje wsparcie swoim autorytetem jego działań, pod warunkiem, że będą zgodne z polskim prawem. Pan Jerzy wystąpienie ogląda z radością i domaga się spełnienia kolejnych warunków.

Godzina 18.45. Negocjatorzy z komendy głównej, ci najważniejsi i upoważnieni stosownymi przepisami, próbują włączyć się do negocjacji z Jerzym. Ten jednak preferuje dotychczasowego adwersarza, nie wiedząc, że powinien rozmawiać właśnie z upoważnionymi. Dzięki umiejętnościom i doświadczeniu zawodowemu negocjującego z nim sierżanta, Jerzy zgadza się na obniżenie żądań. Już nie redaktor Cebula, tylko zwykły kamerzysta ma przyjść do niego, a on opowie o nieuczciwych ludziach z tego banku, którzy go oszukali.

Godzina 19.15. W końcu wpycha się negocjator upoważniony, przedstawiciel komendy głównej. Ale starszy sierżant wciąż siedzi naprzeciw desperata i podtrzymuje rozmowę. Negocjator negocjuje. Wygłoszenie własnego orędzia przez desperata - tak, ale podawanie nazwy banku - już nie, bo telewizja nie zgodzi się na przekaz. W końcu to reklamodawcy decydują o istnieniu podmiotów medialnych. Już po kilku minutach z kamerą przybywa policyjny pirotechnik, który sprawnie przeprowadza transmisję na żywo. Można odnieść wrażenie, że to chyba zmarnowany talent operatorski.

Godzina 20.20. Desperat wygłasza krótkie, rzeczowe przemówienie, w którym ostrzega Polaków, że nie wolno wierzyć bankom. Operator pirotechnik przeprowadza w międzyczasie badanie składu powietrza w pomieszczeniu. Urządzenia pomiarowe są w miarę podobne do kamer, więc nie wzbudzają podejrzeń desperata, który sądzi, że filmuje go kilka urządzeń.

Godzina 20.55. W namiocie sztabowym następuje wypracowanie podjęcia najważniejszej decyzji w tym dniu. W rozmowie uczestniczą wszyscy ważni. Mniej ważni, tacy jak komisarz Bernard, są niemymi świadkami. Policja stoi przed dylematem. Czy spełniamy kolejne żądanie desperata - rozmowę z prokuratorem - czy wchodzą „szturmani” i walczą, dokonują zatrzymania i może strzelają do człowieka, zanim uruchomi instalacje na sobie. Badania składu powietrza pokazują, że zamachowiec faktycznie może

posiadać materiał wybuchowy. Sytuacja robi się poważna. Nie brak stwierdzeń, że podobny skład powietrza jest powodowany obecnością w pomieszczeniu ksero starego typu. Przybyły na czas rozmów negocjator upoważniony informuje, że desperat jest zdeterminowany i coraz intensywniej domaga się spełnienia żądań. Zostaje podjęta decyzja: robimy, co chce, i żądamy, by oddał kamizelkę, rozebrał się do naga i poddał procedurze kontroli, a następnie zatrzymania. Trudno orzec, kto w namiocie dowodzenia wypowiada właśnie te słowa. Ważne, że zaczyna się je realizować.

Godzina 21.05. Prokurator, człek odważny, czeka gotowy do rozmów od dłuższego czasu. Jest przygotowywany przez komisarza Bernarda, który tłumaczy mu zasady nawiązania kontaktu, podtrzymywania relacji oraz własnego bezpieczeństwa. Prokurator o godzinie 21.10 udaje się do zagrożonego budynku. Pokazuje desperatowi aktualną legitymację i nawiązuje rozmowę, w trakcie której obywatel Jerzy Jarosik przedstawia po raz kolejny swoją gehennę na drodze do sprawiedliwości. Zbywanie jego osoby przez policję, prokuraturę i sądy. Dowody w postaci przelewów na konta, wysłane maile do oszusta maklera, również maile od niego. Zebrany materiał potwierdza podaną wcześniej przez zamachowca wersję wydarzeń oraz bezczynność organów ścigania. Nawet nie zainteresowano się jego dowodami! Zbywano go zawsze i wszędzie. Prokurator na miejscu przy desperacie dokładnie zapoznaje się z materiałami. Kwituje ich odbiór.

Godzina 21.45. Mężczyzna się poddaje. Zostaje spętany i wyniesiony przy oklaskach tłumu. Jego triumf zauważa niewielu.

Godzina 21.55. Telewizja uznaje, że Jerzy miał moralną rację. Prokuratorzy (ci nieodważni) nie przykładali się do pracy, był notorycznie oszukiwany i zbywany. Jego determinacja, precyzyjny plan (i świetna podróbka pasa szahidek) zostały nagrodzone. W końcu sprawiedliwość zatriumfowała. (Później Jerzy Jarosik stanie się na chwilę celebrytą, brylując w telewizjach śniadaniowych).

Komisarz Bernard uważa, że w tej zbiorowej decyzji o spełnieniu żądań zanikł zdrowy rozsądek. Cel rzeczywistych działań desperata Jerzego nie powinien od początku budzić wątpliwości. On kocha wszystkich i jest fajnym facetem, nie chce nikogo zabić, a już na pewno nie siebie. Jemu zależy tylko na rozgłosie, na przekazaniu w świetle kamer swojej sprawy i jej pomyślnym rozwiązaniu. Powinien być w tym momencie unieszkodliwiony. Są na to sposoby, chociażby strzał z siatki obezwładniającej, postrzelenie w nogę.

Bernard podchodzi do obu stojących komendantów i tłumaczy, wykazując się zdolnością do myślenia perspektywicznego.

- To jest jednoznaczny przekaz dla polskiego społeczeństwa, że jeżeli odstawisz dobry numer w stolicy, to twoje sprawy zostaną załatwione, nikt nie odważy ci się przeciwstawić. Pokazaliśmy, że policja nie ma jaj, bo nie jest w stanie powstrzymać działań desperata. Ostrzegam, że dziesiątki mu podobnych będzie teraz oczekiwało spełnienia swoich żądań, często słusznych. Stołeczni gliniarze dostaną końską dawkę nowej roboty.

Na twarzach przełożonych gasną uśmiechy i zapada cisza. Przecież minister im już gratulował...

- Ale jest wyjście z tej sytuacji - spieszy z deklaracją Bernard.

- Jakie, komisarzu? - odzywa się któryś z przełożonych. - Dawaj szybko!

- Proszę, aby choć rzecznik przekazał mediom, że żądań zamachowca nie spełniono i że został brutalnie zatrzymany.

Pesymistyczne uwagi komisarza trafiają w końcu do rozentuzjasmowanych szefów cieszących się z zakończenia sprawy. Zastępca stołeczny rzuca krótko:

- Idziesz ze mną na konferencję. Tylko uważaj, komisarzu, żebyś mi nie palnął jakiejś głupoty.

Godzina 22.30. Policja na konferencji prasowej zorganizowanej przed „ocalonym budynkiem” ogłasza

zwycięstwo. Koniec bezprawia przy rondzie ONZ i wielki sukces policji oraz udane negocjacje. Rzecznik podkreśla rozmiar policyjnego zaangażowania oraz mnogości służb nawzajem ze sobą współpracujących. Mówi o trudzie policyjnej roboty oraz o niebezpieczeństwie, w jakim była stolica. Komendant spokojnym tonem oświadcza - policja jest przygotowana na wszystkie zagrożenia, a teraz mieszkańcy spokojnie mogą wrócić do swoich mieszkań.

Komisarz Bernard jako negocjator stołeczny stoi obok komendanta w czarnej czapce nałożonej niemal na oczy. Nie wypowiada ani jednego słowa.

(Policyjne raporty z przebiegu zdarzenia będą potem różnić się od rzeczywistości, ale również od postępowania prokuratorskiego prowadzonego w tej sprawie. Ale to akurat drobny aspekt bez znaczenia przy rozmiarze bezgranicznego sukcesu).

Godzina 22.50. Komisarz Bernard czyta SMS-a. Zmroziło go tak, że czuje zimny dreszcz na plecach. Nie zadzwonił i nie porozmawiał z dzieckiem! Nawet nie przyszło mu do głowy, że czteroletni Marek czeka na niego. Zapomniał! Treść wiadomości tekstowej w dosadny sposób, ale w sensie ogólnym potwierdza, że decyzja życiowa byłej żony jest słuszna.

\* \* \*

Następnego dnia, w sobotę, komisarz koło południa ledwo gramoli się z łóżka. Po rozwodzie znów jest kawalerem z odzysku. Zmęczony przypomina sobie, że dziś ma bardzo ważną imprezę, wesele chrześniaka. Komu jak komu, ale chrzestnemu wypada wyglądać przystojnie, w klasyfikacji gości jest co najmniej za najbliższą rodziną panny młodej. Spogląda w lustro. Niewyspana, zmęczona i nieogolona twarz nie byłaby atrakcją wesela. „Cała rodzina się zjeżdża, a ja wyglądam jak dzik ze swoją siwiejącą szczeciną na twarzy” - myśli. Nie ma nawet maszynki do golenia. Wyskakuje więc do kiosku po jednorazówkę. Najbliższy jest zamknięty, więc wsiada w samochód w poszukiwaniu czynnego. Parokrotnie próbuje dodzwonić się do byłej żony, czy może wziąć syna Marka. Połączenie jest zawsze odrzucane. Nagle dzwoni telefon. Grzegorz zerka na numer. To kierownik sekcji negocjatorów z komendy głównej, który już wcześniej próbował się dodzwonić. Komisarz naciska zielony przycisk i słyszy krzyk:

- Kurwa! Co ty odpiardoliłeś? My się napracowaliśmy, a ty swoją gębę wpierniczyłeś do gazety. A teraz nie odbierasz i nie odbierasz! Co cię pojebało? Tylko ci się wydaje, że nam ukradłeś sukces, jeszcze zobaczysz, kto jest górą. Leserze, od dziś się nie znamy.

Zaskoczony tyradą Grzegorz usiłuje przerwać:

- Ale o co chodzi? Co ja wam...

Koniec rozmowy.

Próbuje oddzwonić, ale sygnał w telefonie kolegi świadczy o wyłączeniu aparatu. „Co ja im zrobiłem? Jaka kradzież sukcesu? Przecież nie ja negocjowałem. Pewnie znów jakieś awersje na linii komenda główna a stołeczna. Pewnie za parę dni im przejdzie... Ci z głównej zawsze mają o sobie wysokie mniemanie, jakby byli pępkiem świata” - myśli.

Kupując maszynkę, zerka na popularny tabloid. Na pierwszej stronie krzyczy tytuł: TO ON URATOWAŁ MIASTO. Obok niewyraźne zdjęcie gościa z rozpostartymi rękoma. „Żeby o tym wydarzeniu tak pisać? - dziwi się komisarz. - Że niby jak desperat został zatrzymany przez policję i się nie wysadził, to od razu uratował miasto? Robić z niego medialnego bohatera? Też coś”.

Jeszcze raz spogląda na zdjęcie... To nie ten desperat! Facet przypomina mu krzyżówkę Edwarda Gierka z Andrzejem Lepperem w małych drucianych okularkach. Patrzy dłużej, jeszcze chwila...

- O żesz kurwa!

Wydaje mu się, że to krzyknął. A może i krzyknął.

- Jeszcze coś pan bierze, bo inni stoją za panem? - studzi kioskarka.
- Poproszę wszystkie „Super Expressy”, jakie pani ma - dyszy Bernard.

Stojący za nim emeryci chóralnie się obruszają:

- No co pan? Wszystkie pan weźmie, a my co? Proszę mu nie sprzedawać wszystkich, proszę pani - krzyczą błagalnym tonem.

- No dobrze, to dwa egzemplarze proszę.

Zdegustowana kioskarka odpowiada:

- Tylko jeden i do widzenia panu.

Na fotografii jest on - komisarz Bernard, w drucianych okularach i z rozpostartymi ramionami niczym towarzysz Edward Gierek, kiedy pytał Polaków: „Pomożecie?”. Albo jak uzdrowiciel czyniący cuda.

Twarz Grzegorza Bernarda jest rzeczywiście podobna do oblicza Andrzeja Leppera. Rozumie, że wygląd taki uzyskał ze względu na ingerencję grafika, który jego starą fotografię musiał dostosować do wstrząsającego tytułu umieszczonego nad rozpostartymi rękoma: TO ON URATOWAŁ MIASTO.

Artykuł napisał Krzysztof Mich. Ten sam, który dzwonił do niego w trakcie zdarzenia. I o Bernardzie jest tu tylko jedno zdanie: „O godzinie 17.53 na miejsce zdarzenia przybył komisarz Grzegorz Bernard”.

Nie uratował miasta, nawet nie udało mu się wpłynąć na przebieg operacji, a chwilowa sława zaowocowała nieskrywaną furią negocjatorów z komendy głównej. Nie pomogły tłumaczenia. Na poprawę relacji nie wpłynę nawet oficjalne sprostowanie wysłane później do gazety, w którym będzie jedno zdanie: „Komisarz Grzegorz Bernard nie prowadził negocjacji”.

## Sobota

# JAKI KRAJ, TACY TERRORYŚCI

**S**obota w przekonaniu większości polskiego społeczeństwa jest najlepszym dniem tygodnia. Dlaczego?

Bo to dzień wolny od pracy, podobnie jak niedziela, lecz soboty dodatkowo nie obejmują żadne nakazy religijne. Nie brak jest osób uważających, że sobota posiada największy przymiot, jaki powinien mieć każdy dzień tygodnia: to możliwość imprezowania do granic wytrzymałości, bo następnego dnia znów jest wolne i można zregenerować nadwątlone siły. Sobota może być nieudana tylko wówczas, gdy planowana impreza nie dochodzi do skutku. Wtedy czeka się na kolejną sobotę. Na najlepszy dzień tygodnia.

Właśnie w sobotę, bardzo zimnym początkiem kwietnia 2002 roku komisarz Grzegorz Bernard udaje się na dyżur. Niedawno zmieniono mu system pracy. Obecnie ma co drugi dzień dwunastogodzinne służby, nazywane dyżurami. Jest funkcjonariuszem Biura Operacji Antyterrorystycznych Komendy Głównej Policji. Pracuje w sekcji negocjatorów policyjnych. Dla wielu policjantów jest to wymarzone miejsce pełnienia służby. Obiekt uniesień. Być policyjnym komandosem to marzenie chyba każdego młodego człowieka interesującego się bezpieczeństwem.

Tego poranka komisarz, wychodząc z domu, myśli raczej o wieczornej imprezie w doborowym towarzystwie niż o czekających go na służbie zadaniach. Dyżur ma się zakończyć o dwudziestej, po nim szybko wyjeżdża do szwagrowskiego, jak nazywa brata żony, na podwarszawską wieś. Zabawa zaplanowana jest od dziewiętnastej, ale drobne spóźnienie jest w pełni akceptowalne towarzysko. Zanim wszyscy się dobrze rozkręcą, Bernard zdąży dotrzeć na miejsce. Popularny system karniaków spowoduje, że błyskawicznie dogoni biesiadujące towarzystwo. Plan dzisiejszej służby jest następujący: przetrwać w spokoju, czyli bez żadnych policyjnych wydarzeń, następnie jak najszybciej dotrzeć na imprezę. Plany oparte są na doświadczeniach ostatnich kilkunastu tygodni, gdyż Biuro Operacji Antyterrorystycznych nie wykonało dotąd żadnej czynności. Komandosi policyjni przez wiele lat, właściwie od początku swojego istnienia, byli zorganizowani w strukturę noszącą nazwę Samodzielny Pododdział Antyterrorystyczny Komendy Stołecznej Policji. Samodzielni byli jednak tylko z nazwy: traktowano ich jako uzupełnienie działań innych służb policyjnych. Dokonywali zatrzymań niebezpiecznych przestępców, ale zawsze na zlecenie i pod kuratelą gliniarzy kryminalnych. Uczestniczyli też w akcjach legitymowania osób ze środowiska przestępczości zorganizowanej w ramach kontroli drogowej - ale pod kuratelą tych z drogowki. Byli potrzebni wszystkim, ale nie byli najważniejsi. Prowadzenie działań jako element uzupełniający taktykę innych służb nie spełniało oczekiwań najbardziej ambitnych funkcjonariuszy kadry kierowniczej antyterrorystów. Zwykli, czyli niefunkcyjni policjanci komandosi, powszechnie zwani ateciakami (od nazwy antyterrorysty, rzecz jasna), intensywnie trenowali strzelanie, zdobywanie obiektów, czyli wszystkie te męskie czynności, ale brakowało im dwóch rzeczy: wypłynięcia na szerokie wody i uznania. Byli samodzielnym pododdziałem, ale nie wykonywali samodzielnych akcji. Od końca 2002 roku wszystko zaczęło się zmieniać na korzyść polskich komandosów policyjnych.

Na fali międzynarodowej walki z terroryzmem, po zamachu z 11 września 2001 roku, z inicjatywy Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej nastąpiły poważne zmiany systemowe i organizacyjne w krajach sojuszniczych. Polska jako oddany i zaangażowany aliant czynnie włączyła się w działania operacyjne i militarne w ramach Międzynarodowej Koalicji Antyterrorystycznej. 7 października 2001 roku przez Sojusz Północnoatlantycki została przeprowadzona operacja militarna na terytorium Afganistanu. Działania te były skierowane przeciwko rządowi, który wspierał międzynarodowy terroryzm. Przynajmniej tak głosił oficjalny przekaz. Po błyskawicznym zwycięstwie nad Kabulem rozpoczęła się misja stabilizacyjna (czyli okupacja). Od 16 marca 2002 roku uczestniczyła w niej pierwsza grupa około stu polskich żołnierzy, logistyków, saperów i komandosów. Polskie zaangażowanie w działania antyterrorystyczne poza granicami kraju było znaczące i zauważalne przez inne państwa. Kraj stał się pełnoprawnym uczestnikiem polityki międzynarodowej, choć tylko jako oddany sojusznik USA.

Kolejnym etapem uczestnictwa państwa polskiego w zwalczaniu terroryzmu międzynarodowego było dostosowywanie struktur wewnętrznych do czyhającego zagrożenia. Sprawność administracyjna naszego kraju na własnym terytorium nie jest najlepsza. Modyfikacje przepisów czy kierunków działań instytucji wymagały zmian ustawowych. Wiadomo, że powstają w Sejmie, więc proces ich tworzenia jest zawsze mozolny i długotrwały. Aby spełnić oczekiwania sojuszników i pokazać, że posiadamy mocne i sprawne struktury, które dadzą czynny odpór potencjalnemu niebezpieczeństwu, zdecydowano się na reorganizację policji. Jakość wszelkich dotychczasowych reform policji była wątpliwa. Jednak tak zwane szybkie ruchy, czyli reorganizację, zazwyczaj udawało się skutecznie przeprowadzić. Reorganizacja to w miarę prosty zabieg polegający na wydaniu paru poleceń służbowych, zmianie podległości organizacyjnej i dużej liczbie zmian kadrowych. Warszawski pododdział antyterrorystyczny został więc przemianowany na Biuro Operacji Antyterrorystycznych. Zmieniono nazwę, emblematy i sporządzono ozdobne naszywki. Nazwa w skrócie była łatwa do zapamiętania i bardzo groźnie brzmiała. Nikt nie zwrócił uwagi na błędne

nazewnictwo. Komandosi zwalczają terrorystów - ale takie działania nazywają się kontrterroryzmem. Jest to fizyczne reagowanie na akty terrorystyczne, unieszkodliwianie improwizowanych ładunków wybuchowych lub uwalnianie zakładników. Pojęcie „antyterroryzm” zarezerwowane jest dla kompleksowych działań: prawnych, administracyjnych i operacyjnych.

Jednostkę organizacyjnie przeniesiono do Komendy Głównej Policji i jej też podlegali policjanci, którzy przestali być automatycznie funkcjonariuszami stołecznej. Reorganizację przeprowadzono w blasku mediów, co spowodowało, że społeczeństwo natychmiast zyskało poczucie bezpieczeństwa. A policyjni notable dostali piętne nagrody i wskoczyli do wyższych grup zaszeregowania finansowego. Ponadto dokonano czegoś, co w policji jest niezmiernie ważne: wprowadzono lepiej brzmiące nazewnictwo stanowisk. Naczelnik stał się dyrektorem biura, a kierowników przemianowano na naczelników - to również musiało podnieść morale komandosów w przyszłej walce z terroryzmem.

Wszystko pozostało zatem na swoim miejscu: ci sami komandosi w ośrodku szkolno-treningowym na Szczytlicach i kompetencje całkowicie bez zmian. Jedyna modyfikacja dotyczyła mentalności. Komandosi przestali mieć poczucie bycia elementem uzupełniającym działania innych służb. Teraz byli poważnymi funkcjonariuszami najważniejszej komórki polskiej policji zwalczającej terroryzm. Skrót BOA robił wrażenie: byli groźni niczym wąż dusiciel. Również naszywka na mundurze z gadem była naprawdę imponująca.

Niestety od wielu tygodni Biuro Operacji Antyterrorystycznych tkwiło w totalnym marazmie. Gdy funkcjonowali w ramach stołecznej policji, byli wręcz nadużywani przez wszystkie policyjne służby. Wzywano ateciaków nawet wówczas, gdy facet z widłami spod Wołomina nie wykonywał poleceń zwykłych niebieskich. Komandosi go skuwali i przekazywali... do karetki psychiatrycznej. Albo gdy gang osiedlowy w Tarczynie rozzuchwalił się nadmiernie, ateciaki zawijali wszystkich gnoi i dowozili na rozpytanie do komisariatu. Ubrani w cywilne ciuchy odzyskiwali dla społeczności komunikację publiczną, pociągi czy autobusy nocne. Teraz zyskali prestiż - ale stracili front walki. Zagrożenie było, ale nie nachodziło Polski. Trenowali szturm, uwalnianie czy inne taktyki, ale przede wszystkim czekali. Po reorganizacji zmieniono także zasady udziału komandosów BOA w akcjach policyjnych. Gdy stanowili samodzielny pododdział, każda warszawska komenda dzwoniła do ich naczelnika z prośbą o pomoc i jednocześnie informując, do czego są potrzebni. Wszystko uległo zmianie, gdy zostali BOA, ponieważ odtąd ich udział w prawdziwych akcjach wymagał akceptacji różnych przełożonych policyjnych. Jak w każdej biurokratycznej maszynie, całe urządzenie sprawnie się kręciło, ale w miejscu. Wytwarzano ogrom pary, ale wszystko szło w gwizdek.

Dla komisarza Bernarda to miejsce nie jest obiektem marzeń, ale dyscyplinarnej zsyłki. Jadąc samochodem, wspomina historię swojego karnego przeniesienia do wydziału policyjnych komandosów. Wszedł w poważny konflikt z ówczesnym naczelnikiem Wydziału do Walki z Terrorem Kryminalnym, w którym aktualnie służył. Ów szef, inspektor Paragraf, zarzucił mu zażyłe stosunki towarzyskie ze środowiskiem szemranych agencji ochroniarskich.

Została podpalona pewna dyskoteka. Jej właściciel uznał, że ochroniarze nie sprawdzili się lub nawet mogli współpracować z podpalaczami. Poinformował ich szefa, że koniec współpracy. Szef ochrony pochwalił się wszechstronnymi znajomościami w komendzie stołecznej, wymieniając z nazwiska komisarza Bernarda. Właściciel wystraszył się poważnie. Odniósł wrażenie, że ochroniarze mogą być gorsi od podpalaczy, więc płacił im, i to niemało. Przez znajomych znalazł dojścia do... stołecznej policji, gdzie poinformował o swoich problemach z agencją. W trakcie rozmowy podkreślił, że szef ochrony mówił o koneksjach w stołecznej policji. Ochroniarz wymienił kilka znamienitych nazwisk policyjnych, w tym komendanta stołecznego oraz naczelnika Wydziału Postępowań Administracyjnych. Jako swoich



przyjaciół w policji podał również komisarza Bernarda. Klasyczny blef handlowy, który miał podkreślać ogromne wpływy i znaczenie tej agencji. Został potraktowany przez wewnętrzne organa kontrolne z najwyższą powagą i poddany intensywnej kontroli operacyjnej. Jak zwykle bywa w tego typu instytucjach, czyli klasycznej korporacji opartej na modelu systemu feudalnego, wszystko musiało zakończyć się sukcesem. Zgodnie z niepisanymi, ale świętymi zasadami zawsze winna jest postać stojąca najniżej w drabinie zależności korporacyjnej. Zatem w wyniku ustaleń prowadzonych w ramach kontroli operacyjnej winnym został komisarz Bernard.

System kontroli wewnętrznej policji posiada zbiorowy instynkt zachowania wysokich dodatków do pensji. Nikt w tym systemie nie ośmielił się sprawdzić bilingu telefonu komendanta albo tego, czy stołeczny spotyka się z jakimś właścicielem agencji. Poniekąd jest to słuszne, bo komendant na rautach i spotkaniach rozrzuca służbowe wizytówki niczym ulotki wyborcze. Jest to ważny element reklamy komendanta stołecznego i strategia awansu na komendanta głównego. Miasto Warszawa to ostateczna katapulta, by wyżej podskoczyć. Komendant bardzo chętnie by zadziałał na rzecz agencji, której właścicielem jest szwagier ważnej osoby z układu politycznego. Natomiast licha agencja, która pilnuje dwóch zaledwie lokali gastronomicznych (jak ta), będzie szerokim łukiem omijana przez policyjnych notabli. Druga osoba wśród domniemanych przyjaciół ochroniarza, naczelnik Wydziału Postępowań Administracyjnych, jest, owszem, ważny i to bardzo ważny dla chętnych do posiadania broni palnej, myśliwskiej i sportowej, ponadto zajmuje się kwalifikacją pracowników ochrony. W sprawach o podpalanie jest funkcjonariuszem bez znaczenia.

Komisarz Bernard został zatem jedynym celem działań mechanizmu antykorupcyjnego stołecznej policji. W zasadzie ochroniarz nawet się nie powoływał na wpływy w instytucji policyjnej, nie obiecywał, że coś załatwi. W rozmowie wskazał, że ma znajomego policjanta, co zajmie się sprawą podpalenia, że jest jak pies gończy i na pewno wytropi piromanów, i skoczy im do gardła.

Uruchomiony aparat badania uczciwości stołecznych policjantów niestety nie znalazł dowodów zażyłości pomiędzy ochroniarzem a komisarzem Bernardem. Nie potwierdzono nawet kontaktów telefonicznych pomiędzy nimi. Formalnie sprawa nie miała podstaw prawnych i trzeba było ją zakończyć.

System korporacyjny zawsze jednakże znajduje wsparcie dla problemów, które sam stwarza. „Kolega z pracy” to taka instytucja, która wpisuje się w korporację idealnie, bo z jednej strony jest ofiarą korporacji, a z drugiej - tnącym narzędziem wobec innych takich samych jako on. „Kolega z pracy” w policji jest zawsze skuteczniejszy, bo więcej może.

Pewnego popołudnia komisarz został poproszony na rozmowę przed nieformalną czteroosobową komisją. Fakt jej powołania i zebrania w trybie nagłym był poważnym wydarzeniem, zaś zaproszenie Bernarda - ogromnym zaskoczeniem. Wszedł do pomieszczenia, w którym za biurkiem siedzieli: naczelnik jego wydziału, zastępca naczelnika i dwóch kierowników. Na wprost nich, nieco dalej, stało krzesło. Ruchem ręki naczelnik wskazał miejsce na krzesło i oświadczył tonem oficjalnym:

- Komisarzy Grzegorz i Bernard, powiedzcie nam prawdę. Wszystko powiedzcie, dobrze wiemy, jakie numery odstawiacie. To jest wasza ostatnia szansa.

W tym momencie komisarz poczuł kubek lodowatej wody. W głowie zaczęły mu się kłębić myśli: „Co ze mną będzie? Remont mieszkania, kredyt we frankach, konflikt z kolejną żoną... Ale co oni o mnie wiedzą, jakie kwity mają?”

Członkowie komisji spojrzeli na niego, czuł jakby oczyma go sztyletowali. Pojął ich przewagę nad swoją marniejącą w oczach osobą. Naczelnik, który zazwyczaj w chwilach wymagających podjęcia decyzji przyjmował pozycję złamanego pogrzebacza, siedział teraz wyprostowany, z uniesioną głową. Trzymał w ręku dwie kartki i cedził:

- Przypomnij sobie wszystko, jesteśmy twoją ostatnią szansą. Wiemy wszystko, naprawdę wszystko.

W głowie komisarza rozpoczęła się prawdziwa gonitwa myśli, w warunkach wysokiego ciśnienia, przy zmieniającej się temperaturze ciała oraz łomotaniu serca.

„Chyba im chodzi o ten olej oraz żarówki, co na służbowego poloneza pobrałem, a użyłem do swojego fiata 125p. No nie, przecież to jeden z tych kierowników mnie tego nauczył, no to by mnie nie wpierniczył...”

Chyba że się dowiedzieli, że cały gruz z remontu służbowym polonezem na śmietnik komendy od paru dni przywożę. No nie, przecież nikt o tym nie wie...

A może ustalili, że zawiżyłem dwa rachunki z ostatniego spotkania z informatorem. Wziąłem z lokalu rachunek, że w trakcie spotkania z informatorem byłem w restauracji. W rzeczywistości wszystko mi powiedział na stacji paliw, a sam poszedłem do knajpy i zjadłem obiad...”

Mijały sekundy, które dla Bernarda wydawały się godzinami.

Spojrzał na kartki w rękach naczelnika, który je dobitnie podniósł w górę.

- Mamy dowody i dajemy ci szansę.

W tym momencie komisarz doznał olśnienia. Przecież to ja w trakcie przesłuchania stosuję ten sam numer: „Powiedz, co wiesz, to ci pomogę, mam na ciebie odpowiednie papiery”. Macha się wtedy przed oczyma przesłuchiwanego jakimś ksero starego protokołu przesłuchania.

Najspokojniej, jak był w stanie, odpowiedział:

- Panie naczelniku, niestety, musicie mi wszystko udowodnić, bo nie wiem, o co wam chodzi. Proszę o sprecyzowanie.

Naczelnik z wyraźną dumą w głosie, unosząc jeszcze wyżej kartki, oświadczył:

- W dyskotecę studenckiej Park, którą ochrania ta agencja, zabezpieczono umowę o pracę, jaką tam wykonujesz. Sprytnie to zrobiłeś, że niby gary zmywasz, a jesteś tam bramkarzem.

Komisarz Bernard gwałtownie podszedł do naczelnika. Wszyscy członkowie komisji zamarli, jakby zaraz miał nastąpić szalony atak fizyczny. Bernard zerknął na kartki: była to umowa-zlecenie na wykonywanie pracy na zmywaku w dyskotecę Park... przez jego najmłodszego brata Gwidona. Grzegorz przypomniał sobie, że kiedyś opowiadał jednemu z członków komisji, że ma o siedemnaście lat młodszego brata, który uczy się na studiach dziennych i praktycznie sam się utrzymuje, pracując w Parku właśnie. Łomot w sercu komisarza ustał natychmiast. Spojrzał kolejno na wszystkich.

- Mam was w dupie! Mam nadzieję, że naczelnik zrobi postępowanie dyscyplinarne wobec mnie. Gratuluję panu takich detektywów w wydziale! Informuję, że jeszcze dziś sporządzą raport z przebiegu tej rozmowy do komendanta stołecznego.

I wyszedł. Wiedział, że w korporacji, jak znajdujesz się na dole łańcucha pokarmowego, to zawsze jesteś skazany na pożarcie. Za bunt musisz zostać ukarany. I że naczelnik wykaże się przed komendantem, że ciągle lustruje gliniarzy kryminalnych i że ma najbardziej „szczelnych” funkcjonariuszy. Zastanawiał się, co dyscyplinarnie na niego wymyślą. Był pewien, że nie będzie to związane z tą rozmową.

Następnego dnia otrzymał rozkaz przeniesienia, jednak satysfakcja była jego zwycięstwem.

Komisarz Bernard został negocjatorem policyjnym w Biurze Operacji Antyterrorystycznych. Odbył szkolenia i uzyskał stosowne uprawnienia do prowadzenia negocjacji. Co prawda, aktualnie nie było ich z kim prowadzić. Wydział do Walki z Terrorem Kryminalnym już nie zapraszał go do współpracy, a Komenda Główna prowadziła tylko kontrole pracy funkcjonariuszy w terenie. Oficer dyżurny stołecznej policji nie śmiał ściągać negocjatorów do samobójców, bo były to za wysokie progi.

Bernard stosunkowo szybko zaaklimatyzował się w nowym środowisku. Teraz właściwie podczas każdego dyżuru intensywnie biega i dźwiga ciężary. Czasem gra też z ateciakami w piłkę. Na dziś

zaplanował tylko ciężary, bo ewentualna kontuzja mogłaby w znaczący sposób obniżyć mu komfort wieczornego imprezowania. W rozgrywkach piłkarskich uczestniczy z najlepszymi antyterrorystami. Dużo młodszymi od siebie. Gra z nimi w niczym nie przypomina zwykłej futbolówki. Zdecydowanie bliższa jest futbolowi amerykańskiemu niż klasycznej piłce nożnej.

Dziś dyżur negocjatora ma wspólnie z komisarzem Piotrkowskim, który w BOA zatrudniony jest dwa lata dłużej od niego. Dla Bernarda jest przewodnikiem po nowym miejscu pracy. To on tłumaczy mu zawilości personalne oraz zasady funkcjonowania w tych warunkach. Panowie często prowadzą dyskusje o wdrażanych reorganizacjach w policji, jak również wspólnie trenują tężyznę fizyczną. Można by rzec, że stanowią zgrany zespół negocjacyjny, gdyby nie fakt, że nigdy wspólnie nie było im dane prowadzić jakichkolwiek negocjacji. Natomiast w ramach obowiązującego programu szkoleniowego bardzo często prowadzą symulacje negocjacji z terrorystą międzynarodowym.

\* \* \*

Warszawa to typowa metropolia. Ogromne miasto oraz rozrzucone promieniście miasta powiatowe i małe miasteczka. I zapadłe wsie o niejednorodnej strukturze społecznej i architektonicznej. Z jednej strony, nowe wystawne rezydencje na dużych posesjach nowobogackich, którzy sprowadzili się z centrum Warszawy. Z drugiej zaś strony, starzy mieszkańcy w domkach z poprzedniej epoki. W takich wioskach życie płynie zwolnionym rytmem, leniwie, nie to, co w stolicy. Tu nic nadzwyczajnego się nie dzieje. Cisza, spokój, po prostu sielanka. Mieszkańcy okolicznych wsi nawet nie mają pojęcia, że żyją na terenie metropolii, dla nich gmina to centrum lokalnego świata. W Warszawie wręcz przeciwnie: pościgi wścikłych radiowozów na ulicach, napady z bronią w rękę, strzelaniny w miejscach publicznych, kidnaping i szantaże. Gdy mieszkaniec takiej zapadłej wsi bierze tablety do ręki, boi się pojechać do stolicy. W jego miejscowości najpoważniejszym występkiem są co najwyżej malwersacje w gminie, które nie przebijają się nawet na przedostatnie strony darmowych gazet.

Sobików. Kto o nim słyszał? Wieś położona w okolicy Góry Kalwarii. Spokojna osada. Przestępczość zorganizowana nie zdążyła tu dotrzeć, no bo i po co. Mieszkańcy mają już jednak regularny kontakt z ciemniejszą stroną pożycia społecznego. Pijana młodzież głośno przemieszcza się wrakami samochodopodobnymi od sklepu do ciemnych zaułków. Nieco rzadsze są awantury rodzinne, w policyjnych statystykach rubryka „interwencje domowe”. Nie są one szczególnie lubiane przez funkcjonariuszy. Zazwyczaj, gdy domniemany zbrodniarz rodzinny po zażartej i długotrwałej walce przy dopingiu lub wsparciu maltretowanych zostaje skuty służbowymi kajdankami i jest już wyprowadzany, sytuacja diametralnie się odwraca. Maltretowana rodzina w koalicji stara się odbić policyjnego jeńca. W tych starciach niedoświadczeni patrolowcy bardzo często płacą guzami za brak wycucia i intuicji. W Sobikowie nie brakuje takich rodzin będących w ciągłym zainteresowaniu policji. Wielokrotnie dostarczały one roboty mundurowym i jednocześnie atrakcji sąsiadom.

Dochodzi szesnasta. Komisarze z BOA przeprowadzili już trening, skończyli biegać, teraz przygotowują obiad. Każdy z nich ma zupełnie inne preferencje kulinarne. Komisarz Piotrkowski stara się zwiększyć kubaturę ciała, zaś komisarz Bernard najchętniej swoją by zmniejszył. Potem zajmą się przygotowaniem analizy kilku przypadków negocjacji z terrorystami. Zastanawiają się, czy miejsce zamieszkania potencjalnego terrorysty ma wpływ na jego osobowość, a w konsekwencji na toczące się rozmowy. Czy uwarunkowania socjalne są podstawą kształtowania się świadomości międzynarodowych terrorystów?

W tym samym czasie, centrum Sobikowa. Niemal prestiżowy budynek, lecz w bardzo kiepskim stanie

technicznym. Typowy budynek socjalny; w jednej części znajduje się urząd pocztowy z wejściem od ulicy, w drugiej mieszkają lokatorzy. Na parterze lokal o niezwykle skromnym metrażu i ze skromnym wyposażeniem zajmuje pani Bożena, lat trzydzieści pięć, z trójką dzieci i młodszym bratem Andrzejem, lat trzydzieści. To ich rodowa siedziba, ponieważ są już drugim pokoleniem mieszkającym w tymże lokalu socjalnym. Pani Bożena po kilku nieudanych związkach nieformalnych zajmuje się wychowaniem dzieci, będących owocem owych płomiennych, acz krótkich uniesień miłosnych z różnymi mężczyznami. Pan Andrzej jest pracownikiem w oddziałach policji w Piasecznie. To specjalistyczna formacja policyjna, tak zwany organ pierwszego kontaktu z kibolami. W koszarach pan Andrzej zajmuje się hydrauliką, czasami jeździ także ręczną zamiatarką po rozległych placach manewrowych. Często obserwuje, jak funkcjonariusze prewencji ćwiczą kontakt z tłumem chuliganów. Prawdopodobnie nie jest specjalnie obciążony pracą, bo większość czasu spędza na lekturze pozostawionych przez młodych funkcjonariuszy gazet. Z uwielbieniem zagłębia się głównie w kroniki policyjne, jest też miłośnikiem wszelkich filmów akcji, o porwaniach, policyjnych szturmach, odbijaniu zakładników. Po pracy delectuje się produktami rodzimych wytwórców: mieszaninami wody i soku z domieszką spirytusu, utrwalanymi naturalnym pierwiastkiem, siarką. Po nadmiernym spożyciu staje się bohaterem pierwszego planu filmów, które ogląda. Nie wciela się jednakowoż w postaci policjantów, lecz terrorystów i złoczyńców. Za cel wybiera, kogo ma pod ręką, zazwyczaj najbliższą rodzinę. Wytrenowaną w pospiesznym opuszczaniu mieszkania i potulnym oddawaniu pieniędzy.

Andrzej jest już pod silnym wpływem ulubionej mieszanki, którą konsumował z kumplami przy sklepie. Niestety pieniądze się skończyły, a pragnienie nie zostało zaspokojone. Wraca więc do rodzinnego gniazda. Szuka w swoim pokoju kasy, ale nie znajduje. Prosi siostrę o skromną pożyczkę, do pierwszego. Ta zdecydowanie odmawia, w dodatku zarzuca mu kradzież. To klasyczne dla takiej scenarii pomówienie rozjusza mężczyznę. Wyzywa i szarpie pomawiającą, a gdy ta stawia opór, zaczyna ją bić. Do rodzinnej awantury wtrąca się najstarsza córka Bożeny, lat siedemnaście. Wuj uznaje, że jest otoczony zewsząd, więc chwyta nóż rzeźniczy, kierując agresję fizyczną na dziewczynę. Gdyby nie matczyne gwałtowne popchnięcie, chwycenie córki i odciągnięcie na bok, z pewnością nóż utkwiłby w ciele zaatakowanej. Andrzej się chwieje, a pozostali wykorzystują ów moment i znanym tylko im sposobem wydostają się na zewnątrz. Pijany mężczyzna szaleje, miota się na wszystkie strony, demoluje, niszcząc, co znajdzie pod ręką. Krzyczy, że zabije siostrę oraz że, cytując, „rozpierzdoli ten chory kraj”. Śle groźby, raz pod adresem swojej rodziny, innym razem rządu. Zapowiada, że najpierw zabije siostrę, a potem „zapiierzdoli premiera” (to znów cytat). Krzyczy, że za chwilę zrobi porządek, że cały kraj o nim usłyszy.

W ciągu godziny przybywają na miejsce policjanci z Komendy Policji Góra Kalwaria, Chcą powstrzymać damskiego boksera. Wtedy zaczyna się jazda bez trzymanki. Desperat barykaduje się i grozi eksplozją butli gazowej. Budynek socjalny jest bardzo nietrwałej konstrukcji, na dodatek systematycznie niszczone przez wszystkich lokatorów. Wybuch butli z pewnością spowodowałby zniszczenie budowli i pogrzebanie desperata. Z zewnątrz widać, jak ten przykład zapalniczkę do butli gazowej, a w powietrzu czuć gaz.

Komisariatem rządzi bardzo świeży oficer, tuż po ukończeniu „Westpointu”. Widząc niemożność zatrzymania desperata siłami własnymi, postanawia powiadomić Biuro Operacji Antyterrorystycznych. Kontaktuje się z oficerem dyżurnym kraju i melduje o wydarzeniu nadzwyczajnym.

- Samozakładnik grozi sprowadzeniem powszechnego niebezpieczeństwa w postaci eksplozji, która będzie skutkować zniszczeniem budynku komunalnego wielorodzinnego. Sprawca jest pod wpływem alkoholu, ale swoje groźby kieruje pod adresem rządu i najbliższych. Z uwagi na brak technicznych możliwości policjantów KP Góra Kalwaria proszę o zadysponowanie komandosów i negocjatorów z Biura

Operacji Antyterrorystycznych - oświadcza świeży szef, pomijając drogę służbową.

Oficer dyżurny po raz pierwszy styka się z problemem terroru. Sobików Sobikowem, ale i tu w takim przypadku obowiązują procedury działań kontrterrorystycznych, oparte na światowych standardach, zgodnych z przepisami Międzynarodowej Koalicji Antyterrorystycznej. Wytyczne jasno określają, kto decyduje o użyciu funkcjonariuszy BOA: pierwszy zastępca komendanta głównego policji. Po namyśle dyżurny kraju z drżeniem serca dzwoni do komendanta. Ku jego zaskoczeniu ten cieszy się i nakazuje szybkie działanie.

Jest już ciemno. Około godziny 18.30 przybywają policyjni komandosi Biura Operacji Antyterrorystycznych oraz dwaj negocjatorzy policyjni, komisarze Piotrkowski oraz Bernard. Dowodzący operacją doświadczony komandos podinspektor Wirek przeprowadza rutynowo, wręcz mechanicznie, odprawę z miejscowymi policjantami. Określa cel niniejszej operacji i rozdziela zadania. Priorytet - zagrożenie nie może się przemieszczać, rozwiązanie - szturm tylko wtedy, gdyby istniało zagrożenie dla osób postronnych lub gdy uda się go przeprowadzić w sposób bezpieczny dla szturmujących. („W innym przypadku zabezpieczamy i czekamy. Głodem i wytrzeźwieniem się go weźmie”). Miejscowi policjanci tworzą pierwszy pierścień zewnętrzny, w znacznej odległości od budynku. Nikt postronny nie ma prawa się zbliżyć. W razie eksplozji czy strzelaniny gapie mają być bezpieczni. Im nie może się nic stać. Drugi pierścień, tuż przy budynku, tworzą komandosi. Są dokładnie zamaskowani i w każdej chwili gotowi do szturmowania obiektu zgodnie z zasadami taktyki. Zadania dla negocjatorów: nawiązać kontakt z desperatem, ocenić jego stan psychofizyczny i prawdopodobieństwo spowodowania eksplozji samobójczej, prowadzić negocjacje podporządkowane planowanemu szturmowi. Do zespołu negocjacyjnego dołącza konsultant, którym jest miejscowy dzielnicowy. On wie o desperacie najlepiej.

Elokwentny Benek (dla Was: komisarz Bernard) nawiązuje kontakt z zabarykadowanym, który z uwagą obserwuje go przez judasza. Próbuje negocjować. Desperat grozi, żąda i straszy, jednak dziecinnie łatwo daje się wciągnąć do dyskusji. Rozmawia, ale nie pozwala funkcjonariuszowi podejść bliżej wejścia. Komisarz Bernard jest bowiem trochę ponadprzeciętnych rozmiarów. Staje więc w odległości dwóch i pół metra od drzwi. Na suchym gruncie. Przed nim bajoro błota.

- Pracuję z policją! - przechwala się pierwszy polski terrorysta. - Znam wszystkie wasze sztuczki. Widziałem na filmach, jak się wchodzi do chaty.  
- Andrzej! Wierzę ci, nie wejdziemy - łagodni negocjator.  
- No jasne, że nie wejdziecie, gnidy! Na drzwiach jest łańcuch, butlę trzymam na stołku obok. - Terrorysta jest pewny siebie i dumny z tego, co robi. - Jak tylko się, kurwy, zbliżycie, pierwszego zarżnę, a później się wysadzę i rozpierdole tę budę, za tą kanałią, moją siostrę! Jak mogła mnie tak poniżyć! Ja ją wspierani, a ona taka! - żali się pijackim głosem.

Włącza się komisarz Piotrkowski. Na szczęście jest raczej nikiemnej postury. Swoim znudzonym głosem, jakby go ze snu wyrwali, jakby policyjna robota była dla niego karą, szybko nawiązuje dobre relacje. Wręcz kumpłowskie. Wszak obaj, on i zakładnik, nie lubią policji. Piotrkowski wmawia rozmówcy, że polscy policjanci to patałachy. Co innego ci amerykańscy, z filmów, o, ci są super! I siada swobodnie na schodach obok wejścia. Bernard ma stać z daleka. Wyprostowany i na wprost drzwi. Pogawędka Piotrkowskiego z terrorystą toczy się tymczasem coraz bardziej przyjacielsko. Czas mija, chce się palić. Desperatowi też.

- Zgoda - deklaruje komisarz Piotrkowski. - Ale odejdz, stary, od butli i ją zakręć. Jak nie będzie czuć gazu, podam ci szluga przez uchylone drzwi.

Andrzej każe się odsunąć komisarzowi Bernardowi.

Jest ciemno. Za szerokim Benkiem stoi grupa szturmowa, z podziałem na role. Jak Andrzej zza drzwi wyciągnie rękę po papierosa, Benek odsunie się w prawo. Pierwszy komandos razem z Piotrkowskim chwycą desperata za rękę, drugi włoży rękę przez uchylone drzwi i chwyci terrorystę za gardło, trzeci przetnie łańcuch, czwarty dokręci butlę, piąty od tyłu spacyfikuje desperata. Proste.

Ale psy spuszczone ze smyczy zawsze rzucają się na wprost.

W momencie, gdy szaleniec uchyla drzwi, Bernard nie zdąży zrobić w bok nawet pół kroku, bo... grupa szturmowa już rusza i szturmuje po negocjatorze. Który tapla się w błocie.

Ale wszystkie pozostałe założenia planu zostają zrealizowane. Negocjator? No cóż, jakieś straty muszą być... Drugi zastęp go podnosi i prostuje mu plecy, a nawet podtrzymuje, gdy Bernard dochodzi do siebie po tym, jak pięciu ateciaków przeszło po nim szturmem.

Zakończenie działań bojowych następuje o godzinie dwudziestej pierwszej. Szansa na dojazd na imprezę rodzinną jest bliska zeru. Obaj komisarze postanawiają więc uczcić wspólnie premierowe zwycięstwo Biura Operacji Antyterrorystycznych. Jutro niedziela, dojdą do siebie, jest czas na regenerację sił zużytych w trakcie zatrzymania pierwszego w Polsce terrorysty.

Jak na debiut w ramach struktur zwalczania terroryzmu - nie jest źle. Rodzimy terrorysta zostaje zatrzymany w sposób profesjonalny i bezpieczny. Taktyka współpracy negocjatorów z zespołem szturmowym sprawdza się wręcz wzorowo. Jedynym minusem są pewne dolegliwości fizyczne komisarza Bernarda. Poza tym sprawdził się jako rzeczywisty element taktyki szturmowej, zdobywania obiektu mieszkalnego.

## Niedziela

# **CZARODZIEJ NEGOCJACJI NA WYSOKOŚCI (NIE TYLKO ZADANIA)**

**N**iedziela - najlepszy dzień w tygodniu, bo zawsze wolny od pracy. Fajny dla wszystkich, którzy mogą wypoczywać. Zdaje się, że to dzień prosty w swoich założeniach i sposobie spędzania. W internecie na popularnej wszechniczy wiedzy jest napisane, że to dzień występujący pomiędzy sobotą a poniedziałkiem. To nie jest odkrywcze. Znacznie bardziej dramatyczny jest dylemat, czy to początek, czy też koniec tygodnia. Zgodnie z tradycją biblijną to pierwszy dzień tygodnia, zarówno dla chrześcijan, jak i żydów. Jednak znacząca część ludzkości uważa inaczej. Dopiero normy ISO 8601 jednoznacznie określiły go jako dzień siódmy. Okazuje się, że ISO jest ponad wszystkim, a jej normy są wyznacznikami rytmu życia społeczeństw całego globu.

\* \* \*

Niedziela, piękna wiosna 2003 roku. Warszawa, górny Mokotów. Komisarz Bernard nie ma dylematu, którym dniem tygodnia jest niedziela. Bo ten dzień ma dla niego dobre konotacje. W ten poranek zajmuje się dwuletnim synkiem Marczykiem. Malec jeszcze spał, gdy trzecia żona komisarza Anna poszła na mszę do pobliskiego kościoła. Tego dnia Grzegorz Bernard ma pierwszy samodzielny dyżur negocjatora pod telefonem. Przebywa w domu, ale z telefonem służbowym. Taką sytuację określa się w policyjnym żargonie, że telefon „nosi się przy dupie” i „jest się psem na smyczy elektronicznej”. Pierwszy dyżur negocjatora i pierwszy telefon służbowy. Ten numer zna tylko paru policjantów oraz oficer dyżurny komendy stołecznej. Podniosłość wydarzenia, jakim jest pierwszy samodzielny dyżur z pierwszym telefonem służbowym, podkreśliła piątkowa odprawa poprowadzona przez zastępcę komendanta stołecznego. Poinformował swoich oficerów, w tym komisarza Bernarda, o ważnym dla komendy wydarzeniu.

- Od soboty komenda stołeczna jest objęta kontrolą sprawczą przez instytucję o nazwie ISO. Jeśli zostaną spełnione zalecane parametry jakości, stołecznej zostanie przydzielony znak jakości ISO. To międzynarodowa renomowana instytucja. Będziemy pierwszą jednostką policji w Polsce, która otrzyma taki znak - mówił. - W pierwszej kolejności kontroli będą podlegały procedury alarmowania i reakcji służb dyżurnych w całym naszym rejonie, Warszawie i przyległych powiatach. Wygląda to w następującym sposób. Informacja o zdarzeniu napływa do oficera dyżurnego miasta, on uruchamia siły i środki zgodne z procedurami. Patrole prewencji przeprowadzają interwencję, a kryminalni jadą na swoje wydarzenia i wykonują czynności na miejscu. Kontrolerzy sprawdzają czasy i wyniki - tłumaczył.

Wszyscy siedzieli w milczeniu zasluchani. Przełożony, przejęty tym, jak mu się wydawało, wielkim wydarzeniem, instruował dalej:

- Otrzymaliście telefony służbowe, w pierwszym rzucie ci, którzy mają dyżur w najbliższy weekend. W telefonach macie oba numery do mnie, ale niech nikt nie waży się dzwonić, tylko naczelnicy. Pamiętajcie, że odbieracie natychmiast. Nie tak, jak dotychczas: że was nie ma, że niby telefonu nie słyszeliście, że to żona odbiera i mówi: „Nie wiem, gdzie jest mąż”. Jeżeli ktoś nie odbierze telefonu lub nie przyjedzie, będzie rozliczany przeze mnie. Dla mnie będzie to oznaczało, że ma za wysoki dodatek służbowy, a najbardziej oporni mogą zjechać na etacie. Panowie oficerowie, koniec odprawy, nie przewiduję pytań. Proszę do swoich obowiązków!

I popatrzył na Bernarda, który był przedmiotem wielu rozmów wychowawczych. Czyżby szef spodziewał się problemów z jego strony, czy to tylko przypadkowe spojrzenie?

Oczywiście komendant nie wspomniał o kosztach tego kluczowego dla komendy przedsięwzięcia. Nie powiedział, jaką opłatę wniesiono, by przeprowadzona została kontrola sprawczą. Nawet się nie zająknął, jaki sens ma nadawanie komendzie państwowej policji jakiegoś znaku jakości przez komercyjne przedsiębiorstwo.

\* \* \*

Bernard po raz kolejny sprawdza, czy na wyświetlaczu są kreski oznaczające dobry zasięg. Od piątku nikt do niego nie zadzwonił. Nie chce podpaść przełożonemu, ale też nie zakłada, że w niedzielę zostanie wyrwany z domowych pieleszy. Ma to być dzień na wypoczynek i zabawę z synem. Choć myślami trochę w pracy jest. Uświadamia sobie, że przez cały tydzień nie obrabiał żadnego wydarzenia, nie było zgłoszeń o wprowadzeniu, nikt się nie żalił, że jest szantażowany, nie było nawet manifestacyjnej próby

samobójczej. Komisarz Grzegorz Bernard się nudził.

Bywają chwile, gdy czas płynie wolno, gdy dłuży się niemiłosiernie, a moment oddalenia z miejsca wykonywania służby odsuwa się w czasie w nieskończoność. Gdy czuje się szpilki w.... no, powiedzmy, krześle, gdy myśli wszelakie dowolnie hasają po głowie, nie napotkawszy na opór logicznej materii. W pracy zwykłego śmiertelnika ma to miejsce zawsze tuż przed weekendem. Trochę inaczej jest w policyjnej służbie. W psiarskiej robocie dłużyzny, czyli czas wolniej płynący, zaczyna się pod koniec dyżuru, gdy z utęsknieniem czeka się na moment zaprzestania wykonywania prawnych czynności służbowych. Gliniarze kryminalni też mają swoją dłużyzną, najczęściej w zwykłe dni, gdzieś w środku tygodnia, gdy obrobiona jest bieżąca robota, a od jakiegoś czasu nic nie wybuchło. Nie było żadnego wydarzenia, które mobilizowałyby funkcjonariuszy do jakichś superczynności, przeszukań, ostrych zatrzymań, zaś media elektryzowałyby publikę (i funkcjonariuszy, choć często w inny sposób).

Dłużyzna: na biurku panuje zazwyczaj organizacyjny ład, akta czekają na wpierniczenie do pancernejszafy, a żadne zapiski nie poniewierają się w zasięgu wzroku. No i jeszcze konieczne jest dobrze zaplanowane popołudnie, gdy tylko wtedy możemy „to coś konkretne” wykonać lub gdzieś tam koniecznie się udać. Oczywiście „to coś konkretne” nie może mieć nic wspólnego z policyjną robotą. W tej profesji często następują dramatyczne zwroty i nieobce są powroty do komendy zaraz po jej opuszczeniu. Dłużyzna to zatem czekanie na burzę z piorunami, gdzie miesza się nadzieja na to, że przejdzie obok, z przecuciem, że jak piorun walnie, to na pewno we mnie.

W piątek prócz odprawy nic się nie działo. Papiery leżały w beczynności procesowej, bo przez skórę czuło się, że w weekend coś się wydarzy.

\* \* \*

Niedziela, około godziny 9.15. Rozlega się dźwięk dzwonka służbowej komórki. Komisarz Bernard błyskawicznie podbiega do aparatu. Numeru nie zna. Odbiera. To jego brat Piotr, sierżant z mazowieckiej komendy wojewódzkiej. Jak się okazuje, numer telefonu ma od ojca, jedynej zaufanej osoby, której komisarz go przekazał. Piotr jest słuchaczem szczytnieńskiej *alma mater* i kontynuuje tradycję zapoczątkowaną przez starszego brata.

- Słuchaj, Grzesiek, potrzebuję jakiegoś przykładu zamachu politycznego w Polsce po 1990 roku - rzuca bez wstępu. - Nigdzie nic nie znalazłem, może ty masz jakieś informacje operacyjne?

Bernard odpowiada:

- Widzę, punkciarzu, że chcesz się wykazać, że na oficerce idziesz jak burza, w przeciwieństwie do mnie. Kariera przed tobą.

Piotr nie zwraca uwagi na złośliwości brata:

- Zapoznałem się z biuletynem Komendy Głównej Policji z kilku lat wstecz. I puchy. Przerzuciłem prasę branżową, przeskanowałem internet i nic nie znalazłem, całkowity nul. A ciebie i tak nie przebiję na „Westpoincie”. Swoją drogą, o stalkingu uczą na twoim przykładzie, wiesz, ten *Języczek swawolniczek*. Twoje realizacje są cytowane na wykładach, a wyczyny poza zajęciami podawane są jako przykłady do relegacji niesfornych. Przez ciebie to ja tu mam naprawdę przegwizdane, zrobiłeś takie tyły, że ja mam cały czas pod górkę. Wszystkim wykładowcom tłumaczę, że rodziny się nie wybiera.

Komisarz na chwilę się rozmarza. Ileż to pięknych chwil przeżył w fabryce oficerów... Niezdane egzaminy, walki z wykładowcami na argumenty polityczne. Czy choćby taka impreza w hotelu Leśnym, o której potem pisały gazety. Co prawda w aspekcie innego uczestnika, syna ówczesnego prezydenta, ale Bernard też był wiodącą postacią tego balu.



- Jesteś tam? - Piotr przywraca brata do rzeczywistości. - Dziś wieczorem jadę do Szczytna i dobrze by było, żebym teraz przygotował pisemnie przykład na zajęcia. Inaczej mnie rozjadą. Masz coś?

- To teraz dzwonisz, nie mogłeś wcześniej? - Komisarz zastanawia się. - Czekaj, czekaj, niech sobie w głowie ułożę. Mam sprawę dla ciebie, ale uważaj, znowu będzie z udziałem tego złego komisarza Bernarda, ha, ha! Czy ją tam przełkną?

Po drugiej stronie słuchawki:

- Kurwa! Nie mam wyjścia. Dawaj, co jest, jak nie znajdę jakiegoś przypadku kryminalnego, to będę miał przechlapane. Nadawaj, tylko powoli, to będę od razu zapisywać.

- Dobra, słuchaj. Wydział do Spraw Terroru Kryminalnego rozkminił z moim udziałem zamach terrorystyczny. Pamiętam, że chciałem jechać na działkę...

- Na jaką znów działkę? Co to ma do rzeczy? - niecierpliwie przerywa brat.

- Bo zacząłem wtedy budowę domu. Daj mi chwilę, muszę sobie wszystko przypomnieć. Kolega z wydziału, nadkomisarz Zenobiusz, miał zaplanowany w tym dniu występ w radiu.

- W jakim znowu radiu, co ty gadasz? Dawaj sprawę!

Starszy brat nie pozwala sobie przerwać:

- Zenobiusz prowadził audycje muzyczne, wiesz, całkiem nielegalnie, w stołecznej prócz paru zaufanych nikt o tym nie wiedział. To było jego ulubione zajęcie, puszczał jakiś łomot, jak dźwięk pracy silnika wysokoprężnego.

- Pewnie świetna muza - ripostuje brat, znając upodobania muzyczne Bernarda. - Tylko ty nie jesteś estetą muzycznym i masz całkiem przyziemne gusty dźwiękowe.

- Ty to mnie dobrze znasz! Całkiem sprawnie z Zenobiuszem współpracowałem, ale pod warunkiem, że nie było żadnej muzy w tle. Wtedy akurat gadaliśmy o najnowszym filmie z gatunku fantastyki, w którym funkcjonariusze Agencji Bezpieczeństwa Galaktycznego zwalczali najdziwniejsze zagrożenia czyhające na nieświadomych Ziemiach ze strony kosmitów mieszkających wśród nich. Zachwycaliśmy się wszystkim, co było w od niedawna wyświetlanym w kinach filmie, od fabuły przez scenografię po ubiory specagentów.

- A gdzie ten zamach? Weź trochę niż loty i steruj do tematu - ponagla Piotr.

- Poczekaj, teraz się zacznij. Byliśmy na posterunku. Zbliżała się godzina fajrantu, staliśmy już w blokach startowych, gdy do pokoju wkroczyło dwóch, uważaj!, facetów w czerni. Byli kopiami tych z filmu. To, że kopie, to było widać na pierwszy rzut oka, bo ich filmowe pierwowzory różniły się tylko kolorem skóry. Ci dwaj byli całkowicie i jednakowo bladzi, zaś kolor garniturów, aczkolwiek jeszcze czarny, to chyba prany i to wielokrotnie w krajowym proszku. Obaj też mieli okulary, jak się domyślasz, oczywiście czarne. W pierwszej chwili sprawiali wrażenie, że są żywą reklamą filmu, ewentualnie wabikiem ukrytej kamery. Rozejrzeli się po pokoju i przyjęli zdecydowaną postawę. Jeden z nich powiedział: „Jesteśmy z Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego”. Spojrzeliśmy na siebie z Zenobiuszem i ryknęliśmy śmiechem.

- Chyba ten film był elementem procesu ich szkolenia - wtrąca dowcipnie brat.

- Ale nadzieję na dalszą zabawę zepsuł nam naczelnik, który wszedł za nimi do pokoju i oznajmił: „Agencja ma bardzo ważną wiadomość o zagrożeniu bezpieczeństwa państwa”. No i powiało grozą, bo on to powiedział całkiem poważnie. Ja wykonywałem już w swojej karierze szereg ważkich i niebezpiecznych czynności, ale z zagrożeniem bezpieczeństwa państwa jeszcze się nie zetknąłem. Widocznie nie byłem dotychczas tego godzien. Szef powiedział do nas: „Istnieje uzasadnione podejrzenie zamachu na premiera rządu”. Patrzyłem na poważnych agentów i Zenobiusza, do którego zupełnie nie dotarła powaga sytuacji, bo sprawiał wrażenie, jakby błędził w przestworzach radiowego eteru. A tu na bezpieczeństwo

państwa ktoś dybie. Naczelnik ciągnął: „Ci panowie uzyskali informację. - Wskazał głową na agentów. - Zostawiam was, to się dogadacie”.

Tuż przy drzwiach odwrócił się jeszcze i z powagą w głosie dodał: „Ta sprawa jest priorytetem stołecznej policji, już główna się pytała. Po wstępnych ustaleniach i podstawowym planie śledczym zapraszam was do siebie”.

Po tych słowach z agentów uszło powietrze, jakby zrzucili usztywniający ich ciężar. Odniosłem niesłuszne wrażenie, że nie zależy im na ujęciu potencjalnych sprawców zamachu na Prezesa Rady Ministrów RP, profesora Jerzego Buzka.

Faceci w czerni z aktówek, oczywiście czarnych, zaczęli wyciągać grube i liczne pliki notatek. Zrozumieliśmy, że nasze plany legły w gruzach. Bezpieczeństwo państwa miało priorytet nad prywatnym popołudniem.

Piotr słucha, a Bernard mówi dalej:

- Ale najlepsze było przed nami. Oznajmili nam bardzo pewnie, oficjalnie: „Mamy uprawdopodobnioną informację, iż w najbliższym czasie w otoczeniu premiera dojdzie do zamachu. Posiadamy dokumenty świadczące, że to będzie w Teatrze Wielkim - Operze Narodowej w trakcie premiery największego wydarzenia operowego. Istnieje realne zagrożenie bezpieczeństwa państwa”. Zabrzmiało jak na konferencji w Departamencie Stanu USA, gdy rzecznik prasowy Białego Domu informuje opinię światową, że „Stany Zjednoczone posiadają tajne materiały potwierdzające sens prowadzenia operacji stabilizującej”.

Wyłożyli papiery: masy analiz i dokumentów, kilka wersji kryminalistycznych. Dumnie oświadczyli: „Narobiliśmy się przez ostatni tydzień, wykonaliśmy wszystkie czynności. Jak na tacy dajemy wam sukces, już wytypowaliśmy sprawcę”.

Ostatnie słowa to był szczyt ich pewności - Bernard kontynuuje opowieść sierżantowi Piotrowi. - Przez głowę przeleciało mi: zamach, premier, bezpieczeństwo państwa, awans, medal, a może i coś więcej. Podekscytowałem się, spojrzałem na Zenobiusza, który jakby czytał w moich myślach, bo powiedział do mnie: „Benek, to sprawa na awans dla ciebie!”.

Zrozumiałem zachowanie szefa. W sprawie musiało być coś niehalo. Uważałem, że kto, jak nie ja, jest w stanie rozkminić tę padlinę na poziomie, bez konfliktowania z „Abwera” - ciągnie nieskromnie Bernard. - Zapytałem facetów w czerni, czy mają to na kwitach w rozpracowaniu operacyjnym, teczce obiektowej czy na procesówce. Odpowiedzieli, że jako czynności sprawdzające i dodatkowo analizę charakterologiczną oraz grafologiczną, ale tę drugą wstępną. Ponadto posiadają informację ogólną od agenta manewrowego. Zenobiusz wskazał na zafoliowany anonim. Kartka z naklejonymi różnymi literkami. Czarni dodali, że zrobili wszystkie możliwe analizy i mają już wyniki. I wyszli, pozostając w przekonaniu o swoim profesjonalizmie.

Rozpoczęliśmy analizę od tego, dlaczego przylecieli ze sprawą do stołecznej, zamiast zatrzymać sprawcę i ogłosić, że polska policja polityczna jest najlepsza. Dlaczego szef zlecił nam tę sprawę, przecież ma lepszych harpagonów niż niespełniony krytyk muzyczny i energiczny komisarz, ale tylko komisarz. Wiesz, brat, poleciliśmy do naczelnika, o co biega z tym zamachem, nawet nie patrząc w papiery. Przywitał nas roześmiany. Zapytał: „Jak sprawa? Na wykrycie? Na ozet (no wiesz, ostateczne zakończenie)? Czy do umorzenia przed wszczęciem? I do koszalina (czyli kosza)?”.

Tłumaczymy, że jeszcze nie przeczytaliśmy. Wyjaśnił - tamci dostali info o zamachu na premiera i rozkręcili wszystko, co można. Oni nie uzgadniają z prokuratorem, tylko zapierniczają, a co im wyszło, to się sami zorientujemy. „Pewnie zapytacie, dlaczego wy - mówił do nas szef. - Tak jest uzgodnione z zastępcą, bo to bardzo, bardzo delikatna sprawa. »Abwera« z tematem poleciała wszędzie, w sprawie są

ruszeni wszyscy nasi ministrowie. W Biurze Ochrony Rządu mają spraczkę od kilku dni w kwestii zabezpieczenia vipów”. Zapytałem go, dlaczego nie dali na „fabrykę kurzu”. Jak wiesz, tak potocznie mówi się o Centralnym Biurze Śledczym.

Sierżant Piotr przerywa długi wywód:

- U nas się mówi: Centralna Beczka Śmiechu.

- No ale *ad rem*. Szef powiedział do nas: „Tylko wy, Benek i Zenobiusz, nie narobicie kwasów. W tej gównianej sprawie występują bardzo znane osobistości kultury i polskiej sceny. Pamiętajcie, tylko delikatnie. Żeby żaden z was dziś nie ważył się iść do domu, dopóki nie zrobicie pierwszych ustaleń. Zadzwońcie do mnie wieczorem, co już jest zrobione. Pierwszy raport ze sprawy ma być na jutro u stołecznego. A, jeszcze jedno: jak ja polecę, to wy będziecie pisać umorzenia kradzieży kur w Halinowie albo innym Jadowie. Jak chcecie być w stołecznej, to do roboty! Tylko uważajcie, tam naprawdę jest miękki grunt, ale nie bandycki”.

Jak się domyślasz, drogi bracie, sprawa została wkrótce przez nas rozkminiona. Dzięki niej byłem kilka razy w Teatrze Narodowym, poznałem kulisy i masę artystów. Okazało się, że dyrektor opery, wybitny dyrygent światowej klasy, Kacprzycki, po wielu latach nieobecności w Polsce, nie znając rodzimych realiów, na spektaklu spotkał premiera naszego rządu. Bo ten premier profesor chodzi do opery. Dyrektor poinformował Prezesa Rady Ministrów Rzeczypospolitej, że operze grożą zamachem i przekazał mu anonim. Ten zaś jeszcze tego samego wieczoru, nie czytając listu, sięgnął po ministra i zlecił robotę „Abwerze”. Tamci rozdmuchali sprawę, uruchomili wszystko, nawet służby wojskowe.

- Ale jazda! I co dalej? - Piotr się wciągnął.

- Piotrek, jak się okazało, list był adresowany do kierownika sekretariatu - komisarz Bernard opowiada dalej. - Rozumiesz, do faceta od sekretarek, nawet nie do dyrektora! Ktoś uważał, że ten kierownik stoi za zwolnieniami grupowymi pracowników, artystów i obsługi technicznej. Treść nie była szczególnie skomplikowana, ba, nawet wskazywała potencjalnych sprawców: „Jak będziesz dalej zwalniał artystów, ty [tu były inwektywy nawiązujące do fizjonomii adresata], to cię coś spotka. Pamiętaj, zbliża się premiera, a my mamy przyjaciół w Wołominie”. W tym czasie było parę wybuchów na mieście, a prasa rozpisywała się o tych zdarzeniach, że to niby sprawka tych z Wołomina. Adresat, czyli kierownik, wystraszył się, przekazał list dyrektorowi, prosząc, by już nie musiał przewodniczyć zespołowi do spraw reorganizacji opery. Agenci służb specjalnych rzucili się, by oddalić zagrożenie, używając nazbyt wyrafinowanych metod. Specagenci, pracując z grupą czterdziestu specjalistów, wytypowali sprawcę na podstawie analizy treści pisma jednego z artystów do owego kierownika. Notatka o treści: „Dlaczego pan chce mnie zwalniać? Czy ja jestem idiotą, skoro ukończyłem studia muzyczne i święciłem triumfy na scenie Opery Sosenwieckiej?” znajdowała się w teczce personalnej nadawcy. Ale pisana ręcznie, a anonim był wyklejanką. Wiesz, to nam nie pasowało. Musieliśmy zrobić swoje ustalenia. Dyrygent to geniusz oderwany od rzeczywistości, co chwilę chciał nam pomagać, dzwonić do ministrów. Nadkomisarz Zenobiusz wytłumaczył mu, że to ja jestem najlepszy w Polsce i żeby mi nie przeszkadzał. W tym czasie obaj gadali godzinami o muzyce. A mnie pomagał zastępca dyrektora, ten był minister kultury, co mówi, że jest z Radzimina. Pogadałem z różnymi pracownikami, porównaliśmy teczki personalne z anonimem, ale po swojemu. Zajęło nam to we dwóch parę dni.

- Niezły numer - komisarz usłyszał zaaferowany głos brata. - Jak się skończyło?

- Wytypowaliśmy podejrzanego, ale zupełnie innego niż Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Tym razem idiotę, który nie miał przyjaciół w Wołominie. Wszczęto postępowanie karne, ale finał był do bani: prokuratorskie umorzenie wobec braku cech przestępstwa. Taka nadmuchana afera. Wiesz, jak jest. - I cytuje znany kawał: - Radio Erywań podało, że w Moskwie na placu Czerwonym rozdają samochody, a

okazało się, że nie w Moskwie, a w Leningradzie, nie na placu, a na Newskim Prospekcie, i nie samochody, a rowery...

- Znam to. I nie dają, a kradną... No ale wszystko pozostałe było prawdziwe - kończy za Bernarda brat. - Słuchaj, a gdzie o tym znajdę, żebym mógł się powołać oficjalnie?

- Sprawa figuruje w biuletynie z ubiegłego miesiąca jako zgłoszona przez ABW-u: groźby karalne wobec pracownika kultury. Będziesz miał tylko pięć, sześć zdań. Są tam wszystkie numery sprawy policyjnej i prokuratorskiej.

Sierżant Piotr Bernard nie jest usatysfakcjonowany sprawą, ale zawsze to lepsze niż nic.

\* \* \*

Grzegorz odkłada słuchawkę. Budzi się dwulatek, który jak zwykle odmawia jedzenia kaszki na śniadanie. Więc zaczynają zabawę w rozwiniętą formę popularnego chowanego, czyli w policjantów i złodziei. Jeden z nich się chowa, drugi go szuka i po krótkiej walce aresztuje. Oczywiście, przestępcą jest policjant, a jego latorośl wciela się w rolę funkcjonariusza. Mały blondynek dzielnie walczy, wykazując się ogromnym zaangażowaniem. Można to potraktować jako grę symulacyjną, w której Bernard sam na sobie uczy się zachowań potencjalnych przeciwników.

Gdy się tak w najlepsze ścigają, znów rozlega się sygnał służbowej komórki. Jest godzina 09.55.

- Co tam jeszcze?! - rzuca Bernard ostro do słuchawki, myśląc, że to jego poprzedni rozmówca.

Oficer dyżurny komendy stołecznej miękkiem głosem, niczym automat na infolinii, powiadamia go, że pod budynkiem czeka oznakowany radiowóz. Bo trzeba jechać na zdarzenie. „Chyba ta kontrola sprawcza jest przy nim, skoro tak mówi” - myśli Bernard.

Wiadomość przywraca go do rzeczywistości. Dociera do niego, że jest na służbie.

Stosując swoją ulubioną sztuczkę, wbija się w ostatnie słowa dyżurnego:

- Ale o co chodzi?

Ten sam miły głos niczym automat informuje:

- Komisarzu Bernard, zgodnie z wykazem masz dyżur negocjacyjny. Realizując procedury, informuję cię, iż na budowanym wieżowcu przy placu Emilii Plater znajduje się desperat samobójca. Proszę postępować zgodnie z wytycznymi komendanta stołecznego w sprawie realizacji zdarzeń z zakresu manifestacyjnej próby samobójczej w miejscu publicznym. - I nie czekając na reakcję Bernarda, już ludzkim głosem, jak przystało na oficera dyżurnego metropolii stołecznej, dodaje: - Grzesiek, zapierniczaj migiem na Emilii Plater, bo kupa ludu czeka, miasto mam poblokowane, ustawiłem drogówkę na wlotach od Świętokrzyskiej i od Alej Jerozolimskich. Teraz jest pusto, ale jak popołudniu warszawka z rodzinnej wsi zacznie wracać, to zablokują centrum do rana. Otoczyłem teren oddziałami prewencji, straż i pogotowie są na miejscu. Dowodzi naczelnik z Wilczej, też ma dyżur. Aha, jeszcze jedno, zadzwoń, jak będziesz na miejscu, wiesz, kontrolerzy ISO będą sprawdzać czasy powiadomień. Beniu, tylko ty mi to rzeczowo zrobisz - kończy.

Komisarz rzuca okiem na ścienny zegar. Dochodzi 10.00. Zerka na brzdąca mierzącego do niego z plastikowej spluwy. Marek ma dziś tatę i chce się bawić.

„Co z nim zrobić?” - myśli gorączkowo Bernard. Małżonka w kościele, a na dole radiowóz. Pewnie najszybciej przyjdzie za jakieś dwadzieścia minut. Kontrola sprawcza ISO liczy czas, a ja bardzo nie chciałbym podpaść.

Chwyta więc malca wpół i udaje się na klatkę schodową w pielgrzymkę po sąsiadach. Liczy, że któryś ulituje się nad potomkiem i przechowa dzieciaka u siebie do powrotu jego matki. I rzeczywiście, dwa

piętra wyżej udaje się wyblagać sąsiedzką przysługę. Bernard pędzi co sił w nogach do radiowozu.

W trakcie jazdy dowiaduje się, że na budowanym właśnie hotelu Intercontinental przy placu Emilii Plater znajduje się jakiś zdesperowany osobnik. I jeśli na czas nie przemówi mu się do rozumu, zacznie przemieszczać się swobodnym lotem w dół. Na miejscu są dziennikarze i fotoreporterzy, i chyba kamera warszawskiej telewizji.

Dzwoni do oficera dyżurnego.

- Już jadę na wydarzenie. Czy na miejscu będzie też drugi negocjator, Jędrzej, czy ja mam po niego dzwonić?

- Zgodnie z procedurą on też będzie - odpowiada oficer. - Pewnie wcześniej, bo mieszka obok.

„No to mam szczęście” - myśli komisarz. Otóż, używając dyplomatycznego języka, praca na wysokości nie jest mocną stroną Bernarda. Najwięcej czasu zajmuje mu zazwyczaj zmuszenie się do wejścia na dach. Rozmowy z desperatami prowadzi, nie zbliżając się do krawędzi budynków. I nie patrząc w dół. Nie ma co ukrywać - panicznie boi się wysokości.

Na miejscu tłum policjantów i strażaków czeka na komisarza niczym na wybawcę, na czarodzieja, co w mig rozwiąże problem. Trochę udziału ma w tym aspirant Jędrzej, który niespecjalnie pali się do tej nieco ryzykownej roboty, więc podzielał na wyobraźnię zebranych przed budynkiem policjantów, strażaków i medyków. Wy tłumaczył im, że negocjacje przeprowadzi superspec, czyli Bernard. Komisarz szkolony przez FBI, oficer kryminalny o wszechstronnym doświadczeniu. A on, skromny aspirant, będzie mu tylko pomagać, jak najlepiej potrafi. W rzeczywistości aspirant jako negocjator ma większy staż, ale chyba i spryt oraz przecucie, że ta robota będzie długa i nudna.

Atmosfera na dole zatem taka, że gdyby w tłumie znalazł się dramaturg Samuel Beckett, zmieniłby tytuł swej słynnej sztuki na *Czekając na Bernarda*. No, ale Becketta ani tam, ani nigdzie w pobliżu nie ma. Bernarda także.

Gdy wyczekiwany komisarz wysiada z radiowozu, osacza go tłum rozżalonych funkcjonariuszy.

- Dlaczego tak długo kazałeś na siebie czekać? Od dwóch godzin tu kwitniemy! - przekrzykują się nawzajem.

Bernard z trudem przebija się przez jazgot.

- Panowie, panowie, dopiero osiemnaście minut temu zostałem powiadomiony, kontrola sprawcza może to potwierdzić. - Nikt nie zwraca uwagi na jego tłumaczenia.

Desperat tymczasem przemieszcza się po ramieniu dźwigu, kilkadziesiąt metrów nad stropem hotelu. Ktoś rzuca dla zachęty, że w tej chwili nie ma w Polsce wyżej umiejscowionego ramienia. Nie zwiększa to jednak negocjacyjnej motywacji Bernarda. Wcale nie uśmiecha mu się spacer po rekordowym ramieniu. Aspirant Jędrzej rozwiewa złudzenia:

- Komisarzu Bernard, zgodnie z grafiką dzisiaj twoja kolej!

To jasny komunikat, że kolega także nie pragnie oglądać miasta z wyjątkowej wysokości.

Bernard podchodzi bliżej budynku. I zamiera: na górę można dostać się jedynie windą budowlaną, zamontowaną na zewnątrz. Taka winda jest specyficznym dźwigiem, którym dostarcza się głównie materiał wykończeniowy. Wielka klatka, która zamiast podłogi ma kratownicę z metalu. Zamiast ścianek jest czworokąt z czterech rurek. Konstrukcja windy to dwa pionowe teowniki z boków klatki. Pionowe wsporniki są przymocowane za pomocą ogromnych śrub do ścian. W trakcie jazdy winda buja się mocno na boki. A trzeba nią będzie przejechać około trzydziestu pięter!

Obok windy stoją strażacy z tak zwanej wysokościówki, czyli specjaliści od poruszania się na wysokościach, zajmujący się ratowaniem ludzi z płonących mieszkań w wieżowcach. Supersprawni faceci, obcy z pułapami raczej dla ptaków niż ludzi. Muszą być, bo często się zdarza, że niedoszły

samobójca zostaje odwiedziony przez negocjatora od zamachu na własne życie i wtedy nagle traci odwagę. Gdy wcześniej, jak chciał się zabić, wchodził wysoko, nie czuł żadnego lęku, ale jak zmienił zamiar, to nie ma odwagi zejść. Pomoc strażaków jest wówczas nieodzowna.

Bernard zostaje wepchnięty niemal siłą do windy, która rusza, odbijając się od ściany. Z przerażenia komisarz nie jest w stanie wydobyć słowa. Uświadamia sobie, że jeśli będzie nieustannie gapił się na ścianę, to efekt kręcenia w żołądku murowany. Czyli, mówiąc wprost, czuje, że zaraz puści pawia, ozdabiając budowlę specyficzną wiechą. Patrzy więc w dół, czuje zawrót głowy i znów rozumie, że nie tędy droga, bo to również grozi nagłym uwolnieniem treści żołądkowej. Przez chwilę przed oczami staje mu wizja kompromitacji - potężny funkcjonariusz, omdlały, niesiony na rękach przez strażaków, odprowadzany pogardliwymi spojrzeniami cywilnej tłuszczy.

Jednak doświadczenie i profesjonalizm zwyciężają. Komisarz zbliża się do najroślejszego strażaka i otacza go ramieniem, męskim niewątpliwie i silnym. Zszokowany strażak bezskutecznie usiłuje się wyrwać, co przypomina zachowanie ofiary wchłanianej przez węża.

Natychmiast pojawiają się głosy, z których najsympatyczniejsze brzmią:

- Nie wiedziałem, że się tak dobrze znacie.

Albo:

- Nigdy się nie chwaliłeś swoim chłopakiem.

W tej napiętej atmosferze stukająca o ścianę winda dociera do celu, na trzydzieste piętro. Wszyscy niczym oparzeni wyskakują z niej jak z katapulty, starając się trzymać od negocjatora jak najdalej.

Komisarz daruje sobie teraz przekonywanie obecnych, że sercem i ciałem należy do większości seksualnej. Samobójca czeka.

Po ramieniu dźwigu, po tej jego części, która wystaje poza obrys wieżowca, chodzi młody mężczyzna. Głośno krzyczy. Wykonuje takie ruchy, jakby chciał rozbujać cały dźwig. Są na wysokości mniej więcej iglicy Pałacu Kultury i Nauki. Bernard ma podejść do krawędzi budynku, aby porozmawiać z desperatem. Kładzie się, czuje drżenie wieżowca. Oraz wzrok widzów skierowany na siebie. Zmotywowany wstaje i pewnym krokiem zbliża do krawędzi drapacza chmur.

- Jestem tu, aby ci pomóc! - krzyczy do desperata. - Powiedz mi, jaki masz problem!!!

Nerwowo podskakując na ramieniu dźwigu, mężczyzna odpowiada także krzykiem.

- Mnie nikt nie może pomóc! Nie przeszkadzaj mi!!! Muszę się zabić! Moje życie nie ma sensu! Chyba że prezydent tu przyjedzie i mnie ułaskawi!

- Dlaczego? Co się stało?!

- Mam dwadzieścia pięć lat i muszę niesłusznie iść do więzienia!!! Wszystkiego się dowiesz w komisariacie na Dworcu Centralnym, oni mnie w to wrobili! Taką mamy w Polsce sprawiedliwość!

Bernard czuje już, jak poprowadzić rozmowę, już ma plan. Tylko czy gość złapie haczyk?

- Słuchaj, jak masz na imię?

- Andrzej!

- Dasz mi parę minut?! Zorientuję się, co można zrobić w twojej sprawie! Ale ty musisz podejść bliżej, żebyśmy mogli ze sobą gadać, a nie krzyczeć!

- Czekam piętnaście minut! I to ty przyjdź do mnie!!!

„Już chwycił haczyk - myśli Bernard. - Już spokojnie stoi i jak mu zastosuję sznurek, to będzie git”.

Podchodzi do grupki policjantów i strażaków, którzy stoją po przeciwnej stronie dachu budynku, jakies pięćdziesiąt metrów dalej. Prosi, aby dokładnie za pół godziny głośno krzyknęli, że dzwonią do niego z Kancelarii Prezydenta. Celowo wydłuża czas: chce zmieknąć faceta ciągnącym się oczekiwaniem. I wraca do desperata, który tymczasem przesunął się po ramieniu dźwigu bliżej dachu, więc gdyby teraz

skoczył, to i tak upadłby na ten dach. Gdy Bernard próbuje się do niego zbliżyć, samobójca krzyczy, żeby nie podchodził, tylko stał z daleka, bo się go boi.

- Andrzej, okej, ty tu rządzisz, a ja jestem dla ciebie. Stane, gdzie mi powiesz. Andrzej, gadałem z Belwederem, prezydent Kwaśniewski ma spotkanie, jak tylko skończy, to mu przekażą, żeby się ze mną skontaktował. Wiesz, jestem gliniarzem, ale naprawdę nie lubię tych z Centralnego. To gamonie, które dają się łatwo podpuścić. Mam propozycję: opowiedz mi swoją historię, nie chcę mieć z tamtymi policjantami nic wspólnego. Ja opowiem o twoim problemie prezydentowi. Ja tu jestem dla ciebie, co tylko mogę, to ci załatwię.

Andrzej zaczyna mówić. I od razu się rozgaduje. O tym, że od paru lat mieszka na Dworcu Centralnym. Że pomaga mu taki jeden ksiądz. Że on wieczorami zawsze przychodzi do małej księgarni, która mieści się w tunelu pod Alejami Jerozolimskimi. Że jest tam taka dziewczyna, sprzedawczyni, studentka, co mu zawsze robi herbatę i opowiada książki. I powtarza, że powinien się kształcić i zmienić życie, a ona mu pomoże. Przychodził do niej przez parę tygodni, ale jak kiedyś przyszedł, to z księgarni wychodziła z jakimś facetem.

W tym momencie opowieść przerywają policjanci.

- Panie komisarzu, dzwonią od prezydenta Polski - krzyczą.

I machają komórką.

- Przepraszam cię, Andrzej - mówi negocjator. - Muszę iść, wszystko mu powiem, że jego obywatel ma problem i że on musi człowiekowi pomóc. Andrzej, ja ciebie rozumiem i mu to powiem.

Nie czekając na odpowiedź, wraca do oddalonej grupki funkcjonariuszy, policji i straży pożarnej. Ci zaczynają wypytywać Bernarda, jak on to robi, że desperat się uspokoił. Jak ktoś wcześniej z nim próbował rozmawiać, to ten krzyczał i przeklinał oraz groził skokiem. Komisarz odpowiada, że to tajemnica zawodowa. I że teraz przystąpi do obniżania żądań, jakie stawia desperat. Że zacznie od tego, że nie prezydent, tylko ktoś niższy rangą.

I wraca do desperata.

- Andrzej, prezydent nie może, ma bardzo ważne, naprawdę ważne spotkanie z kimś z Ameryki. Wiesz, nie wiem dokładnie, bo to tajemnica wojskowa. Takie spotkanie ważne dla bezpieczeństwa Polski i nie może osobiście przyjechać. Ale jakbyś mi pozwolił, tobym przedzwonił do prezydenta Warszawy. Do Lecha Kaczyńskiego. Andrzej, czy ty byś z prezydentem Warszawy pogadał?

Desperat się zgadza i komisarz powtarza numer. Wraca po dłuższej chwili.

- Musimy poczekać z półtorej godziny, bo nasz prezydent ma teraz spotkanie z prezydentem Londynu. Rozmawiałem z nim i powiedział, że na pewno oddzwoni. Czy mógłbyś mi od nowa wszystko opowiedzieć?

Niedoszły samobójca ponownie zaczyna swoją historię.

- Wiesz, jak ja poszedłem do księgarni i zobaczyłem, że ten facet tę dziewczynę trzyma za rękę, to podbiegłem i go pchnąłem nożem. Przecież to moja dziewczyna! To dlaczego on ją tak trzymał!?

Całkowicie rozkłada się emocjonalnie i już siódmy raz opowiada to samo. I o to chodziło komisarzowi! Żeby skoczek się komuś wygadał. Teraz Bernard powtarza numer raz jeszcze - żeby Andrzej zgodził się na rozmowę z dziennikarzem. W rolę dziennikarza wciela się technik kryminalistyki komendy stołecznej, aspirant Duch. Ma przy sobie kilka służbowych aparatów fotograficznych, więc łatwo się uwiarygodnia. Duch w trakcie przeprowadzenia wywiadu prosi samobójcę, aby zszedł z ramienia, bo pod słońce nie da się fotografować. Gdy desperat ustawia się do zdjęcia, jeden z policjantów strzela do niego z siatki obezwładniającej. Ta skutecznie go pęta. Szybko zostaje zwieziony na dół. Tam cudownie odnajduje się drugi negocjator, który pomaga w obezwładnianiu. Na dole czeka już karetka

pogotowia, która zabiera desperata do szpitala psychiatrycznego.

Negocjacje zajęły Bernardowi jakieś cztery godziny.

\* \* \*

Strażacy zaczynają związać z dachu wieżowca sprzęt. Jeden z nich rzuca:

- Może i jesteś czarodziejem negocjacji, ale my wolimy zjechać windą w swoim towarzystwie. Ty wrócisz sam. No to cześć.

I machają mu na pożegnanie. Bernard pokonuje fobię (bo nie ma innego wyjścia, tfu! zejścia), wsiada do windy i rozmyślając o sprawach bardziej przykrych niż lęk wysokości, zjeżdża na dół.

Sukces kompletny! Desperat nie skoczył i został ściągnięty za chabety między żywych. Prawne czynności służbowe na dachu wieżowca zostały przeprowadzone zgodnie ze wszystkimi procedurami. Kontrolerzy oceniają, że wykonywane zadanie przebiegło wzorcowo.

Parę tygodni później komenda stołeczna otrzyma znak jakości ISO.

## OD AUTORA

**J**estem w swoim domu na bliskim mi Mazowszu, już nawet w granicach Warszawy. Stoję na balkonie i popijam kawę. Z dumą patrzę na moich synów biegnących na podwórku, którym ciągle do głowy przychodzą jakieś wariackie pomysły. (Mają to zapewne po tatusiu). Za chwilę przyjedzie ich starszy brat z Warszawy, a ja zadzwonię do synów w Lublinie i Krakowie. To wszystko przynosi mi tyle radości. Popijam kawę i myślę: „Moje życie jednak dobrze się potoczyło. Praca w policji przyniosła mi mnóstwo wiedzy prawnej i kryminalnej. I ogólnej. Chyba dzięki niej stałem się prawdziwym mężczyzną. Zdobyłem ogromne doświadczenie i stałem się ekspertem w swojej dziedzinie. Mógłbym pomagać ludziom dalej, ale system wysłał mnie na emeryturę. Niestety. Na początku cieszyłem się, że w policji tak szybko przechodzi się na emeryturę. Teraz mnie to już nie cieszy. A może ktoś z góry uważał, że jestem wypalony zawodowo? Może dlatego, że widziałem niedoskonałości organizacji, w której pracowałem, i podejmowałem próby zmian systemu, reform? Moi zwierzchnicy nie podzielali mojego zdania (ani zapału). Z uporem równym tylko osłowi twierdzili, że jest dobrze. Byłem w pełni sił, ale targany rozterkami odszedłem. Może to oni mieli rację, bo system wciąż działa, jak większości się wydaje, poprawnie. W pierwszych dniach emerytury byłem pewien, że wkrótce zadzwoni telefon i w słuchawce usłyszę: «Wracaj, potrzebujemy cię!». Telefon milczał. A system nie zauważył, że mnie nie ma. Byłem na granicy załamania, bo odrzucony, bo niepotrzebny...

Domyślałem się, że to uczucie odrzucenia nie jest obce większości ludzi. Każdy z nas gdzieś i kiedyś został wyrzucony z jakiegoś organizmu, instytucji, fabryki czy stowarzyszenia i stanął wobec problemu »jestem dobry, a już niepotrzebny«, »chcę działać, a mnie nie potrzebują«.

A ja? Cóż, paradoksalnie znów rozpocząłem nowe życie. Zostałem pisarzem, udzielam się medialnie i dydaktycznie. I bardzo uspokoiłem się w życiu. Teraz rodzina jest dla mnie najważniejsza. Jako specjalista bezwartościowy dla państwa ożeniłem się ponownie, urodziło mi się kolejnych dwóch synów. Mam ich już pięciu i każdy z nich jest moją wielką dumą. Uczę innych z nadzieją, że kiedyś moi uczniowie zrobią



w policji to, co mnie nie było dane. Nabieram głęboko mazowieckie powietrze. Mam głowę pełną pomysłów na dalsze życie”.

\* \* \*

Ta książka jest dla wszystkich, którzy są lub byli na życiowym zakręcie. Którzy czują się niepotrzebni, wyrzuceni, osamotnieni. Mam nadzieję, że pozostawiła ona Czytelnika rozbawionego, ale z refleksją, że każdy z nas zawsze coś robił lub robi najlepiej, jak potrafi, całym sercem - nie będąc docenianym. To w nas jest potencjał, który musimy pokazać wszystkim - że jesteśmy i że idziemy.

A iść należy zawsze do przodu, bez względu na to, z której strony wieje wiatr.

## SPIS TREŚCI

Wstęp

PONIEDZIAŁEK.

Gwałt niech się językiem odciska

WTOREK.

Cywil, funkcjonariusz, pies

ŚRODA.

Glina w stosunku nie tylko pracy

CZWARTEK.

Obiady czwartkowe z Biskupem w tle

PIĄTEK.

Nieuratowane miasto

SOBOTA.

Jaki kraj, tacy terroryści

NIEDZIELA.

Czarodziej negocjacji na wysokości (nie tylko zadania)

Od autora